ODRA

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

3

MAJ 1961



ODRA

3

MAJ 1961

W NUMERZE:

Okładkę projektował: Andrzej Will

Na okładce: grafika Mariana Nyczki „Kobieta rano" z II Wystawy Plastyki Ziem Nadodrzańskich. Wewnątrz numeru — inne reprodukcje z tej wystawy.

MAJ NAD ODRĄ

Rokrocznie w maju pęka nad Odrą worek rocznicowych obchodów, uroczystości i imprez, mających przecież wymiar szerszy, niż tylko regionalny, nadodrzański.

Więc wielka rocznica wyzwolenia w roku 1945 Śląska, Ziemi Lubuskiej, Pomorza, rocznica powrotu do Polski Odry i Nadodrza. Pamięć o tym wspaniałym przełomie w dziejach narodu, który wrócił na swoją ojcowiznę.

Więc rocznica wybuchu w roku 1921 trzeciego powstania śląskiego, najdłuższego i najkrwawszego, o decydującym znaczeniu dla uzyskania przez świeżo wskrzeszone państwo polskie bodaj części Górnego Śląska. Pamięć o nieugiętej wierności ludu śląskiego dla Polski.

Więc Tydzień Ziem Zachodnich, nie przypadkiem wyznaczony na ten rocznicowy miesiąc. Manifestacja szczególnej rangi, jaką opinia polska przyznaje rozwojowi gospodarki i kultury na odzyskanych ziemiach nad Odrą i Bałtykiem.

Więc i Dni Wrocławia, poprzedzające obchody Tygodnia Ziem Zachodnich. Znamienne zaakcentowanie wybitnej roli tej przez wieki duchowej stolicy Śląska, dzisiaj jednego z czołowych ośrodków polskiej nauki, sztuki, techniki.

Oto uroczystości o trwałej już tradycji i ustalonym miejscu w kalendarzu ogólnopolskim. Okazja niewątpliwa do okolicznościowej galówki, ale świętowana rzeczowo i praktycznie: Zjazdem Pisarzy Ziem Zachodnich, Wystawą Plastyki Ziem Nadodrzańskich, Wrocławskim Festiwalem Teatralnym.

Powiedzmy sobie od razu, że wszystkie te uroczystości posiadają także swoje odniesienie polityczne, wcale zresztą wyraźne. Istnieje bowiem określony kontekst sytuacji międzynarodowej, nieobojętny dla stosunku szerokiej opinii polskiej — i to nie tylko w kraju, lecz na całym świecie — do spraw dziejących się nad Odrą i Bałtykiem, a także na zachód od linii Odra-Nysa i zwłaszcza na zachód od linii Łaby.

Ten kontekst, jak nietrudno się domyślić, to istnienie zjawiska rewizjonistycznych roszczeń wobec odzyskanych przez Polskę terytoriów zachodnich i północnych. Stosunkowo niedawno zyskały one zupełnie już jawne i niezamaskowane placet oficjalnych czynników rządzących w Niemieckiej Republice Federalnej. To fakt o istotnym znaczeniu, nadający problematyce zachodnioniemieckiego rewizjonizmu nową, ostrą barwę.

Nie bez racji zatem niedawna krajowa narada dziennikarzy w Poznaniu, zwołana z okazji 15-lecia działalności Zachodniej Agencji Prasowej, zajęła się analizą tej właśnie problematyki. Liczny udział czołowych publicystów, ludzi nauki, działaczy politycznych podkreślił wyraźnie wagę tego roboczego i bardzo pracowitego spotkania.

Nie umniejszając ani na jotę realności groźby, jaką dla polskiego stanu posiadania na zachodzie i północy stanowi zachodnioniemiecki rewizjonizm, trzeba jednak widzieć ją w skali i kontekście rzeczywistym. Po to przede wszystkim, by zwalczać go rzeczywiście skutecznie.

Istota zagadnienia streszcza się w znanych słowach Władysława Gomułki, wypowiedzianych na XV sesji Zgromadzenia Ogólnego Narodów Zjednoczonych w Nowym Jorku we wrześniu ub.r.: „Nie ma problemu granic — jest tylko problem pokoju". Brzmi to niczym aforyzm wypisywany jako motto artykułów i wystąpień, wyrażając w doskonałym skrócie prawdę i właściwe proporcje wielkiego zagadnienia stosunków polsko-niemieckich.

Ale to oczywiście całości problematyki rewizjonizmu nie wyczerpuje. W podsumowaniu narady poznańskiej padły słowa, które w niezmiernie trafny sposób ustalają właściwy wymiar tej problematyki. Powiedziano tam mianowicie, że rewizjonizm zachodnioniemiecki jest dzisiaj nie tyle, nie tylko i nawet mniej niż kiedykolwiek zagadnieniem dwustronnych stosunków polsko-niemieckich, lecz jest sprawą par excellence międzynarodową.

Innymi słowy, kwestia zachodnioniemieckich roszczeń terytorialnych wobec Polski nie może być rozważana w oderwaniu od szerszego tła stosunków między dwoma systemami, do których należą z jednej strony Polska, z drugiej Niemcy federalne.

Polska jest częścią obozu socjalistycznego, Niemcy federalne należą do bloku atlantyckiego. Polityka europejska, jak polityka światowa, jest dzisiaj funkcją nie decyzji pojedynczych rządów,

jak w Europie przedwojennej, lecz funkcją decyzji kierownictw obu stojących naprzeciw siebie ugrupowań międzypaństwowych, ugrupowań politycznych i, co tu gadać, militarnych.

Ale, i to jest moment niezwykle istotny, pozycja Polski jest pod tym względem znacznie korzystniejsza niż pozycja Niemiec federalnych. Oto polskiego stanu posiadania strzeże solidarnie cały obóz socjalistyczny, w tym także Niemcy demokratyczne. Zachodnioniemieckich roszczeń terytorialnych nie popiera żaden ze sprzymierzonych z NRF rządów. Co więcej, Francja wręcz zadeklarowała się przeciw jakimkolwiek rewizjom granic Niemiec, gdyby nawet doszło do ich zjednoczenia. Co do innych partnerów atlantyckich, jest tajemnicą Poliszynela, że tylko z racji taktycznych nie mówią głośno tego, co po cichu dają do zrozumienia zupełnie niedwuznacznie, że mianowicie bynajmniej nie są zainteresowani w zmianie zachodniej granicy państwa polskiego.

Fakty te ustalają rzeczywiste wymiary problemu rewizjonizmu zachodnioniemieckiego, gdy się nawet bierze pod uwagę jawne poparcie, jakiego mu udziela rząd kanclerza Adenauera. Jakkolwiek pouczające są więc analogie do roku 1914 czy 1939, jakkolwiek celowe jest przypominanie ciągłości polityki wschodniej niemieckiego imperializmu, trzeba przecież w pełni uświadamiać sobie tę podstawową zmianę w ogólnej sytuacji politycznej Europy. A przyznać trzeba, że nie zawsze i w każdym razie niezbyt konsekwentnie o tym aktualnym kontekście międzynarodowym się pamięta.

Istnieje oczywiście alternatywa wojny. Bardzo jednak niewielu ludzi w świecie jest szczerze zainteresowanych w tym, by stała się ona rzeczywistością. A już bynajmniej nie pod hasłem rewizji polskiej granicy zachodniej. Kiedyś Francuzi nie chcieli „umierać za Gdańsk", jest rzeczą pewną, że dzisiaj ani Francuzi, ani Anglicy, ani Amerykanie nie chcieliby umierać za Wrocław i Szczecin, to znaczy w imię realizacji niemieckich roszczeń terytorialnych wobec Polski. Nic więc dziwnego, że rewizjonizm zachodnioniemiecki tak silnie akcentuje swój związek z ogólnym programem antykomunistycznym bloku atlantyckiego.

Ale komuż to dzisiaj trzeba dowodzić, że alternatywa wojny jest równoznaczna z propozycją rozpatrywania przyszłości Europy i świata w kategoriach Apokalipsy? Środowiskom rewizjonistycznym i awanturniczym ministrom z Bonn warto przypomnieć znaną przypowieść Brechta, skierowaną pod adresem narodu niemieckiego:

„Wielka Kartagina prowadziła trzy wojny, po pierwszej szybko odbudowała swoją potęgę, po drugiej była jeszcze wielkim państwem, po trzeciej nie można już jej było znaleźć na mapie".

Jeśli jednak powiadamy, że „nie ma problemu granic, jest problem pokoju", nie wynika stąd bynajmniej, by było rzeczą najsłuszniejszą przyjęcie postawy désintéressement wobec tego wszystkiego, co czynią zachodnioniemieckie organizacje przesiedleńcze, naukowe czy pseudonaukowe instytuty badań wschodnich, mniej czy bardziej oficjalni rzecznicy rządu federalnego. Nikt też tego nie doradza i nie zaleca.

Wręcz przeciwnie, poznańska narada dziennikarzy dowodzi, że problematyka zachodnioniemieckiego rewizjonizmu jest w całej pełni doceniana przez najwyższe czynniki polityczne naszego kraju. Wyrazy uznania, jakie na owej poznańskiej naradzie zyskała Zachodnia Agencja Prasowa dla swego dorobku w dziedzinie upowszechniania zwłaszcza na forum międzynarodowym znajomości polskich spraw zachodnich i zagadnień stosunków polsko-niemieckich, stanowią w tej mierze świadectwo bardzo przekonujące. Wielojęzyczny serwis publicystyczny i informacyjny, dziesiątki tytułów publikacji dokumentalnych, rozpraw i studiów problemowych, prac monograficznych i syntetycznych kompendiów — to w sumie pozycja, która niewątpliwie waży wiele i jest współczynnikiem formowania poważnej opinii zagranicznej o tych sprawach. Przy okazji 15-lecia ZAP-u można i należy to powiedzieć, bez obawy o popadnięcie w przesadę.

Czas jednak wrócić nad Odrę, gdzie majowe dni i tygodnie przynoszą obfity plon uroczystości i imprez trwalszych od tylko okolicznościowych akademii. Przecież nie przypadkiem tyle miejsca poświęciliśmy sprawom geograficznie tak od Odry i Nadodrza oddalonym. Wiele związków zachodzi bowiem między tym, co dzieje się tutaj nad Odrą — a tym, co obserwujemy daleko za Łabą. Przypomnijmy jednak prawdę o znaczeniu podstawowym: czas pracuje dla nas, fakty tworzymy my, tutaj, nad Odrą. I to nie tylko w maju.

I. R.



W PŁONĄCYM WROCŁAWIU

KAROL JONCA, ALFRED KONIECZNY

Stalingrad urósł w dziejach drugiej wojny światowej do symbolu klęski zwiastującej upadek III Rzeszy. Wrocław był ostatnim świadectwem agonii niemieckiego faszyzmu. Wezwanie Hitlera i Goebbelsa, aby sami Niemcy wycofując się wysadzali w powietrze miasta, fabryki, warsztaty pracy, spełniali we Wrocławiu niemieccy dowódcy wojskowi i partyjni. Potworne zniszczenia sięgające 70 procent stanu zabudowy miasta, a w dzielnicach południowych i zachodnich nawet 90—100 procent, świadczyły o konsekwentnym realizowaniu hasła „spalonej ziemi".

Obrona Wrocławia, trwająca od 16 lutego do 6 maja 1945, posiada w Niemczech zachodnich bogatą literaturę. Znamienna jest jednak ewolucja poglądów na tę sprawę, wyrażona w najważniejszych pozycjach. W wydanej w roku 1948 pracy „Wie Breslau fiel" (Jak padł Wrocław) F. Grieger nie szczędził bynajmniej ostrych słów pod adresem faszystowskiego dowództwa twierdzy, określając np. plany zburzenia mostów jako „zupełnie bezmyślne" (gänzlich wiedersinnig), a wysadzenia całych ulic w okolicy dzisiejszego placu Grunwaldzkiego jako „pracę zupełnie bezcelową". Odpowiedzialnością za zagładę miasta Grieger obarczał jeszcze wyraźnie „owo bezgranicznie wrogie kulturze dowództwo wojenne".

Po wyjściu z niewoli radzieckiej ostatniego komendanta twierdzy — Niehoffa, na łamach pism zachodnioniemieckich były profesor niemieckiego uniwersytetu we Wrocławiu, Konrad, wystąpił z ostrą krytyką działalności Niehoffa i gauleitera Hankego. Wypowiedź Konrada była tym bardziej przekonywająca, że pochodziła od członka delegacji kleru, która jeszcze w czasie oblężenia przekonywała Niehoffa o bezcelowości obrony miasta.

Ale już J. Thorwald w książce „Es begann an der Weichsel" (Zaczęło się nad Wisłą), wydanej w roku 1956, podjął wyraźną próbę rehabilitacji faszystowskich komendantów oblężonego Wrocławia — von Ahlfena i Niehoffa, uciekając się przy tym do oczywistych przeinaczeń i fałszywego przedstawia-

nia faktów. Wyraził on m. in. pogląd, że nieludzkie rozkazy dowódcy grupy armii „Środek", generała Schoernera, przewidujące np. bezwzględne ściganie i rozstrzeliwanie „asekurantów", nie były we Wrocławiu wykonywane. Według zaś drugiego tomu pracy Thorwalda pt. „Das Ende an der Elbe" (Koniec na Łabie) również brutalny generał Niehoff musiał wiernie walczyć do końca, gdyż był „człowiekiem o związanych rękach".

Wreszcie zabrali głos sami komendanci Wrocławia. Książka von Ahlfena i Niehoffa „So kämpfte Breslau" (Tak walczył Wrocław), wydana w NRF w roku 1959, usiłuje przekonać zachodnioniemieckiego czytelnika, że obrona Wrocławia była celowa, gdyż chodziło o uratowanie pomników kultury niemieckiej i istnień ludzkich przed Rosjanami, że ludność cywilna i wojsko opanowane było chęcią walki z „czerwonym zalewem". Nietrudno się domyślić, że przy takim ujęciu generałowie nie wspomnieli o oporze ludności cywilnej, o demonstracjach i zamachach bombowych, o których pisał jeszcze w roku 1948 Grieger. Nie pisali też o burzeniu przez Niemców całych dzielnic mieszkalnych w śródmieściu, na wschodzie, południu i zachodzie miasta.

Generałowie von Ahlfen i Niehoff oparli swą książkę na relacjach oficerów sztabowych i liniowych, którzy walczyli we Wrocławiu. Z pewną satysfakcją usprawiedliwiają to brakiem materiałów źródłowych, które z rozkazu Niehoffa zostały spalone na kilka godzin przed kapitulacją faszystowskiego garnizonu.

Rozkaz ten jednak nie został skrupulatnie wykonany. Wbrew przypuszczeniom von Ahlfena i Niehoffa zachował się obszerny, blisko 500-stronicowy skoroszyt „Komm. Abt. Befehle B 675", zawierający kilkadziesiąt drastycznie znamiennych rozkazów wydanych przez kolejnych komendantów twierdzy — generałów Krausego, von Ahlfena i Niehoffa. Nie brak tam również licznych rozkazów członków sztabu, tzw. Führungsabteilung, oficera politycznego przy komendancie, dowództwa artylerii twierdzy i sądu przy komendancie. Zachowały się zatem rozkazy ściśle wojskowe dotyczące działań bojowych na poszczególnych odcinkach frontu, rozkazy dotyczące poszukiwań dezerterów, przymusowej i bezwzględnej ewakuacji ludności cywilnej, burzenia dzielnic mieszkalnych, egzekucji itp. Uwagę przykuwają także zachowane w skoroszycie rozkazy Himmlera, Hitlera, Schoernera i Dönitza, przesłane do oblężonego miasta drogą radiową.

Niejako uzupełnieniem rozkazów są znalezione we Wrocławiu dzienniki pisane przez Niemców w czasie oblężenia. Z narażeniem życia odnotowywał swe spostrzeżenia proboszcz parafii św. Maurycego, ks. P. Peikert. Przechował on również wiele nieznanych dotąd ulotek antyfaszystowskich. Wstrząsające opisy burzenia obiektów sakralnych w mieście zawarte zarówno w jego pamiętniku, jak i w zapiskach żyjącego dziś jeszcze kanonika B., znalazły potwierdzenie w niemieckich aktach niektórych parafii wrocławskich.

Osobną grupę cennych źródeł stanowią materiały niemieckiego ruchu oporu, odnalezione niedawno we Wrocławiu i Berlinie. Jest to zespół nie publikowanych dotąd gazet i ulotek drukowanych w oblężonym Wrocławiu przez niemieckich komunistów. Wreszcie zachowały się także księgi zgonów zawierające dane o egzekucjach.

★

Rozkaz gauleitera Hankego z 28 stycznia, wypędzający w mroźną noc zimową niemal milionową rzeszę mieszkańców, zapoczątkował tragedię miasta. Bezmyślna ewakuacja ogromnych mas ludności, nie zakłócona przecież przez żaden radziecki nalot ani ogień artyleryjski, znaczyła jeszcze po tygodniach szosy prowadzące z miasta zwłokami zamarzniętych dzieci, porzuconymi tobołami i najróżniejszym sprzętem. Brak nalotów w warunkach szybko posuwa-

jącego się natarcia radzieckiego z rejonu Oławy i Ścinawy wywołał niemałe zdumienie wśród Niemców, przygotowanych przez propagandę faszystowską na najgorsze okropności.

Dotychczas nie było nalotów — zanotował 20 stycznia zdziwiony ks. Peikert. — *Wciąż zadajemy sobie pytanie, dlaczego Rosjanie obchodzą się z nami tak oględnie. Cóż stałoby się już z naszym miastem, gdyby leżało w zachodnich Niemczech. Byłoby stertą gruzów, podobnie jak i inne miasta.*

Już wówczas przystąpili Niemcy do szeroko zakrojonych „prac obronnych" we Wrocławiu. Wszystkie ulice, szczególnie w dzielnicach wschodnich i południowych, zablokowane zostały barykadami z wozów tramwajowych i bruku ulicznego. W początkach lutego saperzy wysadzili domy mieszkalne w centrum miasta, przy ulicy Siedmiu Kół, w sąsiedztwie Biblioteki Miejskiej i przy dzisiejszym placu Dzierżyńskiego. Wszystko to odbywało się zgodnie z planem wyburzenia całych ciągów ulic dla stworzenia dogodnych pól obstrzału. Rzecz charakterystyczna, że domy te leżały w śródmieściu, a nie na peryferiach, skąd musiało nastąpić uderzenie wojsk radzieckich.

Komitet Narodowy „Wolne Niemcy", reprezentujący niemieckie elementy antyfaszystowskie, emigrantów politycznych i jeńców wojennych, zwrócił się w chwili otoczenia miasta do komendanta von Ahlfena z listem otwartym:

Wyłącznie od Pana zależy zburzenie lub uratowanie Wrocławia — pisał pułkownik Steidle z polecenia wiceprezydenta Komitetu, gen. Seydlitza. — *Wrocław może zostać uratowany, jeśli Pan podda miasto bez walki. Niech Pan jednocześnie rozważy, że w obliczu znacznej przewagi sił armii rosyjskiej i katastrofalnego załamania się całego frontu wschodniego każdy dalszy opór staje się bezcelowy i bezsensowny ... Pan wie sam, że to, czego Hitler żąda dziś od dowództwa i żołnierzy Wehrmachtu, nie stanowi już bohaterskiej walki, ale przestępstwo. Dawno już osiągnięto granicę, o której mówi Clausewitz w swej pracy „O wojnie", w rozdziale 9: „Jak wysoko nie oceniono by męstwa i stanowczości w czasie wojny..., to istnieje jednak granica, po której przekroczeniu dalszy opór może być uważany tylko za rozpaczliwą głupotę..."*

Von Ahlfen wezwanie odrzucił, podobnie zresztą jak i inne głosy nawołujące do rozsądku. W drugiej połowie lutego protest przeciwko bezczeszczeniu obiektów sakralnych złożył wobec komendanta twierdzy wrocławskiej dyrektor miejscowego Caritasu — Zinke. Również i ten protest został odrzucony. Von Ahlfen oświadczył, że „jeżeli zajdzie potrzeba, przekształci każdy kościół w twierdzę i będzie bronił Wrocławia do ostatniego żołnierza i ostatniego naboju".

Odpowiedzią na odrzucenie propozycji kapitulacji było rozpoczęcie przez wojska radzieckie silnego natarcia na południowe dzielnice miasta. W końcu lutego wojska radzieckie opanowały obszar aż po dzisiejszy plac Powstańców Śląskich i ulicę Kamienną. Cmentarze przy ulicy Ślężnej były widownią zaciekłych walk. Ostatecznie w rękach radzieckich znalazł się cmentarz wojskowy przy ulicy Ślężnej z grobem teoretyka wojny Clausewitza i cmentarz żydowski z grobami Lasalle'a i Graetza.

Wobec sukcesów radzieckich na południu miasta komendant zarządził ewakuację ludności na Różankę, Sępolno, Zalesie i Karłowice.

Ewakuacje przeprowadzają oddziały SS z niesłychanym terrorem i cynizmem — stwierdza ks. Peikert — *Z wymierzonym rewolwerem zmusza się pozostałych ludzi do porzucenia całego mienia i do ucieczki. Podczas gdy jeden wymierza rewolwer, inny przetrząsa całe mieszkanie w poszukiwaniu kosztowności, celem przywłaszczenia sobie najwartościowszych... Pozostałe rzeczy polewa się benzolem lub smołą i niszczy. Soldateska sprowadza na naród niesłychaną*

nędzę. Żołnierze nie mają już najmniejszego poczucia odpowiedzialności wobec własnych rodaków, ale są ich największymi wrogami i gwałcicielami, ślepo oddanymi niszczycielskiej woli swego rozkazodawcy — Hitlera.

W specjalnym rozkazie z dnia 5 marca von Ahlfen nakazuje oddziałom bezwzględne przeprowadzenie ewakuacji. Nakazuje również pouczyć żołnierzy, aby „ze źle pojętej litości"' nie przeciwstawiali się wykonaniu rozkazu.

W ewakuowanych dzielnicach specjalne „Brandkommandos" przystępowały do systematycznego opróżniania mieszkań z domowego dobytku, a następnie do podpalania domów i wysadzania ruin w powietrze. Autorzy cytowanej pracy „So kämpfte Breslau" nie mogli całkowicie przemilczeć planowej akcji burzenia całych dzielnic, położonych zresztą nie tylko w strefie działań wojskowych, ale i w śródmieściu. Podkreślają oni jednak z naciskiem, że palono tylko domy leżące w bezpośredniej linii frontu:

... podpalano celowo zabudowania szczególnie utrudniające obronę, głównie zaś narożniki, a następnie wysadzano w powietrze mury zewnętrzne i wewnętrzne. Że tego rodzaju wypalone pola walki leżały w bezpośrednim obrębie frontu i poza obszarem potrzebnym ludności do celów mieszkalnych, nie wymaga chyba żadnej wzmianki.

Tym bardziej więc warto zwrócić uwagę na rozkazy Niehoffa dotyczące burzenia całych dzielnic miasta. W rozkazie nr 34 z 16 marca 1945 czytamy:

Następujące ciągi ulic uznaje się niniejszym za obszar zamknięty: od Kaiserbrücke (dziś Most Grunwaldzki) na południe — do Uferzeile (Wybrzeże Wyspiańskiego), z jego wyłączeniem; na wschód — do Hobrechtufer (Wybrzeże L. Pasteura), z jego wyłączeniem; na północ — północna strona Fürstenstrasse (Grunwaldzka od Mostu Szczytnickiego do końca), Kleine Fürstenstrasse (Płowiecka); na zachód — zachodnia strona Kleine Fürstenstrasse (Płowiecka), Gertrudenstrasse (B. Poznańczyka), Kaiserstrasse (obecnie główna oś placu Grunwaldzkiego). Na obszar zamknięty nie wolno wejść żołnierzom ani osobom cywilnym. Wyjątek: oddziały łączności zaopatrzone w zezwolenie dowódcy wojsk łączności twierdzy.

Nietrudno zauważyć, że określony w cytowanym rozkazie obszar „zamknięty" pokrywa się z wyburzonym obszarem dzisiejszego placu Grunwaldzkiego, a nawet poza ten obszar wykracza. Obejmował on w rozkazie również gmachy obecnej Akademii Medycznej i Wyższej Szkoły Rolniczej. Dzieła zniszczenia widocznie nie zdołano ostatecznie zakończyć.

Śmierć około 13 tysięcy osób, zapędzonych w brutalny sposób do prac na polu startowym, okazała się zupełnie niepotrzebna: zaledwie jeden samolot zdołał opuścić nowe lotnisko. Trzeba też podkreślić, że zagładzie uległa dzielnica, nazywana przez „Baedecker" — „naukową", wraz z archiwum państwowym, zabytkowymi kościołami Marcina Lutra, św. Kamizjusza i klasztorem „Dobrego Pasterza".

Z rozkazu komendanta płonęły domy południowej strony dzisiejszej ulicy Świerczewskiego, wzdłuż ulic Hubskiej, Gajowej itd. Ksiądz Peikert zapisał wówczas w swoim pamiętniku: *„Rosjanie nie wyrządziliby nam nigdy tego, co właśni żołnierze".*

17 marca szeroko zakrojoną operacją niszczycielską objęte zostały ulice śródmieścia: Zgody, Brochowska i Kościuszki. Rozkaz komendanta Niehoffa nr 38 z 20 marca wymienia jeszcze wiele innych ulic przeznaczonych do wyburzenia:

Pułk sap. W toku dalszej rozbudowy umocnień spalone zostaną domy po południowej, względnie zachodniej stronie Webskystrasse (Zgody), Tauentzien-

strasse (Kościuszki) na całej jej długości, Freiburgerstrasse (Świebodzka), Elferplatz (plac Kirowa), Schwertsstrasse (nie istniejąca dziś ulica obok placu Czerwonego), Fischergasse (Rybacka), Einundtünfzigerstrasse (dziś nie istniejąca) aż do Odry Południowej. Jednostki, które mają w tych domach swe kwatery, winny je opuścić. Prace podpalania należy rozpocząć natychmiast.

W dniu 22 marca Peikert odnotował:

Nie Rosjanie podpalają domy i wzniecają pożary — tylko żołnierz niemiecki. To, co się stało na południu miasta, dzieje się teraz na wschodzie.

Przy dzisiejszej ulicy Krakowskiej wojsko przystąpiło do burzenia ewangelickiego kościoła królowej Luizy, a w Wielki Czwartek 29 marca również do burzenia katolickiego kościoła Św. Józefa przy tejże ulicy. W księdze chrztów parafii Św. Józefa zachował się zapis w języku niemieckim sporządzony przez ówczesnego proboszcza:

W Wielki Czwartek, dnia 29 marca 1945 r. kościół Św. Józefa został podpalony przez żołnierzy niemieckich; spłonął całkowicie wraz z przynależnymi zabudowaniami: probostwem, domem sióstr, świetlicą parafialną i kancelarią oraz przedszkolem.

Faktów powyższych nie mogą się wyprzeć komendanci twierdzy. *85 proc. zniszczeń we Wrocławiu zaliczyć trzeba na poczet naszego Werhmachtu* — stwierdził niemiecki proboszcz parafii św. Maurycego. Walki uliczne na zachodzie i południu, wreszcie naloty bombowe — szczególnie z dni wielkanocnych — dopełniły dzieła zniszczenia. Spłonęły domy mieszkalne dzielnic śródmieścia i Ostrowa Tumskiego wraz ze wspaniałą katedrą.

★

Stłumienie oporu władz miejskich, sprzeciwiających się planom burzenia Wrocławia, było zapowiedzią coraz bardziej brutalnego terroru wobec wszystkich, którzy powątpiewali w celowość obrony. Rozpoczęło się panowanie sądów doraźnych. 29 stycznia 1945 został rozstrzelany wiceburmistrz dr Spielhagen, dzieląc los dyrektora rejencji, dra Sommera, oraz burmistrzów Brochowa i Kleciny.

Cytowany J. Thorwald, opierając się na wypowiedzi von Ahlfena, twierdzi, że we Wrocławiu nie realizowano rozkazu ścigania dezerterów i asekurantów. Tymczasem wśród odnalezionych dokumentów zachował się następujący rozkaz dzienny nr 2 z 8 lutego, podpisany przez generała Ahlfena:

Zobowiązuję wszystkich dowódców do utrzymania powierzonych stanowisk. Kto samowolnie opuści pozycje i wycofa się, zostanie przez sąd doraźny skazany na śmierć za tchórzostwo. Każdy dowódca, obojętnie której jednostki, ma nie tylko prawo, ale i obowiązek przeciwstawienia się opuszczającym pozycję asekurantom (Drückeberger) wszelkimi środkami, nawet przy użyciu broni. Za przestrzeganie tego rozkazu czynię odpowiedzialnymi wszystkich dowódców.

Rozkaz ten był stosowany we Wrocławiu z całą bezwzględnością, co z kolei dobitnie potwierdzają rozkazy komendantury (np. nr 7 z 4 lutego, nr 3 z 9 lutego i nr 13 z 20 lutego).

Tłumieniem oporu ludności cywilnej i wojska zajmowały się w mieście specjalne patrole wojskowe oraz rozbudowany aparat Gestapo i sądownictwa doraźnego. Każdy oddział załogi Wrocławia miał odrębny sąd. Dla wojsk artyleryjskich np. utworzony on został rozkazem z 23 lutego. Pewne szczegóły dotyczące funkcjonowania tych sądów znaleźć można w rozkazie nr 1 dowództwa wojsk artyleryjskich z 16 lutego:

8. Dezercja — niedozwolone oddalanie się

Dwa stwierdzone wypadki dezercji zobowiązują do złożenia meldunku niezwłocznie po ustaleniu stanu faktycznego. Pisemny meldunek z wyczerpują-

cym przedstawieniem stanu faktycznego, wszystkich przedsięwziętych już środków represyjnych i dokładnymi personaliami winien być następnie natychmiast przesłany sądowi doraźnemu twierdzy Wrocław w dwóch oraz oddziałowi w jednym egzemplarzu.

Sądy wdrażały postępowanie we wszystkich wypadkach, kiedy zachodziło podejrzenie dezercji. Czyniły to niezwykle rygorystycznie, czego wymownym przykładem jest zachowany rozkaz specjalny von Ahlfena z 5 marca:

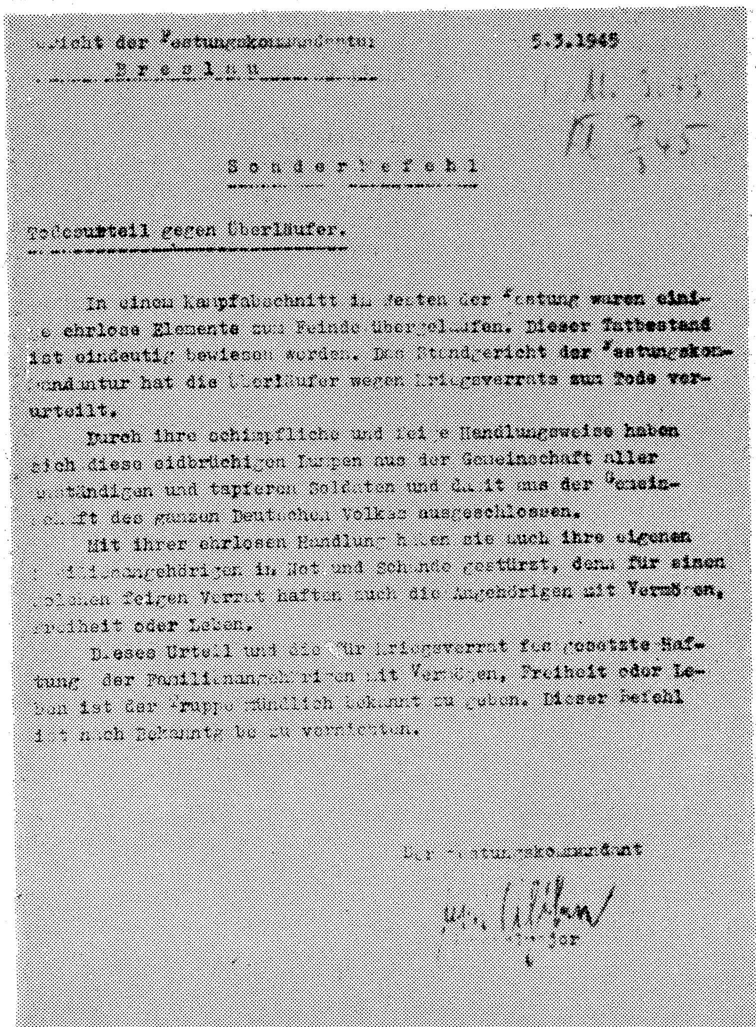
Sąd Komendantury Twierdzy 5. III. 1945
Wrocław

Rozkaz specjalny

Wyrok śmierci na dezerterów

Na jednym z odcinków frontowych na zachodzie twierdzy wielu pozbawionych honoru osobników przeszło na stronę nieprzyjaciela. Taki stan faktyczny został stwierdzony bez wątpliwości. Sąd doraźny komendantury skazał dezerterów na śmierć za zdradę wojenną.

Swoim haniebnym i tchórzliwym czynem owi łajdacy, złamawszy przysięgę, wyzuli siebie ze wspólnoty wszystkich uczciwych i walecznych żołnierzy, a tym samym ze wspólnoty całego narodu niemieckiego.



[illegible]richt der Festungskommandantur 5.3.1945
Breslau

Sonderbefehl

Todesurteil gegen Überläufer.

In einem Kampfabschnitt im Westen der Festung waren einige ehrlose Elemente zum Feinde übergelaufen. Dieser Tatbestand ist eindeutig bewiesen worden. Das Standgericht der Festungskommandantur hat die Überläufer wegen Kriegsverrats zum Tode verurteilt.

Durch ihre schimpfliche und feige Handlungsweise haben sich diese eidbrüchigen Lumpen aus der Gemeinschaft aller anständigen und tapferen Soldaten und damit aus der Gemeinschaft des ganzen Deutschen Volkes ausgeschlossen.

Mit ihrer ehrlosen Handlung haben sie auch ihre eigenen Familienangehörigen in Not und Schande gestürzt, denn für einen solchen feigen Verrat haften auch die Angehörigen mit Vermögen, Freiheit oder Leben.

Dieses Urteil und die für Kriegsverrat festgesetzte Haftung der Familienangehörigen mit Vermögen, Freiheit oder Leben ist der Truppe mündlich bekannt zu geben. Dieser Befehl ist nach Bekanntgabe zu vernichten.

Der Festungskommandant
[illegible]
[illegible]jor

[illegible] III

Niecnym czynem narazili również swoich najbliższych na kłopoty i hańbę, gdyż za tak tchórzliwą zdradę odpowiedzialni są również krewni — majątkiem, wolnością lub życiem. Rozkaz niniejszy oraz odpowiedzialność najbliższych krewnych w wypadku zdrady wojennej ich majątkiem, wolnością lub życiem należy ustnie obwieścić wojsku. Rozkaz niniejszy po ogłoszeniu należy zniszczyć.

Komendant twierdzy
von Ahlfen
generał-major

Dowody terroru znaleźć można również w zachowanych księgach zgonów. W księdze oznaczonej sygnaturą 298 z roku 1945 pod numerem 500 wpisano zgon woźnicy Waruma, uznanego za „szkodnika narodu" i rozstrzelanego dnia 1 lutego; pod numerem 1252 księgi oznaczonej sygnaturą 300 — zgon rencisty Püschela rozstrzelanego 14 marca z powodu „śmiertelnego oporu"; pod numerem 1542 księgi oznaczonej sygnaturą 301 znajdujemy zapis zgonu artysty Moknerta, rozstrzelanego 24 marca „w czasie ucieczki" itd.

Jeszcze w dniu kapitulacji garnizonu wrocławskiego wczesnym rankiem w więzieniu kleczkowskim rozstrzelano kilkanaście osób.

★

Terrorowi w oblężonym mieście przeciwstawiała się grupa ruchu oporu nosząca nazwę „Antifaschistische Freiheitsbewegung" (Antyfaszystowski Ruch Wolności), skupiająca działaczy KPD-owskich, jak H. Hartmann, F. Schär, K. Launer, G. Ulbrich i E. Waschlewski. Dobrze zakonspirowana siedziba antyfaszystów mieściła się na początku roku 1945 w kamienicy przy Paulstrasse (Michała Wrocławczyka) 16/18. Grupa prowadziła ożywioną działalność antyhitlerowską i antymilitarną. We własnej drukarence wydawano liczne ulotki, a w lutym przystąpiono nawet do redagowania gazety „Der Freiheits-Kämpfer", którą kolportowano po całym mieście. W swoich wydawnictwach komuniści wrocławscy rzetelnie informowali ludność i załogę twierdzy o prawdziwych wydarzeniach na froncie, wzywając jednocześnie do obalenia reżimu nazistowskiego i do zaprzestania bezsensownej wojny. Oto treść jednej z ulotek z początków lutego:

Obywatele wrocławscy

Jeszcze kilka godzin i nazistowska tyrania dobiegnie końca. Pokażcie, że rozpoznaliście oszustwo. Gdy naziści zechcą was ponownie wysłać na ulicę, wyrzućcie ich. Zerwijcie im symbole ciemiężenia. Powiedzcie żołnierzom: Połóżcie kres wojnie. Niech żyją Wolne, Niezawisłe Niemcy!

Podać dalej.

Ostro zwłaszcza piętnowano postępowanie władz NSDAP podczas przymusowej ewakuacji ludności, demaskowano okropną sytuację we wrocławskich szpitalach, protestowano przeciwko sądom doraźnym i systematycznemu burzeniu miasta przez „Nerona Wrocławia" — generała Niehoffa. Oto fragment z 4 numeru „Bojownika Wolności" z 20 marca 1945:

Neron we Wrocławiu

Niehoff polecił m.in. spalić i zburzyć Kaiserstrasse (główna oś placu Grunwaldzkiego) i całą dzielnicę aż do Kaiserbrücke (Mostu Grunwaldzkiego), milionowe wartości niemieckich dóbr narodowych zostały w ten sposób zniszczone. Historia podpalenia Rzymu przez najemników Nerona spotkała się z potępieniem ze strony potomności. Zbrodniarz Niehoff przewyższa jednak

znacznie pęd do zniszczeń Nerona. Dawniej groziła w Niemczech kara śmierci za podpalenie stogu słomy. Dziś we Wrocławiu na śmierć skazuje się tego, kto odmawia pomocy nazistowskim kreaturom przy podpalaniu i burzeniu. Najwyższy już czas, by wszyscy uczciwi ludzie połączyli się i wspólnie przeciwstawili tym podpalaczom.

Obok propagandy wrocławska grupa ruchu oporu prowadziła wiele akcji sabotażowych, a nawet dokonała kilku zamachów. Zachowała się wiadomość, że 30 marca wysadzone zostały w powietrze komitety dzielnicowe NSDAP Gneisenau (rejon placu Bema) i Elbing (rejon ulicy Nowowiejskiej), w których pozostawiono teczki z bombami zegarowymi.

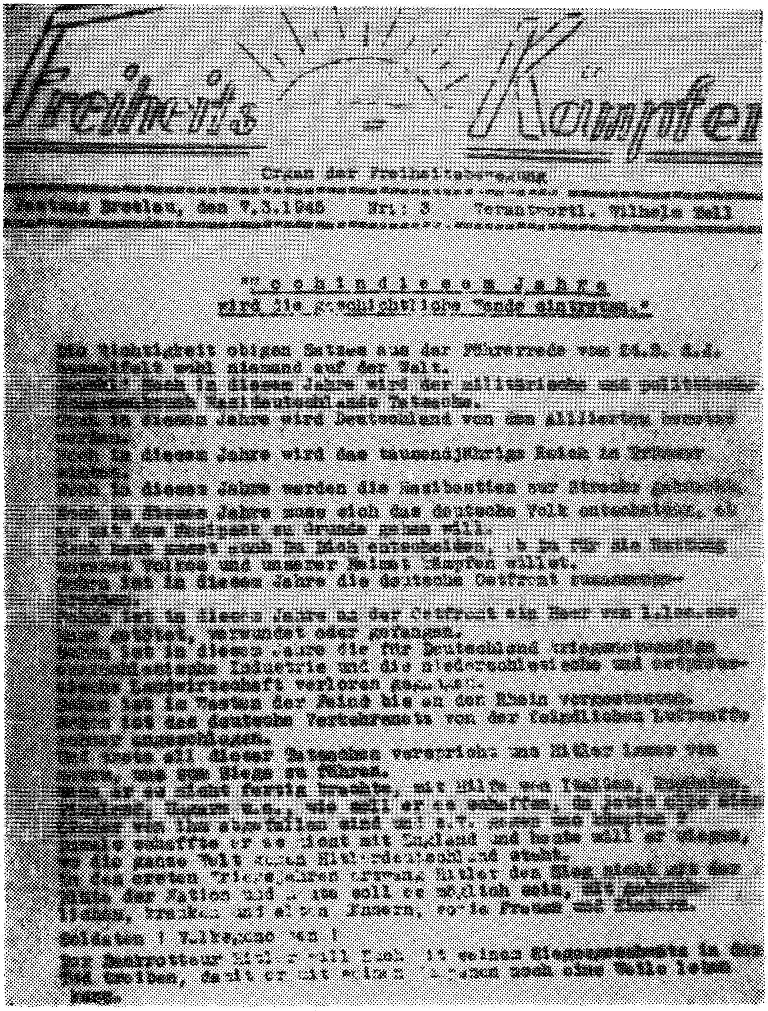
Bezsprzeczną zasługą wrocławskich antyfaszystów jest wyrobienie wśród ludności miasta głębokiego przeświadczenia o beznadziejności dalszego prowadzenia wojny. Zgodnie z wezwaniem rzuconym przez „Freiheitsbewegung", umieszczano na dachach domów białe flagi dla uchronienia ich przed nalotami. Pod koniec kwietnia wezwano ludność Sępolna i Biskupina do zaprotestowania przeciwko dalszemu prowadzeniu wojny. Przed lokalami NSDAP i kwaterami wojskowymi zebrały się tłumy kobiet, dzieci i mężczyzn z białymi flagami, domagając się zaprzestania walki. Przeciwko demonstrantom wyruszyła policja, nie obyło się bez aresztowań. Mimo to w pierwszych dniach maja przygotowano nową demonstrację na Ostrowie Tumskim.

★

W oblężonym mieście — poza niemiecką ludnością cywilną — najliczniejsze ugrupowanie narodowościowe stanowili Polacy. Byli to przedwojenni działacze Związku Polaków w Niemczech, więźniowie niemieckich obozów pracy, powstańcy warszawscy deportowani tu w końcu roku 1944, wreszcie Polacy zatrudnieni u majstrów niemieckich i w przemyśle zbrojeniowym rozrzuconym po przedmieściach Wrocławia.

Liczba Polaków przebywających w mieście w latach wojny wynosiła kilkadziesiąt tysięcy. Część zginęła w obozie koncentracyjnym przy ulicy Hubskiej, część zmarła w więzieniach Gestapo przy dzisiejszej ulicy Druckiego-Lubeckiego i Świebodzkiej, a około 250 więźniów polskich ścięto na gilotynie w więzieniu przy ulicy Klęczkowskiej. Z więźniów Gestapo ocaleli tylko nieliczni, zwolnieni w okresie panicznej ewakuacji miasta. Do nich należy m. in. dawny prezes dolnośląskiego oddziału Związku Polaków w Niemczech Franciszek Juszczak. Inny wybitny działacz Polonii wrocławskiej, dr Stefan Kuczyński, został zwolniony wcześniej. Podczas oblężenia Wrocławia ordynował on w punkcie opatrunkowo-chirurgicznym w schronie przy ul. Poznańskiej. Inicjatywie dr Kuczyńskiego należy zawdzięczać przeniesienie dużego obozu polskiego z baraków przy ul. Góralskiej w bardziej bezpieczne miejsce. Faszyści pozostawili bowiem około 5 000 Polaków w obozie znajdującym się niedaleko ówczesnych zakładów zbrojeniowych Linke-Hoffman (Pafawag), będących pod bezpośrednim ogniem artyleryjskim walczących stron. Inne obozy Polaków zorganizowano podczas oblężenia w pustych budynkach szkolnych, a mniejsze skupiska w szpitalach Św. Ducha i Św. Jerzego. W największym obozie przy dzisiejszej ul. Bossaka-Haukego 19 stłoczono ponad 3 000 osób narodowości polskiej, ukraińskiej, czeskiej, węgierskiej, serbskiej, bułgarskiej i francuskiej. Według relacji niemieckiego proboszcza w obozie tym panowały warunki wprost nie do opisania:

W każdym kącie, nawet na schodach, na korytarzach leżą ludzie pozbawieni ojczyzny... Tak, ci obcokrajowcy zapamiętają Niemcy na zawsze. (...) Z każdym zwierzęciem domowym obchodzi się lepiej niż z tymi ludźmi gwałtem



Freiheits Kämpfer

Organ der Freiheitsbewegung

Festung Breslau, den 7.3.1945 Nr.: 3 Verantwortl. Wilhelm [illegible]

"Noch in diesem Jahre
wird die geschichtliche Wende eintreten."

Die Richtigkeit obigen Satzes aus der Führerrede vom 24.2. d.J. bezweifelt wohl niemand auf der Welt.
Jawohl! Noch in diesem Jahre wird der militärische und politische Zusammenbruch Nazideutschlands Tatsache.
Noch in diesem Jahre wird Deutschland von den Alliierten besetzt werden.
Noch in diesem Jahre wird das tausendjährige Reich in Trümmer sinken.
Noch in diesem Jahre werden die Nazibestien zur Strecke gebracht.
Noch in diesem Jahre muss sich das deutsche Volk entscheiden, ob es mit dem Nazipack zu Grunde gehen will.
Noch heut musst auch Du Dich entscheiden, ob Du für die Rettung unseres Volkes und unserer Heimat kämpfen willst.
[illegible] ist in diesem Jahre die deutsche Ostfront zusammengebrochen.
[illegible] ist in diesem Jahre an der Ostfront ein Heer von 1.100.000 Mann getötet, verwundet oder gefangen.
[illegible] ist in diesem Jahre die für Deutschland kriegswichtige [illegible] Industrie und die niederschlesische und [illegible] Landwirtschaft verloren gegangen.
[illegible] ist im Westen der Feind bis an den Rhein vorgestossen.
[illegible] ist das deutsche Verkehrsnetz von der feindlichen Luftwaffe [illegible] zerschlagen.
Und trotz all dieser Tatsachen verspricht uns Hitler immer von neuem, uns zum Siege zu führen.
Wenn er es nicht fertig brachte, mit Hilfe von Italien, [illegible], Finnland, Ungarn u.s., wie soll er es schaffen, da jetzt alle diese Länder von ihm abgefallen sind und z.T. gegen uns kämpfen ?
[illegible] schaffte er es nicht mit England und heute will er siegen, wo die ganze Welt gegen Hitlerdeutschland steht.
In den ersten [illegible] Hitler den Sieg nicht [illegible] der Blüte der Nation und [illegible] soll es möglich sein, mit [illegible], Kranken [illegible] Frauen und Kindern.
Soldaten ! [illegible] !
Der Bankrotteur [illegible] will [illegible] seinen Siegesgedanken in den Tod treiben, damit er mit [illegible] noch eine Weile leben kann.

wyrwanymi ze swych domostw i ojcowizny, którzy teraz jeść tutaj muszą gorzki chleb wygnania.

Obóz przy ul. Bossaka-Haukego 19 został zbombardowany podczas wielkanocnych nalotów. Wielu Polaków zginęło. Nie o wszystkich wiadomo nawet, gdzie ich pochowano. Wiele mogił polskich pokryło także teren obozu „Burgweide“, założonego dla cudzoziemców w pobliżu Polanowic. Polaków obowiązywał przymus pracy — szczególnie ostry po 7 marca, kiedy forsowano budowę lotniska na obszarze dzisiejszego placu Grunwaldzkiego. Ilość ofiar wśród Polaków była wprost potworna, gdyż w czasie nalotów i ognia artyleryjskiego nie zezwalano na opuszczenie terenu pracy pod groźbą rozstrzelania.

Na krótko przed kapitulacją garnizonu wrocławskiego dowództwo niemieckie kolportowało między Polakami ulotki głoszące, że Niemcy, Ameryka i Anglia zjednoczyły się do walki ze Związkiem Radzieckim. Zezwalano nawet wówczas Polakom śpiewać hymn narodowy, wszelkimi sposobami zachęcając jednocześnie do zgłaszania się przed komisję poborową. Wobec fiaska propagandy planowano nawet przymusową mobilizację Polaków, ale zamiaru tego nie zdążono zrealizować.

W końcu kwietnia Wrocław stanowił ogromne pole dopalających się ruin. Fanatyczny dowódca jednak wciąż jeszcze wierzył w gwiazdę führera. Kiedy wojska radzieckie walczyły już na ulicach Berlina, generał Niehoff hucznie obchodził urodziny swego wodza. W rozkazie do wojsk garnizonu z 20 kwietnia stwierdza między innymi:

Tocząc ciężką walkę obronną o stolicę Śląska, wzrok nasz kierujemy w dniu dzisiejszym ku człowiekowi, który jest wcieleniem ufności i nadziei — ku Adolfowi Hitlerowi. (...) Nasza nadzieja będzie tym większa, im dłużej będziemy walczyć, gdyż Adolf Hitler jest z walecznymi, jego siła będzie naszym oporem.

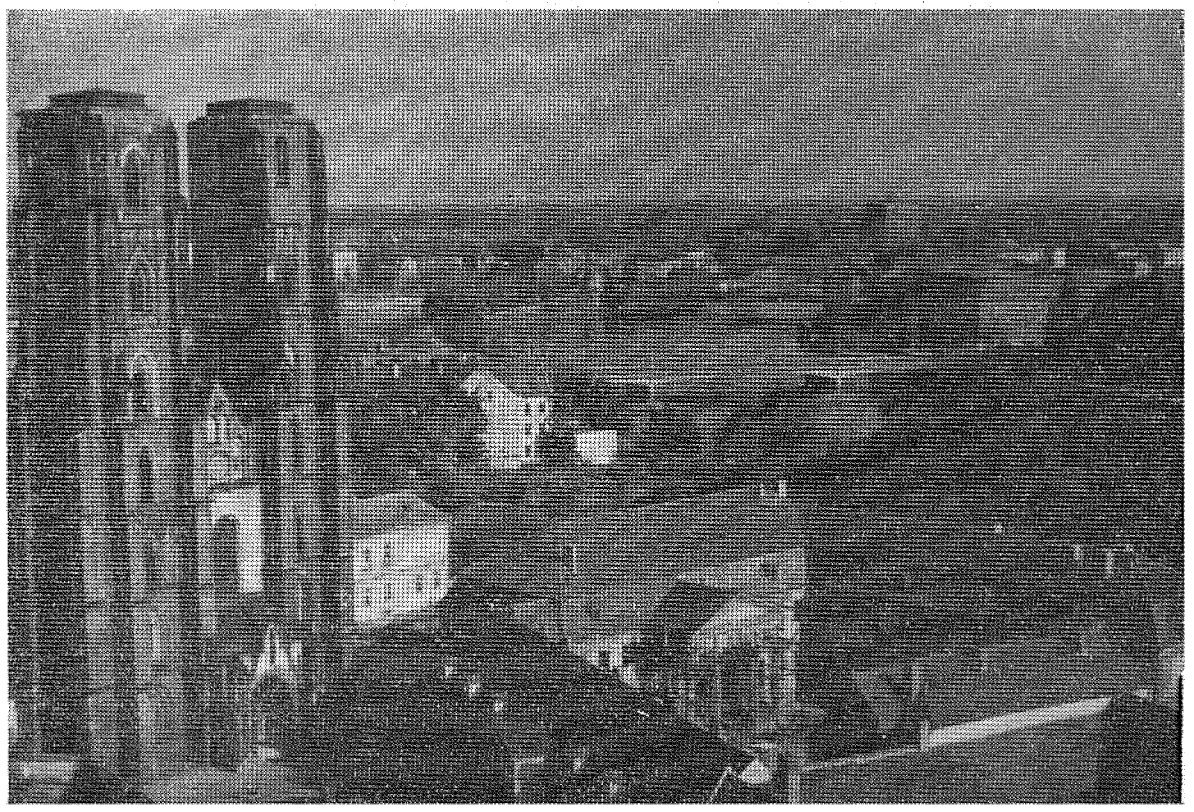
Trevor Roper, autor „Ostatnich dni Hitlera", miał rację pisząc, że długoletnią wojnę zakończył Hitler „z garścią posłusznych mu zer". W czasie, kiedy Niehoff wygłaszał płomienne przemówienia na cześć Hitlera, w mieście szalały pożary. Z powierzchni ziemi zostały starte dzielnice południa i zachodu. Walki uliczne toczyły się przy ul. Legnickiej w pobliżu dzisiejszego placu 1-Maja. Na Karłowicach rozstrzeliwano „opornych" żołnierzy. Groził bunt ludności cywilnej Ostrowa Tumskiego. Niehoff był wciąż niewzruszony. 4 maja delegacji proszącej go o zawieszenie broni przedstawił swój projekt przebicia się przez linie radzieckie.

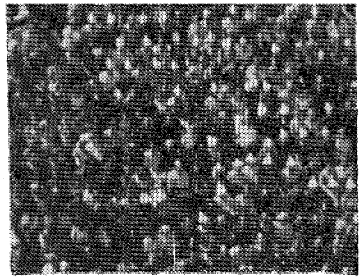
6 maja podpisano akt kapitulacji garnizonu. Ogłaszając to zwycięstwo gazeta frontowa „Głos Wolności" zwróciła się z apelem do Polaków:

Jak niedawno Szczecin, tak dziś Wrocław oczekuje pionierów i pierwszych budowniczych naszej polskiej rzeczywistości. Niech nie czeka długo. Polacy — frontem do Wrocławia!

Karol Jonca **Alfred Konieczny**

Wrocław — Ostrów Tumski *Fot. Adam Czelny*





CZY NIEMCY SĄ PRZELUDNIONE

JÓZEF KOKOT

Zagadnienia demograficzne (ilość ludności, gęstość zaludnienia na 1 kilometr kwadratowy, ruchy naturalne ludności i jej migracje) stanowią jedną z zasadniczych płaszczyzn zachodnioniemieckiego ataku rewizjonistycznego na granicę Odry i Nysy Łużyckiej. Akcja rewizjonistyczna opiera się na trzech zasadniczych założeniach:

a) na oderwaniu powojennych migracji ludnościowych od całości procesów demograficznych, jakie odbywały się na terenie Niemiec w granicach poczdamskich w latach 1939—1945 (pominięcie strat wojennych — bezpośrednich Wehrmachtu i ludności cywilnej oraz pośrednich w postaci postępującego w miarę przedłużania się wojny zmniejszania liczby urodzeń; akcji przesiedleńczej rozmaitych grup Volksdeutschów sprowadzonych przez Hitlera z krajów bałtyckich, Wołynia, Bukowiny, Besarabii itd; trwałego zmniejszenia niemieckiej aktywności biologicznej przez wojenny wyrąb mężczyzn i ustawicznego starzenia się ludności Niemiec; masowej przymusowej imigracji jeńców i robotników cudzoziemskich itp.);

b) na koncentrowaniu całej uwagi na migracjach z lat 1945—1950, a zwłaszcza z lat 1945 i 1946, bez dłuższej perspektywy demograficznej, niezbędnej przy rozpatrywaniu zjawisk populacyjnych, z natury swojej długofalowych, oraz na ujmowaniu wszystkich przesiedleńców — bez względu na ich pochodzenie — wspólnym terminem „Heimatvertriebene" (wypędzony z ojczyzny);

c) na traktowaniu stosunków w NRF jako typowych dla całych Niemiec powojennych (np. przy rozpatrywaniu migracyjnego wzrostu ludności — w tym także liczby byłych przesiedleńców, po ustaniu „przesiedleń poczdamskich". Oceniając przyrost naturalny nie zwraca się także uwagi na równoczesne wydatne zmniejszenie się ilości mieszkańców Berlina w stosunku do okresu przedwojennego. Przyrost ten jest znacznie większy w NRF niż w NRD, natomiast w Berlinie jest wręcz deficytowy itp.), co nadaje wszystkim omawianym procesom demograficznym sztucznie powiększoną, rozdmuchaną dynamikę, której w skali ogólnoniemieckiej w rzeczywistości w ogóle nie ma.

Stosując takie metody uzyskują rewizjoniści następujące efekty statystyczne:

1) niewspółmiernie wysoki odsetek ludności przesiedleńczej w stosunku do miejscowej, stanowiącej „normalne" zaludnienie;

2) wielokrotnie zwiększone raty roczne migracyjnego przyrostu ludności i pomieszanie migracji wywołanych zmianami granic — z migracjami „Volks-

deutchów" z całej Europy, niezależnymi od zmiany granic. To wszystko po to, aby pokazać niemożliwość integracji przesiedleńców i wielkość problemu „krzywdy";

3) wyolbrzymiony przyrost ludności w NRF, który poza słabym ruchem naturalnym i skromną imigracją jest tylko przemieszczaniem w obrębie Niemiec, a nie przyrostem dla całych Niemiec (zarówno w liczbach bezwzględnych, jak i procentowo).

Takiemu ujmowaniu sprawy przez rewizjonistów musimy konsekwentnie przeciwstawiać racjonalne tezy, a więc, że:

I. przesiedlenia stanowiły demograficzne wyrównanie sumy dwóch grup strat ludnościowych Niemiec: strat wojennych i wojennego (oraz bezpośrednio powojennego) deficytu urodzin, połączonego ze wzrostem śmiertelności ludności cywilnej w latach wojny i bezpośrednio po wojnie. Przy takim ujęciu „normalnym" zaludnieniem byłby stan, jakiby w Niemczech zaistniał na dany rok spisowy, gdyby nie było wojny (a więc do ludności miejscowej trzeba za każdym razem dodać straty wojenne i deficyt urodzin, względnie zwiększyć jej liczbę według stanu z roku 1939 o „normalny" przyrost naturalny od tegoż roku według rocznej stopy 8 promille, co dawało corocznie około pół miliona osób);

II. rocznego przyrostu ludności (zwłaszcza przy pełnym wachlarzu wieku i płci) nie można liczyć w odstępach rocznych, lecz w okresach wieloletnich, odpowiadających długofalowości procesów ludnościowych (a więc co najmniej 10-letnich lub jednej generacji). W żadnym wypadku nie mogą takich okresów-baz obliczeniowych stanowić tutaj lata 1945—46 lub 1945—50, gdyż trzeba je oprzeć zarówno na poprzedzających je latach gwałtownego ubytku i stagnacji ludności (1940—1945), jak i na latach następującego później uspokojenia ruchów ludnościowych po roku 1950. Dla tej prawidłowości niezbędne jest również odrębne liczenie byłych mieszkańców byłych pruskich ziem wschodnich oraz różnych grup „Volksdeutschów", których ściąganie rozpoczął Hitler;

III. obiektywna ocena rozmiarów i konsekwencji migracji powojennych na terenie Niemiec współczesnych wymaga ujmowania sprawy zawsze w aspekcie całych Niemiec, tj. obydwu państw niemieckich i Berlina, bez względu na dokonujące się nadal w ich obrębie migracje wpływające również na ruch naturalny ludności (poprzez strukturę płci i wieku). Rozbicie polityczne Niemiec i trwające nadal migracje nie są skutkami ustalenia nowej granicy wschodniej Niemiec na Odrze i Nysie Łużyckiej oraz podjętych w związku z tym przesiedleń. Mierzenie tych zjawisk wyłącznie skalą NRF mijałoby się z prawdą i odnosiłoby się do innych spraw aniżeli do zmian geograficzno-przesiedleńczych.

★

Przedstawimy teraz kilka najczęstszych tez rewizjonistycznych, replikując na nie pokazaniem rzeczywistych faktów.

Nadzwyczajny przyrost ludności. W wyniku przeprowadzonych po roku 1945 wysiedleń z Polski, Czechosłowacji i państw bałkańskich (była to największa imigracja, jakiej kiedykolwiek doświadczyły Niemcy bądź też inne państwo europejskie) liczba ludności Niemiec po kolejnym, strasznym upuście krwi wzrosła gwałtownie o 8 procent. Taka jest pierwsza teza rewizjonistów.

Dzisiaj możemy bez dłuższego dowodzenia stwierdzić, że pytanie, czy Niemcy — a w szczególności NRF — będą w stanie wchłonąć i zintegrować falę przesiedleńców — zostało już wyjaśnione eksperymentalnie. W obydwu państwach niemieckich brakuje rąk do pracy, w NRD nie ma w ogóle bezrobocia,

a w NRF osiągnęło ono najniższy poziom po wojnie (ok. 400 tys. w grudniu 1959, ok. 200 tys. w miesiącach od czerwca do listopada 1959), mimo że roczny przyrost migracyjny NRF (m. in. na skutek tzw. łączenia rodzin) wyniósł w latach 1953—1958 przeciętnie ok. 328 tys., a więc znacznie więcej, aniżeli przyrost naturalny.

Jeżeli sobie przypomnimy, że ta migracja jest forsowana przez rząd NRF, to możemy stąd wyciągnąć jedynie wniosek o braku ludzi do pracy i o stagnacji demograficznej NRF, którym ta migracja ma zapobiec.

Globalnie — na koniec roku 1959 — obecny rzeczywisty stan zaludnienia Niemiec współczesnych odpowiada niemal dokładnie stanowi, jaki należało na ten rok przewidywać przy normalnym rozwoju demograficznym Niemiec, gdyby nie było wojny. Oznacza to, że cała anormalność przyrostu ludnościowego Niemiec współczesnych została zlikwidowana w ciągu niespełna 15 lat (1/2 generacji), a dalszy rozwój w ciągu życia tego samego pokolenia, na skutek wyrębu wojennego, przyniesie już w roku 1975 kompletną stagnację (czyli recesję w porównaniu z rozwojem pokojowym), po której nastąpi kurczenie się ludności Niemiec.

P r z e l u d n i e n i e i z m n i e j s z e n i e „L e b e n s r a u m u". W NRF obliczono, że w roku 1950 na czterech dotychczasowych terenach okupowanych, w Berlinie i na obszarze Saary żyje ogółem 70 milionów Niemców. Liczba ludzi, których trzeba wyżywić, jest ta sama, co w roku 1939, natomiast niemiecki obszar gospodarczy jest od roku 1945 o jedną czwartą mniejszy. Niemieckie tereny położone na wschód od Odry i Nysy, z których po roku 1945 wysiedlono ludność niemiecką, wynosiły w granicach z roku 1937 nie mniej niż 24,3 procent stanu ogólnej powierzchni Niemiec.

Gęstość zaludnienia na pozostałym obszarze Niemiec wzrosła przeto od roku 1939 do 1950 ze 148 do 196 osób na kilometr kwadratowy i od tego czasu wzrastała jeszcze bardziej. Niemcy stoją teraz — wraz z Belgią, Anglią i Holandią — jeśli nie brać pod uwagę ich terenów kolonialnych — na czele najgęściej zaludnionych obszarów Europy. Taką opinię głoszą demografowie zachodnioniemieccy. I to jest druga teza rewizjonistów.

Szermowanie jednak pojęciem przeludnienia i rewizjonistycznym hasłem nowej walki o „Lebensraum" dla narodu niemieckiego nie ma w danym wypadku żadnych podstaw w rzeczywistości ekonomicznej i demograficznej Niemiec w granicach poczdamskich. Wskazuje to poniższe zestawienie elementów kompleksowego, całościowego analizowania i oceny sytuacji:

Nie ma absolutnego pojęcia przeludnienia ani absolutnej granicy wypływającej stąd gęstości zaludnienia. „Pojemności ludnościowej danego okręgu gospodarczego nie określa wyłącznie cyfra gęstości zaludnienia ... Problem „przestrzeni życiowej" nie jest zagadnieniem regionu geograficznego, lecz gospodarczych warunków egzystencji, a więc możliwości produkcji i zarobkowania ... Decydujący jest tutaj potencjał produkcyjny w ogóle" — stwierdzają mi in. niemieccy autorzy, W. Bauer i W. Fuelster.

Przemysłowa gospodarka Niemiec i ustawiczna urbanizacja społeczeństwa tego kraju stwarza wciąż nowe możliwości zatrudnienia, wyprzedzające znacznie tempo ogólnego przyrostu ludności. Np. na terenie samej NRF, bez Zagłębia Saary i zachodniego Berlina, liczba ludności wzrosła w latach 1950—1958 o 9,0 proc., a liczba pracujących poza rolnictwem zwiększyła się o 33,4 proc., osiągając 20.060 tys. osób, tj. ponad 47,0 proc. ogółu ludności, mimo jej ogólnego wydatnego zestarzenia się (co z natury rzeczy zmniejsza potencjał pracy) i mimo znacznego postępu techniki produkcji (co zmniejsza zapotrzebowanie na siłę roboczą). W porównaniu ze stanem z roku 1939 oznacza to wzrost zatrudnienia w gospodarce nierolniczej NRF o 40,1 proc., podczas gdy ludność

wzrosła tylko o 30,7 proc. Ze względu na proces starzenia się społeczeństwa niemieckiego (odsetek ludności w wieku lat 65 i wyżej podniósł się w NRF z 7,4 proc. w roku 1939 do 10,0 proc. w roku 1955 a 11,2 proc. w roku 1957 i ustawicznie rośnie) oraz z powodu wojennego wyrębu mężczyzn roczników produkcyjnych i deficytu urodzin z tego okresu taki wzrost był możliwy tylko dzięki znacznej redukcji zatrudnienia w rolnictwie zachodnioniemieckim z 5.381 tys. osób w roku 1939 i 4.965 tys. osób w roku 1950 do 3.950 tys. osób w roku 1958, tj. o 27 proc. w stosunku do roku 1939 i ponad 20 proc. w stosunku do roku 1950.

Gęstość zaludnienia 203 osób/km^2, którą wykazały Niemcy jako całość z roku 1959, nie należy do największych w krajach o podobnej strukturze gospodarczej; znajduje się również daleko poniżej poziomu najbardziej zurbanizowanych i uprzemysłowionych regionów samych Niemiec. W każdej chwili można to zilustrować odpowiednimi cyframi.

Dla realnej i rzetelnej oceny sytuacji demograficzno-ekonomicznej jakiegoś państwa potrzeba analizy długofalowej zarówno w sensie retrospektywnym, jak zwłaszcza w sensie perspektywicznym.

Niemcy należą do krajów europejskich o współcześnie najsłabszej dynamice ludnościowej. W latach 1950—1960 przeciętna roczna rata wzrostu ludności Europy wynosi 5,5 mln. osób, tj. 10 promille. W Niemczech (całych) rata ta wynosi 258 tys. osób, tj. około 3,7 promille.

Przyrost naturalny w Europie (bez ZSRR) kształtował się w latach 1953—57 na poziomie 8 promille, w Niemczech — około 4,3 promille. W roku 1957 Niemcy miały przyrost naturalny najniższy w Europie (4,8 promille) po Austrii (4,2 promille) i Szwecji (4,7 promille), podczas gdy wszyscy pozostali sąsiedzi Niemiec mieli przyrost znacznie wyższy: Polska 18,0 promille, Czechosłowacja 8,9, Włochy 8,2, Szwajcaria 7,7, Francja 6,5, Belgia 5,1, Holandia 13,7, Dania 7,4 promille. Również Wielka Brytania miała przyrost naturalny większy od Niemiec (5,0 promille), a przyrost naturalny na terenach tradycyjnego niemieckiego „Drang nach Osten" i na Bałkanach był wielokrotnie większy od niemieckiego (Jugosławia 13,1 promille, Bułgaria 10,1, Grecja 11,7, Albania 27,3, Rumunia 12,7, ZSRR 17,5 promille).

Niski stan reprodukcji ludności w okresie powojennym w Niemczech wynikł przede wszystkim z dysproporcji płci w poszczególnych grupach wieku ludności (znaczna przewaga kobiet) oraz jej postępującego starzenia się. Dawało to w sumie małe raty roczne urodzin (nie wszystkie kobiety mogły wyjść za mąż) oraz wysoki procent zgonów (odsetek umierających jest w grupie starców bardzo duży).

Wnioski są jednoznaczne: Niemcy współczesne znajdują się u szczytu procesu zagęszczenia ludności na swoim terytorium w drodze przyrostu naturalnego. Ruch naturalny tej ludności wywoła jeszcze przed upływem jednej generacji zmniejszenie się gęstości zaludnienia w poszczególnych częściach Niemiec i w całym kraju. Gospodarka niemiecka już teraz staje wobec zaostrzającego się deficytu siły roboczej, co rodzi tendencje imigracyjne, przekreślające sensowność samego pojęcia przeludnienia w stosunku do Niemiec. Nawet mimo dużej fali migracji powojennych Niemcy nie osiągną gęstości zaludnienia najludniejszych krajów Europy, co jeszcze raz potwierdza naszą tezę, że repatriacje powojenne ludności niemieckiej stanowiły tylko wyrównanie strat wojennych Niemiec i wymianę cudzoziemskiej siły roboczej z okresu wojny na siły niemieckie.

U t r a t a   s i ł y   b i o l o g i c z n e j   N i e m i e c. W ciągu ostatnich stuleci prowincje wschodnie były dla Prus, a później dla Niemiec, źródłem siły bio-

logicznej. Oddawały one bez przerwy coraz silniej uprzemysłowionym terenom środkowych i zachodnich Niemiec część swoich wysokich nadwyżek urodzeń.

Ta teza niemiecka jest prawdziwa. Ale podkreślając stały strukturalny deficyt siły roboczej w obrębie Niemiec współczesnych obala ona równocześnie zasadniczo i generalnie obawy co do przeludnienia Niemiec. Nie można bowiem równocześnie głosić, że imigracje powojenne grożą Niemcom przeludnieniem — a z drugiej strony, że wyschnięcie źródła imigracji ze Wschodu grozi Niemcom niedoludnieniem w grupie ludności produkcyjnej. Przyszły rozwój gospodarczy Niemiec, poza czynnikiem postępu technicznego, będzie określany ich własnym potencjałem ludnościowym, bez możności sięgania po kolonialny rezerwuar na Wschodzie. To ograniczenie oraz wypływające stąd ciśnienie przeciw np. powiększeniu niemieckich sił zbrojnych nie będzie chyba w oczach postronnego obserwatora stosunków europejskich uchodzić za zjawisko zagrażające pokojowemu bytowi Niemiec oraz narodów Europy.

Niska gęstość zaludnienia Polski. To — na zakończenie — jeszcze jedna teza z arsenału antypolskiej argumentacji demograficznej. Argumentem stale i we wszystkich publikacjach wysuwanym przeciw granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej jest niska gęstość zaludnienia Polski w przeciwieństwie do wysokiej gęstości zaludnienia Niemiec. Na tym ma polegać imperializm polskiego „Drang nach Westen", zwłaszcza na tle strat wojennych Polski.

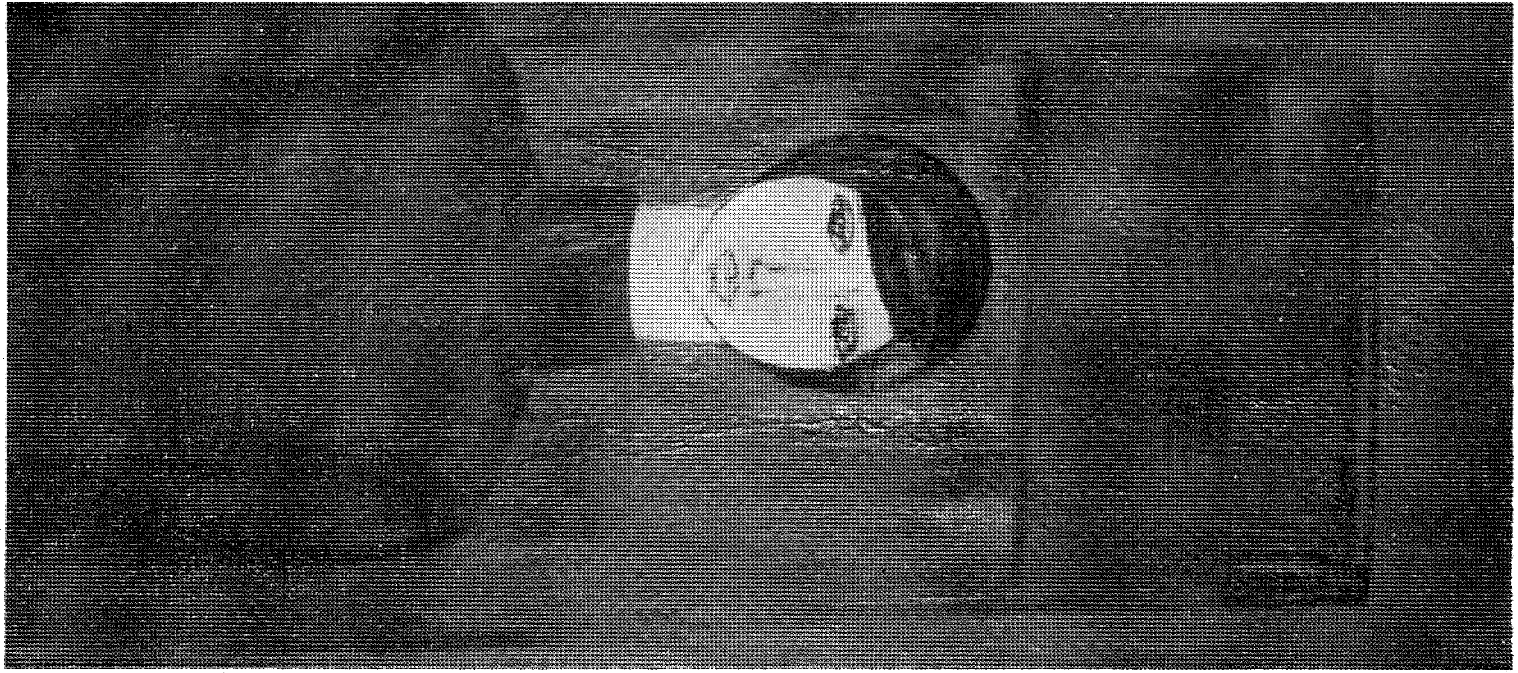
„Niska" gęstość zaludnienia Polski wymaga przecież podobnej analizy, co „przeludnienie" Niemiec. Gospodarka polska zatrudnia generalnie ciągle jeszcze zbyt wielu ludzi na wsi, co redukuje jej pojemność ludnościową poniżej poziomu krajów wysoko uprzemysłowionych. Stan ten poprawił się znacznie dzięki osadnictwu polskiemu na ziemiach zachodnich i północnych, które wchłonęły ok. 3/4 dawnego ukrytego bezrobocia i przeludnienia wsi Polski południowej oraz centralnej. Ulega on zresztą ustawicznej poprawie w miarę dalszego rozwoju przemysłu. Zwiększona w ten sposób chłonność ludnościowa kraju znajduje odpowiednik w wysokim przyroście naturalnym, trzy do cztery razy wyższym od niemieckiego w promillach i przewyższającym go również w liczbach bezwzględnych.

W ciągu najbliższych 15 lat (do roku 1975) gęstość zaludnienia Niemiec wzrośnie (w stosunku do roku 1955) prawdopodobnie o 5 procent, podczas gdy ludność Polski zagęści się ponad 7 razy intensywniej, bo o 36 procent, uzyskując równocześnie bardzo szeroką bazę reprodukcji. W zakresie potencjału pracy — w wyniku różnic w strukturze wieku — dynamika wzrostu w Polsce będzie o około 15 procent wyższa aniżeli w Niemczech (w stosunku do zmian liczby ludności ogółem, względnie do zmian w gęstości zaludnienia).

Polska więc nie tylko nie jest w sensie ekonomicznym krajem niedoludnionym, lecz będzie musiała mobilizować możliwie największy nakład energii i środków materialnych, aby swej ludności zapewnić możność pracy i odpowiednie warunki bytu.

To też i ta teza demograficzna z arsenału zachodnioniemieckich rewizjonistów nie może się ostać wobec bezspornej wymowy faktów.

Józef Kokot



Krzesława Maliszewska Dziewczyna III

Inżynierowie młodość stabilizacja

EDWARD POCHROŃ

Kędzierzyński kombinat chemiczny należy do zakładów młodych. Nie ma tu tradycyjnych układów socjalno-zawodowych, wszystko się dopiero kształtuje. Nie ma też tak charakterystycznych dla starych fabryk uświęconych tradycją powiązań, przejawiających się często w istnieniu klik, które nie pozwalają nowym ludziom zająć odpowiedniej pozycji w zakładzie. Wciąż jeszcze trwa proces formowania się zwartej załogi, budzenia lokalnego patriotyzmu i ambicji. Proces ten jest obecnie szybszy i bardziej dostrzegalny, gdyż zakład wszedł już zdecydowanie w okres stabilizacji. Na tym tle bardzo interesującym zagadnieniem jest problem nowej kadry inżynierskiej, która decyduje o dzisiejszym i jutrzejszym Kędzierzynie.

*

W kombinacie pracuje obecnie 264 inżynierów. Ich przeciętny wiek wynosi 26—27 lat. Na palcach można policzyć tych, którzy kończyli studia przed wojną lub zaraz po wojnie. Starsi specе pracują na kierowniczych stanowiskach w dyrekcji, natomiast kierownicy poszczególnych zakładów, wydziałów, oddziałów, laboratoriów, biura projektowego — to w większości ludzie 30-letni i młodsi.

W ostatnich dwu latach nastąpiła wyraźna stabilizacja kadry inżynierskiej. Mówią o tym chociażby takie liczby: w roku 1959 przyjęto do pracy 26 inżynierów — odeszło 18, w roku 1960 przyjęto 45 — odeszło 25. Zresztą i sama dyrekcja poświęca obecnie więcej uwagi zagadnieniu fluktuacji kadr. Do roku 1959 nie prowadzono tu nawet szczegółowego wykazu zwolnień i przyjęć. Przy dużej fluktuacji bowiem trudno było kierownictwu z większą uwagą traktować każdy fakt odejścia inżyniera. Jeszcze w roku 1958 spotykałem tu wielu młodych ludzi z dyplomami, którzy marzyli o przeniesieniu się gdzie indziej. Dziś sytuacja wygląda inaczej, chociaż obiektywne warunki do wyfrunięcia z Kędzierzyna są lepsze aniżeli wtedy. Ruszyła przecież budowa kombinatu petrochemicznego w Płocku, rusza budowa największej w Polsce fabryki nawozów azotowych w Puławach — a jednak do wyjazdu nikt się specjalnie nie kwapi. Z tych dwudziestu pięciu, którzy opuścili kombinat w ubiegłym roku, część została przeniesiona służbowo, a część wyjechała do innych miast ze względów rodzinnych (spadek po rodzicach, ożenek, mieszkanie przy rodzinie). Wśród kędzierzyńskich inżynierów obserwuje się już trwałe wiązanie się z zakładem, osiedlem, miastem. Tu bardzo charakterystyczne zjawisko: chociaż przy energiczniejszych staraniach można w stosunkowo niedługim czasie otrzymać mieszkanie zakładowe, ponad 20 inżynierów zapisało się do spółdzielni mieszkaniowej. Co ciekawsze, są to w większości ludzie młodzi, którzy 3—4 lata temu przyszli z uczelni.

*

Jeden z moich znajomych, 30-letni kierownik wydziału, przybył do Kędzierzyna w roku 1953 po trzyletnich studiach inżynierskich. Nie odbywał żadnego stażu ani praktyki, od razu otrzymał odpowiedzialne stanowisko w budującym się kombinacie. Jego bezpośredni zwierzchnik był również świeżo upieczonym absolwentem. Obydwaj mieli uruchomić nowy oddział. Każdy krok robili trochę po omacku, z obawą, tym bardziej, że załoga oddziału była zlepkiem ludzi przypadkowych, którzy po raz pierwszy zetknęli się z chemią, skomplikowanymi urządzeniami i maszynami. Wówczas była to konieczność. W tej sytuacji niejeden nabił sobie sporo guzów, zanim zdobył jaką taką praktykę, otrzaskał się z produkcją. Wielu też załamało się, odeszło. Ale większość przetrzymała ten pionierski okres i dziś są fachowcami całą gębą, na których opiera się kombinat.

Brak dostatecznej ilości doświadczonych specjalistów w pierwszym okresie budowy i rozruchu miał z pewnością ujemne skutki. Młodzi inżynierowie często błądzili, braki w doświadczeniu nadrabiali wielogodzinną pracą. W sumie jednak rezultaty były pozytywne. O awansie młodego inżyniera nie decydowały i nie decydują wiek, znajomości,

związki rodzinne, ale pracowitość, zdolności, wiedza. Młodzież, nie obciążona tradycyjnymi nawykami, po zdobyciu niezbędnej praktyki, otrzaskaniu się z produkcją wnosiła energię i śmiałość rozwiązań. Ci sami ludzie, którzy jeszcze pięć lat temu poruszali się po kombinacie jak po nieznanej wyspie, dziś unowocześniają urządzenia, które kiedyś z takim trudem montowali. Myślę, że ten fakt w dużej mierze decyduje o stabilizacji kadry inżynierskiej w Kędzierzynie. Ambicja, wkład pracy i jej widoczne dziś efekty przywiązują do kombinatu.

Co więcej, w Kędzierzynie na każdym kroku rzuca się w oczy bardzo pozytywne zjawisko: powszechna moda na postęp techniczny. Nagminnie dokonuje się przeróbek instalacji, unowocześnia i intensyfikuje poszczególne urządzenia i wydziały. Zielone światło dla myśli inżynierskiej rzeczywiście jasno świeci. Trudno tu wyliczać wszystkie pomysły, usprawnienia, projekty, które w ostatnich dwóch latach zrealizowano. Faktem jest, że większość z nich to dzieło młodych inżynierów.

Jakimś refleksem owego faktu jest radykalne zwiększenie się ilości prac powierzanych Zakładowemu Laboratorium Badawczemu przez poszczególne wydziały produkcyjne. W roku 1959 ZLB otrzymało tylko dwa zlecenia — w 1960 już 85. Obserwuje się również stały wzrost ilości i jakości projektów zgłaszanych do komórki wynalazczości. W roku 1958 np. zgłoszono ich 66 (ogólna wartość 4,6 miliona zł.*)) w 1959 roku — 99 (4,3 miliona zł), w 1960 roku — 123 (5,6 miliona zł). Procentowy udział inżynierów w zgłoszonych projektach kształtuje się następująco: r. 1958 — 54,5; 1959 — 62,5; 1960 — 70.

Po IV Plenum KC PZPR na wszystkich wydziałach powstały komisje postępu technicznego. Zgłoszono ogółem 800 wniosków, za które nikt nie brał pieniędzy, ale które przyczyniły się do polepszenia produkcji, usprawnienia organizacji i w dużej mierze wpłynęły na efekty ostatnich dwu lat. Przy czym rok ubiegły był najbardziej pomyślny ze wszystkich. Kombinat osiągnął najwyższą akumulację i najwyższą wartość produkcji na jedną złotówkę funduszu płac w skali całego Zjednoczenia.

Ten stosunkowo duży napływ projektów racjonalizatorskich, usprawnień, patentów i to głównie z wydziałów produkcyjnych, jest wyrazem nowej postawy kadry technicznej. W Kędzierzynie stale powiększa się nieliczna niegdyś grupa inżynierów-racjonalizatorów, wynalazców. Decyduje o tym rozsądna polityka dyrekcji, polityka popierania ludzi szukających, odważnych. Ludzie ci cieszą się ogólnym szacunkiem, pozwala się im eksperymentować, podejmować ryzyko. Kult fachowości staje się faktem dokonanym. Nie ogranicza się on tylko do umiejętności prowadzenia bieżącej produkcji, ale obejmuje przede wszystkim poszukiwania nowych rozwiązań, ambicje nadążania za światowymi zdobyczami chemii.

*

Ostatnio do Kędzierzyna zgłasza się więcej inżynierów, aniżeli zakłady mogą przyjąć. Co decyduje o atrakcyjności kombinatu? Z pewnością szeroki asortyment produkcji, gwarantujący zdobycie praktyki w zakresie różnych specjalności, duże możliwości awansu i — perspektywa szybszego otrzymania mieszkania. Ale nie tylko. Kędzierzyn wyrobił sobie bowiem opinię zakładu solidnego. Stawiane inżynierom wymagania bardzo wzrosły. Ludzie ambitni lubią, jeśli się traktuje ich serio. W tej chwili o przyjęciu nowego inżyniera nie decyduje tylko wydział kadr. Przede wszystkim kieruje się go na odpowiedni odcinek pracy, aby zbadać jego ogólną przydatność dla kombinatu, wiedzę, praktykę.

W ogóle w ostatnich latach wiele się zmieniło. Inżynierowie intensywnie pogłębiają swe umiejętności. Ci, którzy jeszcze nie mają tytułów magisterskich, zdobywają je, kilku przygotowuje prace doktorskie, niektórzy studiują drugi fakultet. Szerzy się nawyk stałego czytania nowości z literatury fachowej. Zakład stworzył dobre warunki do samokształcenia. Istnieje tu bogato wyposażony ośrodek informacji naukowo-technicznej, na wieczorowe studium Politechniki Śląskiej uczęszcza 60 pracowników kombinatu, na Uniwersytecie Robotniczym uczy się 120 robotników. Absolwenci Politechniki zasilą wkrótce kadrę inżynierską. Od razu staną się pełnowartościowymi fachowcami, gdyż mają za sobą długą praktykę. Duża frekwencja na Uniwersytecie jest wynikiem owej atmosfery kultu fachowości i wiedzy, bo przecież jego absolwenci nie mają specjalnych perspektyw na rychły awans. Inna sprawa, że wielu z nich chce podjąć zaocznie studia wyższe. Ludzie uczą się poza tym na własną rękę języków obcych.

W Kędzierzynie wyraźnie kształtuje się model inżyniera nowoczesnego — człowieka młodego, ale dobrego fachowca, śmiałego w poszukiwaniu nowych rozwiązań, znającego języki obce, orientującego się w zdobyczach współczesnej chemii.

---

*) W efekty roku 1958 wliczono również realizację zaległych projektów z roku 1957.

Jeśli idzie o pracowników najmłodszych, to nie spotkałem w Kędzierzynie ani jednego absolwenta Politechniki, który by się nosił z zamiarem wyjazdu. Dużo do myślenia daje również fakt, że dość liczna grupa młodych inżynierów zapisuje się do spółdzielni mieszkaniowej. Z informacji ich starszych kolegów wynika, że stosunkowo dużo się uczą, nie ograniczają się tylko do wiadomości zdobytych na uczelni. Wielu spośród nich wykazuje zainteresowania badawcze i po nabyciu praktyki z pewnością dołączą do poszerzającej się grupy „poszukiwaczy".

Dodatnio na ich samopoczucie wpływa fakt, że łatwo dogadują się z niewiele od siebie starszymi zwierzchnikami, nie muszą się szarpać, przebijać muru obojętności. Nie pozostaje to z pewnością bez wpływu na decyzję stałego powiązania się z zakładem.

★

Interesując się problemami młodych inżynierów, trudno nie zetknąć się z zagadnieniem, które w skali krajowej wymaga jakiegoś sensownego rozwiązania. Chodzi o tzw. stażystów. Na razie staż pracy jest wielką fikcją, o której wszyscy wiedzą, a jakoś nikt nie kwapi się z jej likwidacją.

W Kędzierzynie pracuje obecnie na tak zwanym stażu przeszło 30 inżynierów. Biorą oni uposażenie zgodne z umową o staż, a właściwie wszyscy są normalnymi pracownikami, mają określone zadania produkcyjne, liczeni są w planie zatrudnienia. Historia wygląda mniej więcej tak: zgłasza się absolwent Politechniki, podpisuje umowę, wybiera sobie pracę zgodnie ze swoimi zainteresowaniami i wykształceniem, następnie zostaje skierowany na odpowiedni wydział, oddział czy do laboratorium. Po dwu latach będzie musiał zdawać egzamin. Na wydziale absolwent otrzymuje stanowisko, musi realizować plan zakładu. Fundusz płac — rzecz święta, nie wolno go zmieniać, więc każdy kierownik liczy, czy przypadkiem nie przekroczył stanu zatrudnienia. I wtedy okazuje się, że dla stażysty nie ma specjalnego etatu, że trzeba więc go traktować jak normalnego pracownika. Program stażu bierze w łeb. A program ten jest w Kędzierzynie bogaty. W ciągu dwu lat młody inżynier powinien kolejno poznać pracę robotnika, brygadzisty, majstra, kierownika zmiany, oddziału i wydziału oraz zapoznać się z zajęciami w laboratorium. Dopiero wtedy można mieć gwarancję, że pozna wszystkie swoje możliwości i uzdolnienia, zdobędzie pogląd na funkcjonowanie wydziału, w którym ma później objąć pracę.

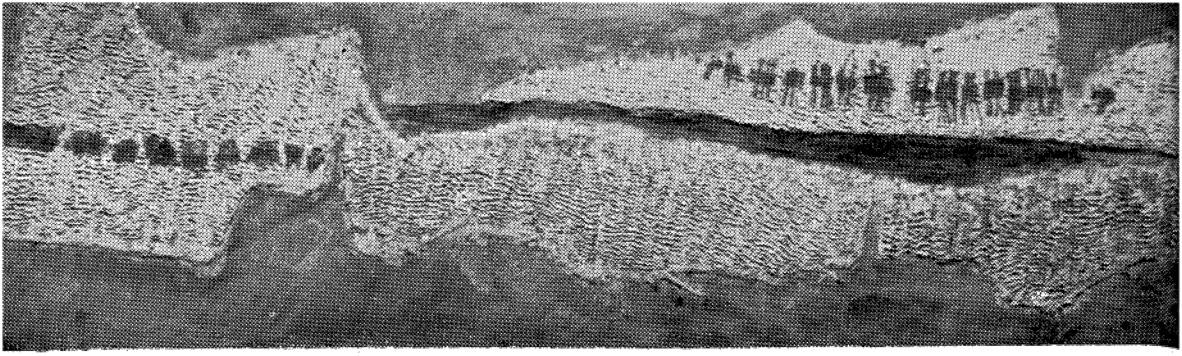
Niestety, brak specjalnego funduszu płac dla stażystów zmusza zakład do rezygnacji z realizowania tego pięknego programu i staż pracy ogranicza się do okresowych spotkań z opiekunem i później do egzaminów. Stażyści, spełniając „planowe obowiązki" za niskie wynagrodzenie, czują się trochę pokrzywdzeni. Można by jeszcze ponosić tę ofiarę, gdyby rzeczywiście miało się przekonanie, że owe dwa lata zostały należycie wykorzystane. Aby uniknąć tych kłopotliwych sytuacji, kierownictwo zakładu omija przepisy i podnosi stażystom wynagrodzenie, stwarza różne możliwości dodatkowego zarobku. Fikcja trwa już zbyt długo. Należałoby z nią skończyć przez wydzielenie specjalnego funduszu stażowego w zakładach, które zatrudniają absolwentów.

★

Ostatni karnawał w Kędzierzynie był chyba najbardziej udany. Moi rozmówcy podkreślali, że na zabawach panował nastrój niemal rodzinny. Może to drobiazg — ale też świadczy o stabilizacji. Zresztą inżynierowie nie tworzą tu jakiejś osobnej, wyizolowanej grupy towarzyskiej. Brydż, telewizja, spotkania towarzyskie odbywają się raczej na zasadzie sąsiedztwa a nie pokrewieństwa zawodu czy stanowiska. Brak zresztą wielkomiejskich „pokus" zmusza do domatorskiego trybu życia. Jedynie od czasu do czasu organizuje się wypady do Gliwic, Bytomia, Katowic.

Ze zrozumiałych w kędzierzyńskich warunkach „ciągotek" do wielkomiejskiego ruchu, z bojaźni przed prowincjonalnym skiśnięciem rodzi się wielki pęd do motoryzacji. Pierwszą inwestycją młodego inżyniera jest motocykl, lepiej zarabiający porywają się na samochody. Na osiedlu awaryjnym brakuje już garaży. Jest to chyba objaw pozytywny. Młodzież szanuje pieniądze, oszczędza, bardzo wyraźnie zmniejszyło sie pijaństwo. Staropolską fantazję zastąpiło dążenie do posiadania motoru, własnego mieszkania, do ustabilizowanego i możliwie zamożnego życia. Chyba to i dobrze.

Edward Pochroń.

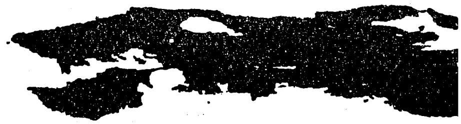


Marian Szpakowski *Kompozycja pierwsza*

Marian Poźniak *Nowa Ruda*



POCZĄTEK BATALII



ANDRZEJ KOŹMIŃSKI

Ziemia Kłodzka — na pewno ją znacie: Polanica, Duszniki, Kudowa, Lądek... Góry Stołowe, średniowieczny pręgierz w Bystrzycy Kłodzkiej i samo Kłodzko, którego szacowne mury podmyła woda, aż trzeba było wzywać w sukurs grotołazów...

Chciałbym jednak opowiedzieć o tej ziemi...

Nie będę tu opisywał wrażenia, jakie wywiera „afrykańska sawanna" odkryta pod Kudową przez docenta Wojciecha Walczaka z Uniwersytetu Wrocławskiego, nie będę pisał o fantazyjnych kapeluszach „grzybów skalnych", ani o urokach tundry w środku Europy — rezerwatu „Topieliska"....

Nie będzie tu zatem mowy o urodzie tej ziemi, jej osobliwościach i turystycznych atrakcjach. Ale sprawy, którymi pozwolę sobie zaabsorbować uwagę czytelników, właśnie z owej urody i walorów klimatycznych tego regionu wynikają, są ich logiczną konsekwencją...

I

Czy wiecie, że w granicach tylko dwu powiatów Ziemi Kłodzkiej: bystrzyckiego i kłodzkiego jest w domach FWP akurat tyle miejsc, ile ich jest w czterech „turystycznych" województwach kraju: krakowskim — z Zakopanem i Krynicą, katowickim — z Wisłą i Szczyrkiem, gdańskim — z całym Półwyspem Helskim, i olsztyńskim — z Pojezierzem Mazurskim włącznie?...

Cztery województwa zestawiam z dwoma powiatami. Ale powiatami dysponującymi jedną piątą wszystkich miejsc FWP i jedną piątą wszystkich łóżek uzdrowiskowych w kraju. Tylko miejsc w schroniskach turystycznych jest niewspółmiernie mniej, a to z winy centralnych władz turystycznych, które — zapatrzone w Giewont i wciąż bez skutku oczekiwane „tłumy" zagranicznych turystów — nie zatroszczyły się dotychczas o odpowiednią ilość schronisk w Sudetach.

Tak obszerne uzdrowiskowo-wypoczynkowe „gospodarstwo" nadaje Ziemi Kłodzkiej specyficzną funkcję. Można powiedzieć, że jest to jeden wielki kombinat leczniczy i wypoczynkowy, w którym mieszkańcy całej Polski odzyskują siły i zdrowie do pracy.

Stąd dwa wnioski: po pierwsze — owa specyficzna funkcja Ziemi Kłodzkiej powoduje, że ogólnokrajowe problemy gospodarcze „załamują się" w tutejszym uzdrowiskowym „pryzmacie" zupełnie inaczej niż w każdym przeciętnym powiecie. Jeśli np. ekonomicznym nakazem dla gospodarki kraju jest dalsza industrializacja, to na Ziemi Kłodzkiej konieczny jest dalszy rozwój uzdrowisk, ośrodków wypoczynkowych i turystyki dla zapewnienia coraz to większym rzeszom pracujących możności wypoczynku i odzyskania zdrowia nadwyrężonego pracą zawodową.

Drugi wniosek dotyczy miejscowych władz — nakłada na nie obowiązek zajęcia się ze szczególną troską zagadnieniami gospodarki wczasowo-uzdrowiskowej i jej rozwoju bez względu na to, jaką pozycję zajmuje ona w stosunku do całości miejscowej gospodarki.

Ale problem nie jest znowu tak prosty, jak się na pierwszy rzut oka wydaje. W domach wypoczynkowych i sanatoriach zatrudniane są przede wszystkim kobiety, występuje zatem problem zapewnienia odpowiedniej ilości miejsc pracy dla mężczyzn. Ponadto w takim jak Ziemia Kłodzka regionie przyrost ludności stwarza miejscowym władzom nie mniejsze, ale nawet większe kłopoty w znalezieniu odpowiedniej ilości mieszkań i miejsc pracy.

Ponadto potrzeba odpowiedniego zaopatrzenia uzdrowisk nakłada specjalne obowiązki na miejscowy przemysł terenowy, handel i rolnictwo. Wreszcie racjonalna gospodarka — jako zagadnienie kompleksowe — wymaga uwzględnienia potrzeb rozwojowych każdej dziedziny życia regionu. I tu trzeba powiedzieć, że choć mniej więcej trzecia część ludności żyje z pracy w uzdrowiskach, ośrodkach wczasowych i tury-

stycznych, to pozostałe dwie trzecie uzyskują środki do życia pracując w miejscowym przemyśle i rolnictwie.

A zatem — mimo że podstawową funkcją regionu jest jego rola uzdrowiskowo-wypoczynkowa — dla prawidłowego rozwoju całej gospodarki Ziemi Kłodzkiej równolegle z rozwojem uzdrowisk musi następować rozwój innych dziedzin życia gospodarczego, a przede wszystkim przemysłu i rolnictwa. Specyfika regionu stawia temu procesowi jeden tylko warunek: zachowanie priorytetu dla uzdrowisk, wczasów i turystyki. A więc np. rozwój przemysłu Ziemi Kłodzkiej nie tylko nie przeszkadza uzdrowiskom, ale jest dla nich konieczny choćby ze względu na miejsca pracy dla mężczyzn — z tym jednak, że musi to być przemysł nie uciążliwy dla otoczenia.

II

Problemy te od dawna nurtowały działaczy Ziemi Kłodzkiej, a w latach 1957—1958 stały się tematem publicznych dyskusji. W początku roku 1957 odbyło się w Kłodzku plenarne posiedzenie Komitetu Powiatowego PZPR, poświęcone rozwojowi powiatu kłodzkiego ze szczególnym uwzględnieniem potrzeb uzdrowisk, wczasów i turystyki. Jesienią 1958 w Bystrzycy Kłodzkiej Powiatowa Rada Narodowa na plenarnej sesji obradowała nad rozwojem uzdrowisk, ośrodków wczasowych i turystycznych w powiecie bystrzyckim.

Dlaczego podjęte wówczas decyzje nie doczekały się w następnych latach realizacji? Dlaczego — w praktyce — idea „zorganizowanego rozwoju" zaginęła wśród codziennych spraw i zadań władz terenowych?...

Dziś, z perspektywy czasu, można powiedzieć, że ówczesne opracowania dawały wprawdzie jakiś, nakreślony w ogólnym zarysie wykaz potrzeb w obu powiatach, ale nie wskazywały środków, którymi miały być one zaspokajane. Ponadto oba powiaty sąsiadujące w jednym regionie geograficznym i... turystycznym — działały osobno i nie znalazły dość sił na realizację ambitnych zamierzeń.

Trzeba przy tym pamiętać, że w żadnym powiecie w całym kraju władze terenowe nie posiadają jeszcze dostatecznych środków finansowych, materiałowych czy wykonawczych dla zaspokojenia wszystkich, nieraz bardzo istotnych, potrzeb swego terenu. W tej sytuacji pokonywanie codziennych trudności mogło odsuwać na coraz późniejsze terminy realizację owych zamierzeń.

Wreszcie powiatów o podobnej specyfice uzdrowiskowo-wypoczynkowej jest w kraju bardzo niewiele i żadna z nadrzędnych władz nie opracowuje dla nich odrębnych planów i zadań. Nawet w niedalekim Wrocławiu — stolicy województwa — nie zawsze pamiętano o specyficznej roli Ziemi Kłodzkiej.

Jednym słowem można postawić taką diagnozę: zarówno specyficzna funkcja Ziemi Kłodzkiej, jak i owe pierwsze niezbyt jeszcze pewne, ale samodzielne kroki miejscowych działaczy widzących istotne potrzeby swych powiatów i dążących do ich zaspokojenia — zagubiły się gdzieś w morzu codziennych trudności.

III

Chociaż koncepcje „zorganizowanego rozwoju" nie doczekały się realizacji w tym zakresie, jaki był zamierzony — to jednak stan zagospodarowania Ziemi Kłodzkiej w ubiegłych kilku latach wyraźnie się podniósł.

Do zasług rad narodowych w obu powiatach należy zaliczyć położenie nowych nawierzchni ulic w Polanicy, Kudowie, Dusznikach i Lądku, poprawę zaopatrzenia i estetyki sklepów, pewną poprawę usług gastronomicznych, remonty budynków mieszkalnych i odnowienie ich elewacji, budowę nowych urządzeń wodociągowych, uporządkowanie zieleńców, kwietników, mostków, murów oporowych, ciągów pieszych itp.

W Kudowie i Polanicy ulice rozjaśniają wieczorem białe sople świetlówek, w Polanicy wyremontowano kino i wyposażono je w ekran panoramiczny, w Kudowie otwarto pierwszą na Ziemi Kłodzkiej Szkołę Tysiąclecia i wybudowano basen pływacki.

Przedsiębiorstwa „Państwowe Uzdrowiska" przeprowadziły remonty sanatoriów i zakładów leczniczych we wszystkich miejscowościach kuracyjnych, otworzyły estetycznie urządzone kluby dla kuracjuszy i kawiarnie, podniosły poziom „zielonej architektury" parków zdrojowych. W Kudowie oczyszczono zamulony staw, otwierając na nim nową przystań łodzi i kajaków. W Dusznikach przebudowano mało użyteczną halę spacerową na teatr i kawiarnię, założono jarzeniowe oświetlenie w parku, w budowie jest nowa pijalnia wód mineralnych. W Lądku dobiega końca remont zakładów balneologicznych „Wojciech" i „Stary Jerzy" oraz uzdrowiskowego domu kultury.

Fundusz Wczasów Pracowniczych

wyremontował wiele swych domów wypoczynkowych, otworzył kluby wczasowe cieszące się wielką popularnością, urządził estetyczne świetlice i salki telewizyjne w poszczególnych domach wypoczynkowych, przeprowadza wymianę wyposażenia tych domów, zamieniając stare poniemieckie graty na estetyczne i praktyczne meble nowoczesne.

Pewnym dopingiem do tych gospodarskich, choć wielotorowych i niezbyt skoordynowanych zabiegów, była uchwała Komitetu Ekonomicznego Rady Ministrów z roku 1958, uznająca trzy uzdrowiska kłodzkie: Polanicę, Kudowę i Duszniki za międzynarodowe. Niestety — wiele jej postanowień nie doczekało się realizacji mimo dwuletniego terminu, ponieważ uchwała nie otrzymała pokrycia finansowego...

Skoro już mowa o finansach — trzeba dodać, że sytuacja rad narodowych w miejscowościach wypoczynkowych jest pod tym względem szczególnie ciężka. Niemal wszystkie dawne pensjonaty, przynoszące niegdyś dochód władzom municypalnym jako swego rodzaju „przemysł terenowy" — dziś są pod zarządem FWP, który jest ustawowo zwolniony od płacenia podatków.

IV

Jak doszło do odrodzenia się idei „zorganizowanego rozwoju"?

Na pierwszym miejscu trzeba tu chyba wymienić przykład powiatu jeleniogórskiego — tej „krainy z tezą", jak ją nazwali dziennikarze. „Tezy Jeleniogórskie" — program rozwoju regionu Karkonoszy, opracowane przez miejscowych działaczy przy poważnym udziale społeczeństwa, stały się nie tylko planem, ale siłą napędową dla jeleniogórskich władz i instytucji. Na rezultaty nie trzeba było długo czekać. A były one tak doniosłe, że trudno nie dostrzec ich z niedalekiej Ziemi Kłodzkiej.

Po drugie — w roku 1959 Ziemia Kłodzka, a w 1960 — całe Sudety stały się terenem penetracji dwu wycieczek dziennikarskich zorganizowanych przez Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich i Towarzystwo Rozwoju Ziem Zachodnich. Już sama obecność całej „sfory" dziennikarzy na Ziemi Kłodzkiej, interesujących się przy tym właśnie zagadnieniami wypoczynku i turystyki, skłoniła miejscowe władze do sięgnięcia po odkładane z półki na półkę programy...

Ponadto ludek dziennikarski jest niecierpliwy, skłonny do konfrontacji i wytykania błędów, a recepty zawarte w enuncjacjach prasowych zawsze jakąś dozę słuszności zawierają...

Zresztą nieważne jest, jak do tego doszło. Ważne jest to, że w drugiej połowie roku 1960 znowu na Ziemi Kłodzkiej odbywają się dyskusje nad problemami jej właściwego zagospodarowania i rozwoju...

Jednym z najtrudniejszych momentów była chwila, w której rozstrzygały się losy współpracy powiatów bystrzyckiego i kłodzkiego, współgospodarzących i sąsiadujących z sobą w jednym geograficznym, gospodarczym i turystycznym regionie.

Legenda mówi, że w miejscu, gdzie wznosi się dziś Kłodzko, istniała warownia nie do zdobycia, niczym kłoda zamykająca drogę najeźdźcom i stąd właśnie nazwa: Kłodzko. W tej legendzie musi tkwić jakaś część prawdy, skoro jeszcze dziś Kłodzko „zagradza" drogę do Bystrzycy różnym ważnym osobistościom z Wrocławia, z tą tylko poprawką, że owi „najeźdźcy" są w powiecie bystrzyckim jak najbardziej oczekiwani... Nieraz też się zdarza, że różne dokumenty przeznaczone dla Bystrzycy, są wysyłane przez władze wojewódzkie z adresem: Kłodzko... Najdalej na południe wysunięty powiat Dolnego Śląska żyje trochę w cieniu Kłodzka, historycznej i geograficznej stolicy regionu.

Bystrzyccy działacze, których cechuje owa pozytywna odmiana lokalnego patriotyzmu, będąca motorem działalności gospodarczej w tzw. „terenie", obawiali się początkowo, że współpraca z Kłodzkiem może skończyć się „pochłonięciem" powiatu bystrzyckiego.

Obawy te ustąpiły jednak wobec niewątpliwych korzyści, jakie może przynieść współpraca. Koordynacja działania na obszarze, gdzie granica administracyjna nie pokrywa się z granicą regionu geograficznego, a dla turysty jest niedostrzegalna, koncentracja środków na inwestycje, a przede wszystkim większa ranga podejmowanych wspólnie decyzji i większe szanse na uwzględnienie ich przez władze nadrzędne — oto niewątpliwe zyski ze współpracy. Wspólnie oba powiaty będą mogły zdziałać więcej.

Nie była to zresztą jedyna trudność do przezwyciężenia. W poszczególnych miejscowościach pokutują nawet do dziś partykularne tendencje reprezentowane przez niektórych działaczy gospodarczych. „Nie trzeba nam ubogich krewnych" — słowa te słyszało się czasem w polanickim uzdrowisku. Polanica — najlepiej zagospodarowana ze wszystkich uzdrowisk kłodzkich (zresztą dzięki koncentracji nakładów finansowych

na tę miejscowość) — w myśl tego poglądu nie potrzebuje niczyjej pomocy. Jest to pogląd bardzo powierzchowny i oczywiście niesłuszny.

Wreszcie. w niektórych przedsiębiorstwach uzdrowiskowych, zarządzanych przez centralę w Warszawie, nie cieszyła się zbytnią popularnością aktywizacja terenowej władzy.

V

Tym niemniej Program Rozwoju Ziemi Kłodzkiej zrodził się, pierwszy etap „zorganizowanego rozwoju" został zrealizowany. Niełatwe to było zadanie i wiele zajęło czasu. Od 24 sierpnia 1960, tj. od czasu pierwszego plenarnego posiedzenia powołanej przez prezydia obu powiatowych rad narodowych Komisji Rozwoju Ziemi Kłodzkiej, do 10 lutego 1961, kiedy to na zebraniu w Długopolu Zdroju Komisja zaakceptowała projekt Programu, upłynęło pół roku... Program ten stał się podstawą wyborczych programów Frontu Jedności Narodu w obu powiatach, stał się przedmiotem dyskusji całego społeczeństwa Ziemi Kłodzkiej.

Jakie są jego podstawowe założenia? Z racji ograniczonych środków, którymi dysponuje państwo — rozwój uzdrowisk, wczasów i turystyki na Ziemi Kłodzkiej w najbliższym czasie musi zmieścić się w ramach racjonalnej eksploatacji obecnego stanu posiadania. Należy wykorzystać wszystkie istniejące na miejscu rezerwy oraz oszczędnie realizować skromny na razie program inwestycyjny, na który znalazły się środki finansowe. materiałowe i wykonawcze. Władze Ziemi Kłodzkiej chcą zatem bez oglądania się na pomoc państwa powiększyć ilość miejsc w uzdrowiskach. ośrodkach wczasowych i turystycznych, chcą rozwijać produkcję miejscowego przemysłu i podnieść gospodarkę rolną. Przyznając priorytet gospodarce wypoczynkowo-uzdrowiskowej, gospodarze regionu w nie mniejszym stopniu uwzględniają w programie sprawy przemysłu i rolnictwa.

Trudno byłoby w tym miejscu relacjonować 50-stronicowy program. Ograniczę się zatem do najważniejszych postanowień i kierunków działania.

Generalną linią postępowania jest dążenie do podniesienia rangi rad narodowych i uczynienia z nich gospodarzy powiatów, miast i osiedli w pełnym znaczeniu tego słowa. Inicjatorzy wychodzą z założenia. że powiatowe rady narodowe są najbardziej predystynowane do tego, aby zarządzać całą miejscową gospodarką, z wyjątkiem jedynie dużych fabryk, czyli tzw. przemysłu kluczowego. Natomiast pozostała działalność gospodarcza winna być podporządkowana powiatowym radom narodowym, z uzdrowiskami i ośrodkami wczasowymi włącznie. Inicjatorzy uważają dalej, że rady narodowe tego szczebla mają największe szanse, aby kierować tą gospodarką racjonalnie, oszczędnie i z korzyścią zarówno dla regionu, jak i dla jego wczasowych czy kuracyjnych gości.

Najpilniejsze zadania to — w zakresie wypoczynku i turystyki — wykorzystanie pustych pokoi dla „letników" w wioskach górskich atrakcyjnych krajobrazowo i turystycznie, wykorzystanie domów kolonii dziecięcych w okresach między feriami i wakacjami letnimi. lepsze zagospodarowanie obiektów turystycznych, rozwój usług dla turystów i wczasowiczów.

W przemyśle — przede wszystkim lepsze wykorzystanie miejscowych zasobów mineralnych: złóż kamienia budowlanego i marmurów; wprowadzenie do produkcji wyrobów poszukiwanych w uzdrowiskach, jak mebli, galanterii metalowej i urządzeń do domów wypoczynkowych i sanatoriów; produkcja maszyn rolniczych przystosowanych do pracy w terenach górskich; produkcja wyrobów pamiątkarskich dla zastąpienia „importowanej" tandety.

W rolnictwie — stosowanie upraw i ras zwierząt hodowlanych przynoszących większy zysk w terenie i klimacie górskim. rozwój warzywnictwa i sadownictwa dla zaopatrzenia uzdrowisk w niższych partiach Kotliny Kłodzkiej.

Osobne zagadnienie to sprawa powiększenia dochodów rad narodowych przez tworzenie własnych przedsiębiorstw i przejęcie niektórych przedsiębiorstw zarządzanych centralnie, jak „Państwowe Uzdrowiska" i zarządy FWP; dalej stworzenie regionalnego funduszu uzdrowiskowo-turystycznego. Dochody te są niezbędne dla zaspokajania zwiększających się potrzeb miejscowych, a przede wszystkim dla lepszego zagospodarowania uzdrowisk i miejscowości wypoczynkowych.

Program został opracowany i zatwierdzony — czas na realizację. Jej wyniki mogą być dopiero legitymacją „dobrej roboty" dla inicjatorów rozwoju Ziemi Kłodzkiej. Ale w opracowanie programu włożono też wiele „dobrej roboty".

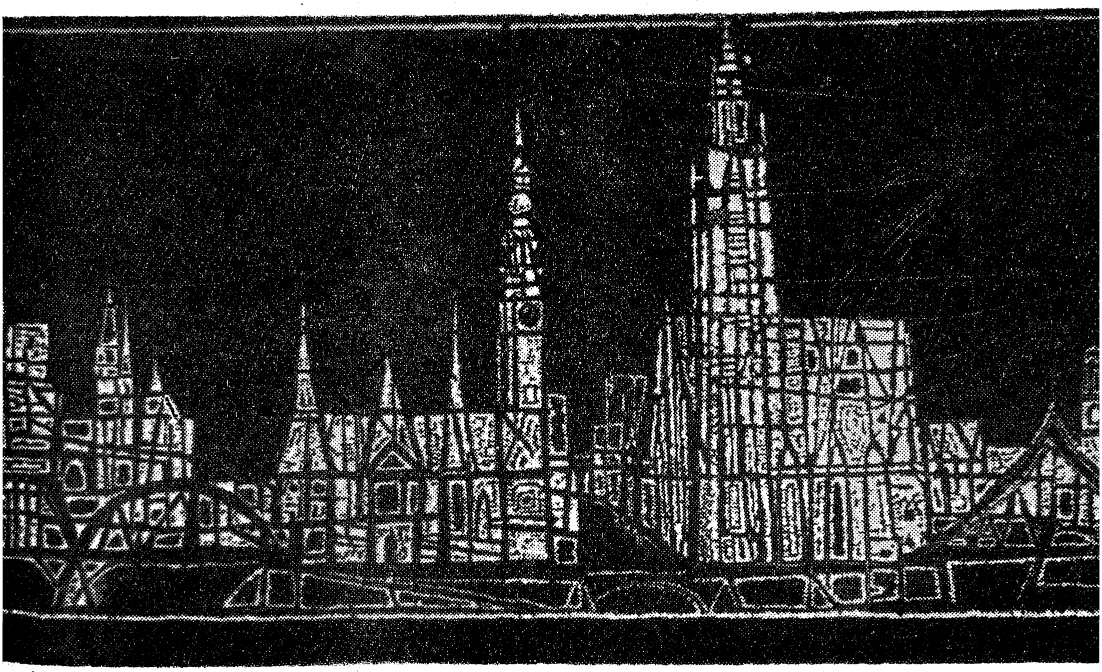
I tu trzeba powiedzieć o udziale organizacji partyjnych. „Partia w obu powiatach uznała pracę nad planem rozwoju za program swego działania i po-

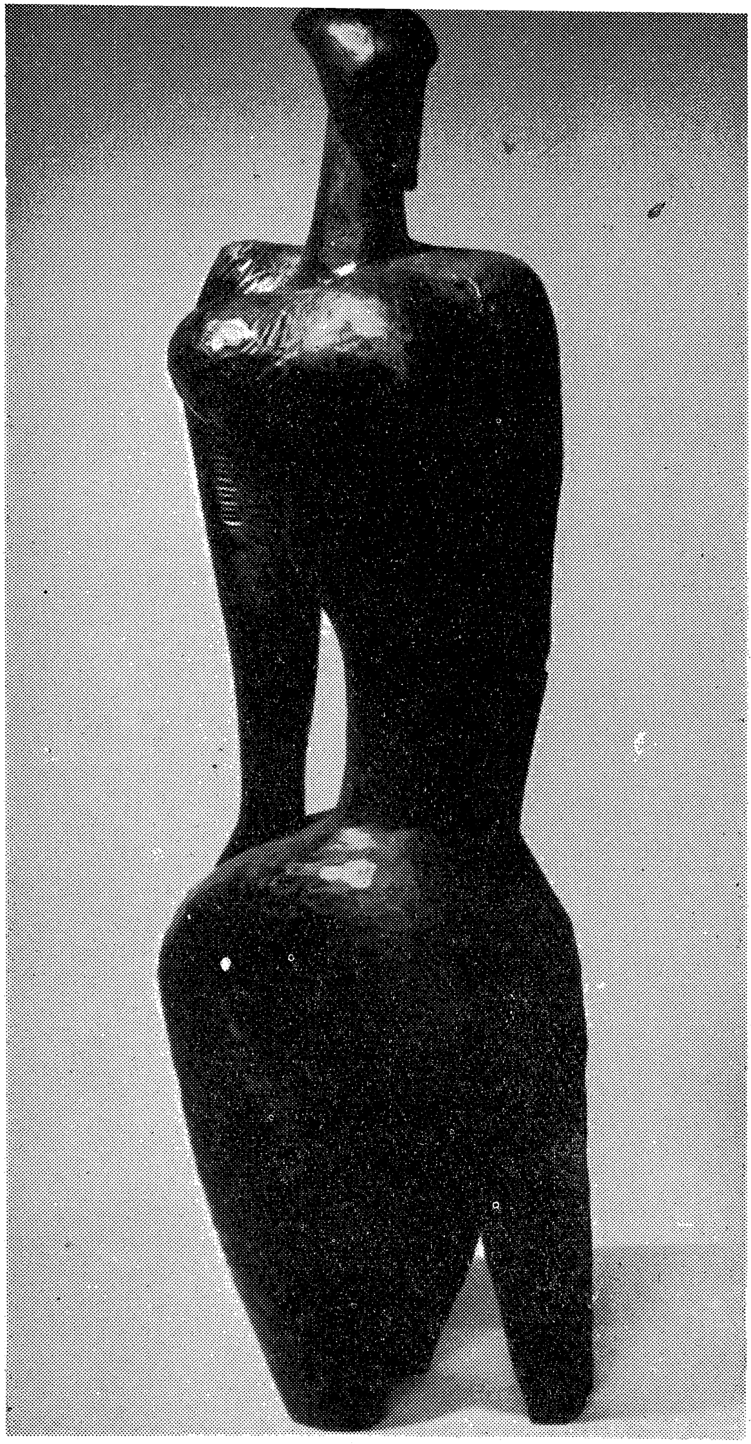
święciła mu maksimum uwagi — pisała w lutym br. „Trybuna Ludu" — Nieczęsto spotyka się w terenie tak pełne wzajemne zrozumienie instancji partyjnych i aparatu rad narodowych, tak ścisłe współdziałanie".

W tym właśnie współdziałaniu, w coraz to większym zainteresowaniu społeczeństwa ideą rozwoju widzą działacze Ziemi Kłodzkiej swą siłę i zapowiedź sukcesu.

Andrzej Koźmiński

Zygmunt Waśniewski *Wrocław II*





Jan Borowczak *Ika*

W dniach 6 i 7 kwietnia br. odbyła się we Wrocławiu konferencja poświęcona podsumowaniu dorobku i omówieniu perspektyw rozwojowych wrocławskiego środowiska naukowego, zorganizowana wspólnie przez Komitet Wojewódzki PZPR, kolegium rektorów wyższych uczelni i Wrocławskie Towarzystwo Naukowe. Poniżej zamieszczamy fragmenty referatu prof. dr Ewy Maleczyńskiej. Do problemów związanych z tym ważnym wydarzeniem w życiu wrocławskiego środowiska naukowego, jednego z czołowych ośrodków nauki polskiej, wrócimy w numerze następnym.

WROCŁAW NAUKOWY

EWA MALECZYŃSKA

Wrocław jest dziś nie tylko jednym z największych w kraju ośrodków kształcenia młodzieży na stopniu wyższym, ale poważnym, na skalę ogólnokrajową, a w wielu dziedzinach również na skalę międzynarodową ośrodkiem badań naukowych. Imponujący rozwój uczelni i nauki we Wrocławiu, jak cały rozwój ziem zachodnich Polski, rozwój osiągany w ciężkim trudzie i znoju, jest doniosłym faktem potwierdzającym dobitnie nasze prawa do tych ziem i stanowiącym dowód, że liczna rzesza pracowników naukowych, których ten rozwój jest dziełem, dobrze zasłużyła się ojczyźnie.

★

Wypadnie zapytać, gdzie, w jakim punkcie drogi jesteśmy dzisiaj.

Jak wszędzie, tak i w środowisku wrocławskim, zachodzi zasadnicza różnica między naukami tzw. ścisłymi a naukami społecznymi. Postęp techniczny i perspektywy, jakie otwiera, porwały cały kraj i obudziły niekłamany entuzjazm. I we Wrocławiu proces zbliżania się nauk ścisłych do życia postępuje szybko naprzód. Nie znaczy to, oczywiście, aby był już całkowicie powszechny, aby objął wszystkie komórki naszej nauki, wszystkie katedry czy placówki, aby nie było już nieporozumień co do kierunku wysiłków; aby nie było trzeba intensywnego poszerzania naszej znajomości ziemi dolnośląskiej, jej skarbów, zapomnianych w gruncie rzeczy przez wieki; aby nie trzeba było dalszej rozbudowy możliwości badań naukowych, mających na celu lepsze wykorzystanie naszego terenu. W każdym razie zbliżanie nauk ścisłych do potrzeb życia naszego regionu jest to proces, który odbywa się pomyślnie i coraz bardziej się nasila.

★

W dziedzinie nauk ścisłych szczególną wagę dla naszego regionu ma rozwój badań socjologicznych zmierzających do poznania rzeczywistości dolnośląskiej i miejscowego społeczeństwa, jego potrzeb i najlepszych dróg wiodących do wszechstronnego, jak najbogatszego rozwoju. Wiemy dobrze, że zadania te są szczególnie pilne. Jest to bowiem społeczeństwo stosunkowo młode, i jako takie, o specyficznym, nieraz burzliwym rozwoju, o dużym nasileniu dokonu-

jących się wewnątrz niego zmian, o szybkim, jeśli można użyć tego wyrażenia w stosunku do zbiorowości ludzkiej, awansie społecznym.

Mamy na Dolnym Śląsku Polaków z różnych stron kraju, o różnych, bardzo nieraz odmiennych tradycjach i obyczajach. Mamy, o wiele bardziej zaakcentowany niż w innych częściach kraju proces urbanizacji i industrializacji ludzi pochodzących ze wsi, przechodzących z rolnictwa do przemysłu, z wiejskich opłotków — i to takich bardziej starodawnego typu — do miejskiego trybu życia. Wśród tych ludzi przebiegają głębokie procesy cementowania się na nowym gruncie, formowania się w jedno społeczeństwo dolnośląskie, ponownego zapuszczania korzeni w tę piękną prapolską ziemię. Brak dokładnej znajomości naszej rzeczywistości społecznej hamuje tempo naszego rozwoju nie mniej niż brak dostatecznej wiedzy geologicznej czy technicznej.

★

Przejdźmy do tej części nauk społecznych w szerokim tego słowa znaczeniu, które nazywamy potocznie naukami humanistycznymi.

Trzeba, aby tematyka badań humanistycznych, filozoficznych, historyczno-literackich, historycznych, językoznawczych, etnograficznych — przesunęła się bliżej czasów współczesnych, w tym i okresu budowy Polski Ludowej. Zwłaszcza na Dolnym Śląsku jest to tematyka szczególnie ważna dla informacji zagranicy, ogółu społeczeństwa polskiego i dla kształtowania świadomości samych mieszkańców Dolnego Śląska. Na pewno prawdą jest, że jesteśmy tu na ziemi praojców, że Polska ma do tej ziemi doniosłe prawa historyczne. Ale jeszcze bardziej prawdą jest to, że prawo to pomnożyliśmy wielokrotnie przez nasz polski trud nad zagospodarowaniem tej ziemi po wojennych zniszczeniach, że dźwignęliśmy ją własnym wysiłkiem, że polski badacz znalazł ogromne bogactwa tam, gdzie niemieccy posiadacze widzieli tylko pole uprawy lichego żytka czy jęczmienia. Zebranie faktów o tym trudzie, uważna ich analiza, doprowadzenie ich do świadomości samego społeczeństwa dolnośląskiego, narodu polskiego, opinii świata — jest rzeczą niezmiernie ważną.

Można się spodziewać, że rozbudowa tych badań i ich warunki to problem, który szeroko podejmie dyskusja konferencyjna. Sytuacja jest bowiem taka, że niejednokrotnie materiały wołają o zabezpieczenie, a szereg tematów — o podjęcie. Wiele zaś tematów współczesnych, określanych jako drażliwe, są takimi tylko z punktu widzenia badacza, który unika jawnego zaangażowania się po stronie budowy socjalizmu.

Postulowanie rozbudowy badań nad współczesnością nie oznacza, abyśmy — zwłaszcza na ziemiach zachodnich — negowali znaczenie badań nad dziejami i kulturą odległych wieków. Chodzi nie tylko o to — co, ale przede wszystkim o to — jak, z jakiego punktu widzenia się bada. Nie można tu sprawy upraszczać.

★

W konkretnej sytuacji rewizjonistycznych ataków zachodnioniemieckich zaangażowana być może np. książka poruszająca problematykę zamierzchłej słowiańskiej przeszłości Śląska; może też w pewnym stopniu oddziaływać na emocjonalną postawę tutejszych ludzi. Nie tylko zresztą w tym szczególnym przypadku, ale każdy niemal temat pozornie daleki od współczesnej rzeczywistości może dać w wyniku książkę wyraźnie zaangażowaną i kształtującą świadomość ludzką.

★

Uproszczenia więc, zapalające zielone światło dla każdej książki o współczesności i tylko dla takiej, byłyby szkodliwe. Podstawowej wagi badań nad współczesnością bynajmniej to jednak nie neguje. W sumie — czy to w nau-

kowych badaniach humanistycznych, czy w twórczości artystycznej, w całej kulturze humanistycznej — zarówno gdy idzie o wybór tematu, jak i o sposób ujęcia go — nic nie zastąpi czynnego zaangażowania myślowego i uczuciowego twórcy czy badacza, jego świadomego i konsekwentnego, opartego na wewnętrznym przekonaniu opowiedzenia się po określonej stronie.

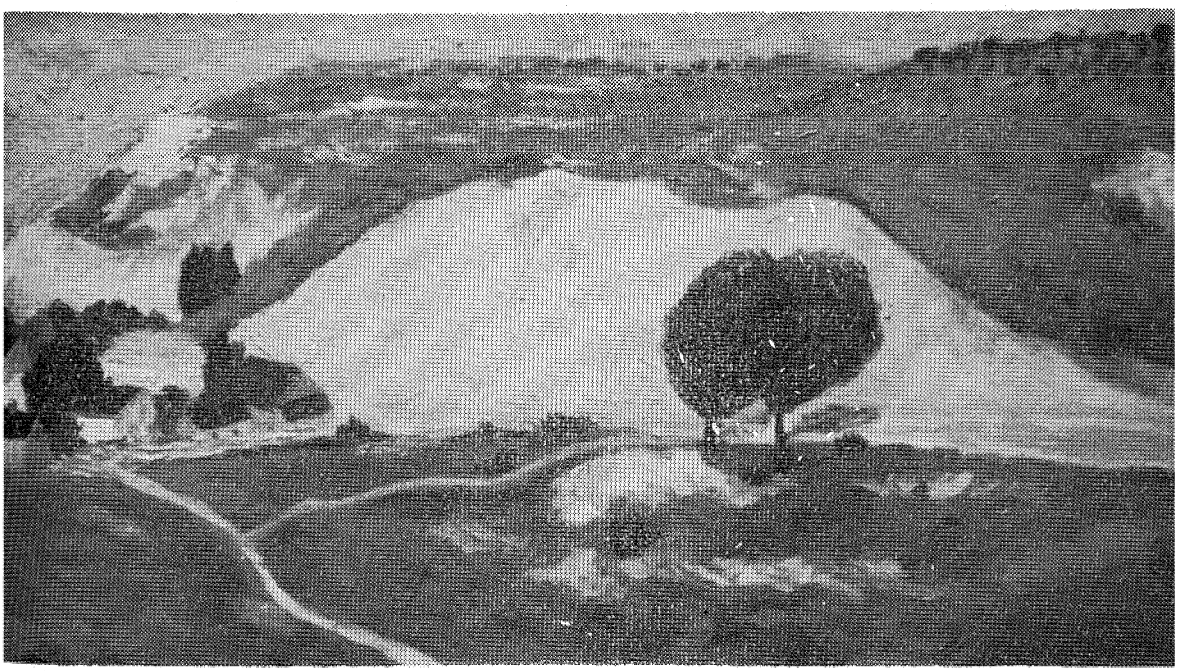
Wydaje się, że my na Dolnym Śląsku powinniśmy szczególnie usilnie dążyć do jak najmocniejszego związania się z regionem.

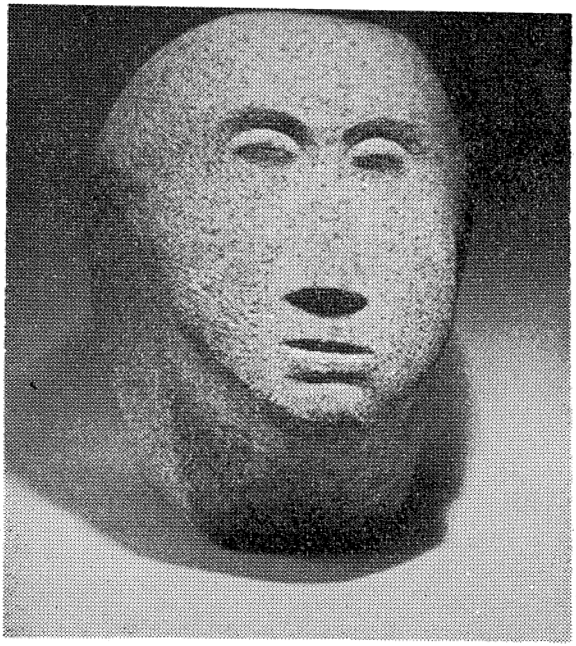
W społeczeństwie dolnośląskim, znajdującym się jeszcze w stanie formowania, w społeczeństwie opolskim i lubuskim, gdzie również procesy przemian przechodzą szczególnie szybko — rola, jaką może spełnić nauka i naukowcy wzrasta niepomiernie. Wiele nam dano — ale i wiele się od nas powinno wymagać. Wiele powinniśmy wymagać sami od siebie.

Byliśmy — jako środowisko naukowe — ważnym czynnikiem zagospodarowania przez naród polski tych ziem w minionym piętnastoleciu. Jest bardzo ważne, aby ta nasza rola nie tylko nie zmniejszyła się w przyszłości, ale rosła. Wymaga to, abyśmy rośli sami — wraz z zadaniami, które w procesie rozwoju Dolnego Śląska stają przed nami. Dla takiego wzrostu istnieją wszystkie przesłanki. Jest rzeczą naszej aktywności, aby te przesłanki stały się rzeczywistością.

Ewa Maleczyńska

Maria Janowska-Karpińska *Pejzaż z Janowca*





Władysław Tumkiewicz *Głowa*

Jerzy Boroń *Głowa*



Nadodrze w oczach socjologów

BOŻENNA CHMIELEWSKA

Jakkolwiek cały obszar Nadodrza stanowi dla socjologa obiekt badań dotyczących pewnych wspólnych zjawisk i procesów takich jak np. adaptacja czy integracja ludności napływowej, to jednak poszczególne regiony mają swoje specyficzne sfery zagadnień, wynikające zarówno ze zróżnicowania warunków geofizycznych, jak i struktury społecznej.

Idąc z biegiem Odry od południa ku północy zatrzymamy się wpierw na Śląsku Opolskim. Polską ludność Śląska tworzyły za czasów niemieckich masy chłopskie i wyłaniający się z nich od XIX wieku proletariat. Inteligencja była natomiast bardzo nieliczna. Ludność ta — posiadająca własne dzieje polityczne, odmienną strukturę społeczną i odrębne drogi rozwoju gospodarczego — wyróżnia się ponadto od reszty narodowej zbiorowości polskiej swoistymi cechami kulturowymi. Kwestia współżycia Ślązaków z ludnością napływową ma wiele aspektów nie występujących w procesie integracji różnych grup osadniczych i repatrianckich, a nawet w procesie zżywania się przybyszów z autochtoniczną ludnością Babimojskiego, które do roku 1918 było związane z Regencją Poznańską.

Już w roku 1945 pracownicy Zakładu Socjologii Uniwersytetu Warszawskiego pod kierownictwem prof. Stanisława Ossowskiego zainicjowali badania w zakresie więzi regionalnej i narodowej na Śląsku. Badania te były kontynuowane w latach 1947 i 48, a następnie w roku 1957. W drugim etapie kierował nimi prof. Stefan Nowakowski.

Prof. Ossowski opublikował wyniki swoich badań w artykule pt. „Zagadnienie więzi regionalnej i więzi narodowej na Śląsku Opolskim" w tomie IX Przeglądu Socjologicznego w roku 1947. Prof. Nowakowski natomiast jest autorem dwóch książek wydanych przez Instytut Zachodni w serii „Ziemie Zachodnie — Studia i materiały". Pierwsza z nich to monografia jednego z miasteczek opolskich, na którego przykładzie przedstawione zostało zderzenie się różnych grup społecznych na ziemiach zachodnich, druga dotyczy zagadnień związanych z przeobrażeniami społecznymi wsi opolskiej. Dużą rolę w tym procesie przypisuje prof. Nowakowski — instytucjom społecznym, takim jak szkoła, rada narodowa, kościół itp.

We wsi Giełczyn, stanowiącej obiekt badań profesorów Ossowskiego i Nowakowskiego, zbierali również materiały socjograficzne asystenci Anna Olszewska-Ładykowa, Edward Ciupak i Kazimierz Żygulski. Szczególnie interesujące są wyniki badań nad kwestią małżeństw mieszanych zawieranych pomiędzy Ślązakami i repatriantami z b. województw wschodnich. Znajdujemy je w tomie XIII Przeglądu Socjologicznego z roku 1959.

Obok kwestii współżycia Ślązaków z ludnością napływową na Śląsku Opolskim aktualny był również — w mniejszym lub większym nasileniu w poszczególnych okresach — problem wyjazdów do Niemiec. Badania dotyczące tego problemu zorganizował Instytut Śląski w Opolu przy współpracy Zakładu Socjologii i Historii Kultury PAN oraz Katedry Socjologii Uniwersytetu Wrocławskiego. I tak np. kierownik tej katedry prof. Stefan Golachowski rozpatrzył zagadnienie przestrzennego rozmieszczenia wyjazdów do Niemiec, natomiast K. Żygulski badał przyczyny wyjazdów.

Dolny Śląsk wyróżnia się szczególnie dwoma specyficznymi grupami zagad-

nień. Pierwsza związana jest z kwestią formowania się struktury ludnościowej Wrocławia, dużego miasta, które po roku 1945 całkowicie zmieniło skład swoich mieszkańców, druga wynika z faktu osiedlenia się w województwie wrocławskim kilkudziesięciu tysięcy reemigrantów z Francji, Niemiec, Rumunii, Jugosławii itd.

Tematykę socjologiczno-demograficzną Wrocławia przedstawiła Irena Turnau w swej książce pt. „Studia nad strukturą ludnościową polskiego Wrocławia". Znajdujemy w niej zarówno rozdziały poświęcone kwestii regionalnego pochodzenia ludności Wrocławia oraz strukturze demograficznej i zawodowej tej ludności, jak i problemom sensu stricto socjologicznym, np. tworzeniu się więzi społeczno-przestrzennej oraz adaptacji ludności.

Na podstawie analizy danych statystycznych już z roku 1947 — autorka burzy popularną opinię, jakoby Wrocław był zasiedlony przede wszystkim przez repatriantów z byłych wschodnich województw polskich, a w szczególności przez przybyszów z ówczesnego województwa lwowskiego. Wrażenie liczebnej przewagi repatriantów wynikało z faktu, że szczególnie dużą rolę w organizowaniu życia kulturalnego, społecznego i naukowego w mieście odegrała inteligencja lwowska. Dane statystyczne jednak wykazują, że w roku 1947 repatrianci stanowili zaledwie 23 proc. ogółu mieszkańców, natomiast przesiedleńcy z województw centralnych około 71 proc. Spośród przybyłej do Wrocławia ludności zaledwie 20 proc. pochodziło ze środowisk wielkomiejskich. Pozostali przybysze rekrutowali się ze wsi i mniejszych miast. Ten fakt — jak stwierdziła Irena Turnau — pociągał za sobą liczne trudności w organizowaniu życia wielkomiejskiego. Oto na przykład ogromna większość pracowników przemysłowych składała się z robotników niewykwalifikowanych, a brak kwalifikacji fachowych personelu początkowo uniemożliwiał normalne funcjonowanie zakładów przemysłowych.

Braki te w ciągu kilkunastu lat istnienia polskiego Wrocławia nadrobiono, chociaż proces ten nie jest jeszcze w pełni zakończony. Osobną sprawą było społeczne przystosowywanie się osadników ze wsi i małych miasteczek do organizacyjnych i kulturalnych warunków życia wielkomiejskiego.

Problemy dotyczące reemigrantów, np. kwestia adaptacji reemigrantów z Jugosławii, wchodzą w zakres prac prowadzonych przez Katedrę Socjologii Uniwersytetu Wrocławskiego. Reemigrantami z Francji zajmował się prof. Władysław Markiewicz z Uniwersytetu Poznańskiego, autor pracy pt. „Przeobrażenia świadomości narodowej reemigrantów polskich z Francji". Za przedmiot socjologicznych obserwacji obrał on grupę reemigrantów osiedlonych po wojnie w Wałbrzychu.

Prześledzenie zmian dokonujących się w ich świadomości narodowej i ideologii narodowej wymagało badań nad zjawiskami adaptacji do środowiska społeczności miejskiej w Wałbrzychu. Omawiając różne czynniki adaptacji prof. Markiewicz zwrócił szczególną uwagę na fakt, iż czynniki te w odniesieniu do reemigrantów ulegały na przestrzeni ostatnich lat poważnym zmianom. Z punktu widzenia tempa i trwałości procesów tworzenia się nowej jednolitej społeczności w Wałbrzychu i wrastania w nią reemigrantów duże znaczenie miały, zdaniem prof. Markiewicza, przemiany dokonane w okresie od października 1956 roku. O specyficznym układzie cech charakteru narodowego reemigrantów autor wnioskował na podstawie analizy ich stosunku do poszczególnych instytucji społecznych i państwowych.

W konkluzji prof. Markiewicz stwierdza, iż reemigranci z Francji są niewątpliwie grupą przodującą w łonie polskiej klasy robotniczej jako nosiciele tradycji wysokiej kultury przemysłowej i technicznej. Jakkolwiek przebywając długi czas na obczyźnie ludzie ci w większości odwykli od kultywowania obrzędowych form patriotyzmu, to jednak dla swojej ojczyzny zachowali serca czułe i gorące, a w ziemie zachodnie wrośli już tak silnie, jak może żadna inna grupa osiedleńców.

Dalej rozciąga się wzdłuż Odry województwo zielonogórskie. Tutaj, począwszy od roku 1957, prowadzą badania pracownicy i współpracownicy sekcji socjograficznej Instytutu Zachodniego w Poznaniu. Podobnie jak specyfikę społecznych problemów w województwie opolskim wyznacza grupa Ślązaków, a w województwie wrocławskim stosunkowo największa na ziemiach zachodnich grupa reemigrantów — tak w województwie zielonogórskim o specyfice tej decyduje grupa polskiej ludności rodzimej z dawnego pogranicza. Naciskowi germanizacyjnemu opierała się ona wszelkimi siłami uczestnicząc masowo w różnych organizacjach polonijnych, kultywując język polski, zwyczaje i świadomość swej przynależności do narodu polskiego.

Problemami związanymi z tą grupą ludności, a przede wszystkim kwestią

adaptacji jej do nowych warunków politycznych i nowego środowiska społecznego — na przykładzie jednej gromady w powiecie międzyrzeckim — zajął się Zygmunt Dulczewski, a Bożenna Chmielewska opracowała zagadnienie współżycia ludności miejscowej z przybyszami z woj. tarnopolskiego na terenie jednej z gromad w powiecie sulechowskim.

B. Chmielewska badała również kształtowanie się struktury społeczno-demograficznej i ekologicznej dwóch innych wsi woj. zielonogórskiego, zamieszkanych wyłącznie przez przesiedleńców z ziem dawnych oraz przez repatriantów z byłych województw wschodnich i południowych. Przedmiotem studiów był tu proces tworzenia się nowych więzi rodzinnych, sąsiedzkich i towarzyskich pomiędzy członkami różnych grup ludności mieszkającej w tych wsiach. W trakcie swych badań B. Chmielewska przebywała przez 8 miesięcy w jednej wsi w powiecie sulęcińskim jako nauczycielka szkoły podstawowej, co dało jej również możność dokładnego zapoznania się z funkcją szkoły i nauczycielstwa na ziemiach zachodnich.

Próbę zarysowania procesów integracyjnych, dokonujących się na tle środowiska społecznego małego miasteczka w powiecie sulechowskim, podjął Janusz Tomaszewski. Interesowała go charakterystyka grup mieszkańców badanego miasteczka według pochodzenia regionalnego, ponadto kontakty tej ludności na tle poszczególnych instytucji społecznych.

Jedną z pierwszych inicjatyw sekcji socjograficznej Instytutu Zachodniego było rozpisanie (już w roku 1957) konkursu na pamiętnik osadnika ziem zachodnich. Na konkurs wpłynęło 227 prac, przy czym około 25 proc. pochodzi z województwa zielonogórskiego, a ponad 30 proc. z województwa wrocławskiego. 73 pamiętniki napisali rolnicy, 47 urzędnicy i 27 nauczyciele. Na podstawie pamiętników nauczycieli Andrzej Kwilecki przeprowadził studium społecznej problematyki pracy nauczycieli i szkoły na ziemiach zachodnich opublikowane w osobnej książce w roku 1960. Obecnie Andrzej Kwilecki i Zygmunt Dulczewski przygotowują do druku fragmenty pamiętników nagrodzonych w konkursie. Pracę tę opublikuje jeszcze w bieżącym roku Wydawnictwo Instytutu Zachodniego. Współpracujący z Instytutem Zachodnim Kazimierz Żygulski zajął się grupą repatriantów, którzy przybyli do Polski ze Związku Radzieckiego w drugim okresie repatriacji — po roku 1955. Wyniki badań nad tą grupą Kazimierz Żygulski przedstawiał w kilku czasopismach naukowych. Oto ich tematy: „Repatrianci, jako pracownicy przemysłowi", „Adaptacja dzieci repatriantów w szkole na ziemiach zachodnich" i „Adaptacja kulturalna repatriantów na ziemiach zachodnich". Szczególnie interesujące są wyniki studium na temat adaptacji kulturalnej repatriantów. W rozważaniach swych autor podkreśla funkcję kulturalną zakładu pracy.

Oprócz Kazimierza Żygulskiego współpracował z Instytutem Zachodnim socjolog Józef Konieczny — radca Wojewódzkiej Rady Narodowej w Zielonej Górze. Z prac Koniecznego wymienić należy przede wszystkim analizę sytuacji społeczno-gospodarczej i kulturalnej powiatu międzyrzeckiego, z którą wystąpił na zielonogórskiej naradzie socjologów w marcu 1959, oraz artykuł w „Przeglądzie Zachodnim" (nr 4/1958) zawierający wyniki badań nad osadnictwem i odbudową życia społecznego w mieście nadgranicznym, które uległo szczególnie wielkim zniszczeniom wojennym. Obecnie Konieczny opracowuje zagadnienie rozwoju życia kulturalnego w województwie zielonogórskim w okresie ubiegłych lat piętnastu. Zagadnienia kulturalne były również przedmiotem studiów Stefanii Dzięcielskiej, która z ramienia Katedry Socjologii Uniwersytetu Łódzkiego prowadziła badania nad wolnym czasem inteligencji jednego z zielonogórskich miast powiatowych.

I na koniec tego przeglądu — województwo szczecińskie. Tu znajdujemy podobny jak w województwie wrocławskim problem tworzenia się nowej społeczności wielkomiejskiej — w obrębie Szczecina. Problemowi temu poświęciła swe prace Halina Winiecka, która przystąpiła do badań nad adaptacją ludności wiejskiej w jednej z dzielnic tego miasta, a Waleria Różycka z Miejskiej Pracowni Urbanistycznej w Szczecinie — nad problematyką związaną z podstawowymi procesami rozwoju i integracji społecznej miasta.

Problemy adaptacji stanowiły również przedmiot badań Bolesława Sadaja, który objął nimi cały teren wiejski województwa szczecińskiego. Głównym celem tej pracy było ustalenie, jakie formy działalności nauczycieli wiejskich wpływają na przyspieszenie procesów adaptacyjnych i integracyjnych.

Dwa powiaty województwa szczecińskiego, gryficki i stargardzki, wybrano do badań ankietowych wśród repatriantów, którzy wrócili do Polski w latach 1955—1958. Badania te podjął Instytut Gospodarstwa Społecznego przy współpracy i pomocy finansowej i organiza-

cyjnej b. Biura Pełnomocnika Rządu do Spraw Repatriacji.

Obok zagadnień adaptacji i integracji ludności napływowej ważne miejsce w badaniach socjologów na ziemiach zachodnich zajmuje problem stabilizacji tych ziem. Badania w tym zakresie przeprowadzone zostały na dużą skalę w Świnoujściu przez Katedrę Socjologii Uniwersytetu Warszawskiego, Ośrodek Badania Opinii Publicznej oraz Koło Naukowe Studentów Socjologii Uniwersytetu Warszawskiego.

Zasadniczym przedmiotem badań w Świnoujściu było poczucie stabilizacji rozpatrywane na tle struktury społeczno-demograficznej, warunków życia ludności oraz jej oczekiwań związanych z rozbudową miasta. Świnoujście obrane zostało jako teren badań w związku z przemianami gospodarczymi, które nastąpiły po roku 1956, gdy miasto wkroczyło w okres szybkiego rozwoju, jak również dlatego, że skupia się tu ludność z różnych okolic Polski i napływająca w wyniku ostatniej akcji repatriacyjnej.

Oczywiście, ten krótki przegląd bynajmniej nie wyczerpuje całego zespołu zagadnień ważnych dla socjologa i aktualnych, ani też nie wylicza wszystkich badawczych inicjatyw socjologicznych obejmujących swym zasięgiem Nadodrze. Celowe jednak wydawało się skupienie uwagi na sprawach najważniejszych, nawet bowiem o nich wiadomo jak dotąd przeważnie tylko wąskim kręgom specjalistów.

Bożenna Chmielewska



Danuta Brzozowska *Kompozycja XVII*

JAN REITER

Dawna prasa polska we Wrocławiu

W jubileuszowym roku 300-lecia prasy polskiej warto się pokrótce zastanowić, jaki był wkład Wrocławia do dziejów tej prasy, warto dokonać jej przeglądu historycznego i roli, jaką odgrywała.

Sprawa nie jest łatwa ani prosta, bo wiadomości nasze o wrocławskiej prasie polskiej są dotychczas stosunkowo skromne. Nie interesowano się bowiem dotąd szerzej tym zagadnieniem, a obecne badania są dopiero w stadium początkowym. Stąd też o prasie tej mamy tylko nieliczne i niepełne wzmianki, obejmujące zaledwie niektóre tytuły czasopism, podczas gdy inne zostały bądź zapomniane, bądź też są w ogóle nieznane w literaturze przedmiotu. O prasie wrocławskiej mówi się i pisze u nas nawet nie tyle, ile o prasie górnośląskiej, opolskiej czy cieszyńskiej, od których wrocławska jest starsza, chociaż nie tak obfita w tytuły. A przecież ciekawa i charakterystyczna ze względu na miejscowe stosunki społeczno-polityczne, kulturalne i gospodarcze.

Artykuł niniejszy stanowi zatem pierwszą próbę dokonania chronologicznego przeglądu całej prasy polskiej we Wrocławiu.

★

Gdy z okazji jubileuszu przypominamy krakowsko-warszawski „Merkuriusz Polski” z roku 1661, to trzeba pamiętać, że i Wrocław miał swoje „Merkuriusze”, tylko trochę późniejsze. Pierwszym czasopismem wrocławskim poświęconym Polsce był *„Bresslauischer Mercurius aus dem Königreich Polen”*, wydawany w języku niemieckim dwa razy w tygodniu w latach 1695—1702. Wydawcą był księgarz Georg Seydel, mający swoją siedzibę przy dzisiejszej ulicy Wita Stwosza.

Czasopismo to podawało przeważnie wiadomości społeczno-polityczne z różnych stron ówczesnej Polski, a szczególnie z Warszawy, Krakowa, Lwowa i Gdańska. Było ono wyrazicielem polityki Sasów w stosunku do Polski i niejako organem sfer dworskich, starających się zjednać sobie przychylność Polaków dla Augusta II zarówno przed elekcją, jak w czasie jej trwania i w pierwszych latach jego panowania w Polsce. Stąd w kilku numerach z roku 1697, zachowanych w niektórych bibliotekach, spotyka się częste wzmianki krytyczne o konkurencie Augusta II, francuskim kandydacie do tronu polskiego, księciu Conti, popieranym przez wielu magnatów i znaczną część szlachty.

Podobny charakter miało drugie czasopismo niemieckie, wydawane we Wrocławiu w latach 1697—1698 pod przydługim nieco tytułem *„Polnischer*


GAZETY
ŚLĄSKIE,
DLA LUDU POSPOLITEGO.

KARTKA II.

za Mieśiąca Lutego, 1790

Mercurius, das ist kurze und deutliche Nachricht von alle demjenigen was in Polen vor-in-und nach der Wahl Ihr. Majestät der jetzigen Königs fürgegangen ist".

Jak już samo określenie w tytule wskazuje, było to czasopismo poświęcone wewnętrznym sprawom polskim w okresie elekcji i początków panowania Augusta II. Jest ono niesłusznie i niewłaściwie zaliczane czasem do prasy polskiej, gdyż ani nie było wydawane przez Polaków, ani przeznaczone dla polskiej ludności na Śląsku, prawie nie znającej wtedy języka niemieckiego.

Oba „Merkuriusze" wrocławskie, podobnie jak ich poprzednik krakowsko-warszawski, nie utrzymały się jednak długo, ale sprawa wydawania prasy polskiej była nadal aktualna. Choćby ze względu na stosunkowo dużą ilość polskiej ludności na Śląsku. Już w roku 1716 drukarz i wydawca wrocławski Karol Leopold Bachler nosi się z zamiarem wydawania gazety w języku polskim. Zwraca się więc do rządu o zezwolenie, ale niestety spotyka się z odmową. Motywowano ją rzekomym brakiem zainteresowania ze strony społeczeństwa oraz tym, że byłyby pewne trudności językowe dla cenzury. Skończyło się więc na zamiarze i długie lata upłynęły, zanim pojawiło się we Wrocławiu pierwsze czasopismo w języku polskim.

Czasopismem owym był miesięcznik *„Gazety Śląskie dla ludu pospolitego"*, wydawany od roku 1789 do 1803 przez znanego księgarza i wydawcę wielu dzieł polskich, Wilhelma Bogumiła Korna. Redakcja adresowała je do szerokich rzesz ludności polskiej Śląska (czyli — jak to oficjalnie określano — „dla okolic nie znających języka niemieckiego"). Faktycznie jednak miesięcznik był tylko polską wersją — i to niezbyt poprawną — wydawanego wówczas niemieckiego czasopisma „Schlesische Volkszeitung zum Nutzen und Vergnügen".

Tłumaczenie tekstów niemieckich na język polski wydawca powierzył pa-

storowi Janowi Bockshammerowi z Twardogóry, w powiecie sycowskim, autorowi kancjonału polskiego dla Polaków — ewangelików, wydanego w Brzegu w roku 1776. Niechętnie podejmował się tej pracy Bockshammer, uzasadniając to obawą przed trudnościami i zarzutami z powodu słabej znajomości języka polskiego, gdyż — jak pisał — „różne są dialekty polskie na Śląsku". Rząd — któremu na tym wydawnictwie zależało — i wydawca uspokajali uczciwego tłumacza, iż nie będzie wielkiego nieszczęścia, gdy jakiś nieznany mu wyraz czy zwrot pozostawi w brzmieniu niemieckim. Wręcz przeciwnie — dzięki temu bowiem ludność polska szybciej przyswoi sobie język urzędowy.

Trzy wymienione czasopisma, wydawane przez Niemców, nie były polskie z ducha i treści, nie uwzględniały ani kulturalnych, ani gospodarczych potrzeb ludności polskiej na Śląsku. O dwu pierwszych wspominamy jedynie dlatego, że jakkolwiek tendencyjne, zajmowały się jednak sprawami polskimi, ostatnie zaś warte jest uwagi chociażby z tego względu, iż było pierwszym czasopismem wydawanym w języku polskim.

Pierwsze pismo naprawdę polskie, wychodzące tylko przejściowo (przez jeden miesiąc) we Wrocławiu w roku 1843, to poznański *„Tygodnik Literacki"*. Wydawany od roku 1838 przez Antoniego i Julię Woykowskich, rzeczywiście postępowy, stał się tygodnik ów organem demokracji poznańskiej, wyznającej ideologię utopijnego socjalizmu i stojącej na stanowisku antyfeudalnym i antyszlacheckim.

Wydawcy „Tygodnika", ścigani w Poznaniu przez cenzurę, wierzycieli i wsteczną opinię publiczną, szukali schronienia we Wrocławiu. Zamierzali nawet osiąść tutaj wraz z wydawnictwem na stałe, do czego skłaniał ich fakt, iż we Wrocławiu tygodnik miał wielu przyjaciół, zwolenników i współpracowników. M. in. na jego łamach zamieszczał swoje artykuły znany w całym świecie fizjolog wrocławski, przyjaciel Polaków, Jan Ewangelista Purkynie.

Po miesiącu wydawcy wrócili jednak do Poznania, ale posiew „Tygodnika" był udany i obudził żywe zainteresowanie prasą polską we Wrocławiu. Już w roku 1845 miał wydawać tutaj „pismo czasowe znacznej objętości w poszytach ćwierćrocznych" — jak to wtedy określano — czyli kwartalnik, dotychczasowy współpracownik „Tygodnika Literackiego", historyk wrocławski rodem z Krakowa — August Mosbach. Wydawnictwo to jednak nie doszło do skutku, ale myśl o nim nadal nurtowała wielu Polaków, zarówno starszych, jak i młodzież.

Wędrujący po Wielkopolsce i Śląsku „lirnik mazowiecki", Teofil Lenartowicz, będący w kontakcie z Mosbachem i innymi ludźmi pióra, usiłował również w latach 1849—50 wydawać we Wrocławiu „pismo literackie pod własną redakcją". Nie był to jednak pomyślny okres dla prasy polskiej, gdyż po zgnieceniu rewolucyjnych i wolnościowych ruchów Wiosny Ludów zapanowała znowu reakcja i wzmogła się germanizacja. Usiłowania Lenartowicza spełzły więc na niczym, ale „odrodzenie narodowe Śląska", zapoczątkowane w roku 1848, nie dało się już zahamować i pociągało za sobą coraz szersze zainteresowanie prasą polską.

Brak własnej prasy zastępowały w tym czasie często spotykane we Wrocławiu czasopisma górnośląskie, wielkopolskie, pomorskie, warszawskie, krakowskie i lwowskie. Pojawiały się tu nawet czasopisma emigracyjne, zwłaszcza paryskie, takie jak „Demokrata Polski", „Teraźniejszość i Przyszłość" czy też „La Pologne", oraz wydawane w Rosji: „Tygodnik Petersburski", „Niezabudka" i inne.

Znajdowały się one nie tylko w bibliotekach i czytelniach towarzystw

i organizacji polskich, lecz także w niektórych lokalach niemieckich. Znany wrocławski hotel „Pod Złotą Gęsią", przy dzisiejszej ulicy Ofiar Oświęcimskich 17, w którym przez długie lata zatrzymywało się wielu Polaków, w częstych ogłoszeniach, zamieszczanych w roku 1858 w prasie warszawskiej, podkreślał, że „w hotelu tym mówią po polsku i po francusku, tudzież prenumerują gazety w obu tych językach".

Niezależnie od tych gazet, jak meteor pojawia się we Wrocławiu ilustrowana *„Gazeta Polska dla rolników"*, której pierwszy a zarazem ostatni numer został wydany w kwietniu 1862. Jedynym śladem jej istnienia jest zapis w „Bibliografii Polskiej" Estreichera (tom I, s. 247), gdzie została wykazana z podaniem redaktora Wilhelma Janke i adnotacją: „więcej nie wyszło". Z tego samego źródła dowiadujemy się o jeszcze jednej, również nieznanej bliżej efemerydzie, jaką była *„Gazeta Międzynarodowa"*, wydawana we Wrocławiu od czerwca 1881 w czterech językach — polskim, niemieckim, francuskim i rosyjskim. Nie wiadomo, czy utrzymała się ona długo, przypuszczać jednak można, że i jej żywot był krótki. Efemeryd tych nie znajdujemy dziś w żadnej z poważniejszych bibliotek krajowych i tylko zapisy bibliograficzne świadczą o ich istnieniu.

Inne czasopismo w języku polskim, ale wydawane znowu przez Niemców, pojawia się w roku 1882. Było to *„Pismo Miesięczne Śląskiego Związku Włościańskiego"*, stanowiące tłumaczenie z niemieckiego „Monatsschrift des Schlesischen Bauernvereins", a przeznaczone dla Polaków i Niemców, członków tegoż Związku, którzy w ramach składki członkowskiej otrzymywali je bezpłatnie.

Czasopismo to zajmowało się wyłącznie zawodowymi sprawami rolniczymi oraz działalnością Związku, centralnej spółki rolniczej i śląskich spółek włościańskich. Było ono założone i wydawane przez niemieckiego obszarnika i prezesa Związku, barona von Huene, a redagowane przez kilku członków zarządu Związku, Niemców. Redakcja i siedziba zarządu znajdowała się początkowo w Nysie, a potem we Wrocławiu. Oba wydania — polskie i niemieckie — drukowano najpierw w Nysie a od roku 1903 w Bolesławcu.

Polskie wydanie tego czasopisma nie miało wielkiego powodzenia. Redakcja w latach 1904 i 1910 skarżyła się, że nakład jego jest niski i „wychodzi w znacznie mniej egzemplarzach jak niemieckie". Nie pomogła nawet zmiana tytułu na *„Włościanin Śląski"*, wprowadzona po 29 rocznikach z początkiem roku 1910, i w rezultacie, z końcem roku 1910, wydanie polskie przestało wychodzić.

Inny charakter miało czasopismo w języku polskim, o którym się najczęściej wspomina, mianowicie założone w roku 1884 *„Nowiny Śląskie"*. Było to „pismo tygodniowe dla ludu ewangelickiego", wydawane najpierw we Wrocławiu, a później w Wołowie przez „ostatniego pastora polskiego", Jerzego Badurę z Międzyborza w powiecie sycowskim. Czasopismo to jest charakterystyczne z tego względu, że było drukowane alfabetem gotyckim w na ogół poprawnym języku polskim i stale podkreślało swoją polskość, związaną oczywiście z religią.

Już w pierwszym numerze z datą 19 stycznia 1884 redaktor i wydawca zapowiadał, że „Nowiny"... „pragną podnosić i pokrzepiać ducha współwyznawców". Widział on wielką i naglącą potrzebę pracy religijnej „między ludźmi polskimi", ubolewał nad tym, że „ubywa prawie co rok kaznodziei mówiących po polsku".

Przy końcu pierwszego kwartału wydawca stwierdza ponownie w nr 10, że: „Nowiny Śląskie" są przeznaczone dla licznych naszych rodaków-ewange-


Rok I. Wrocław, dnia 6. Września 1884. Nr. 34.

Nowiny Szląskie.

Pismo tygodniowe dla ludu ewangielickiego.

Nowiny Szląskie wychodzą w Wrocławiu raz w tydzień, co sobotę. Zapisywać je można na wszystkich pocztach i u każdego listowego. Cena kwartalna na poczcie 80 fen. Za odnoszenie do domu przez listowego dopłaca się 15 fenigów. — „Nowiny Szląskie" zapisane w księdze pocztowej: Zeitungs-Preis-Liste, 5ter Nachtrag II r. polnisch, Nr. 49a. Listy należy adresować: Schatzky, Breslau, Wallstraße 14b, für die „Nowiny Szląskie" lub S. Gryger Wrocław, Neumarkt 12.

Ogłoszenia (inseraty) przyjmuje drukarz Th. Schatzky w Wrocławiu. Cena: 15 fenigów od wiersza.

lików, władających polskim językiem i pragnęłyby się dostać pod każdą strzechę, gdzie jest lud polski ewangelicki".

Oprócz ewangelii i kazań na niedziele, „Nowiny Śląskie" zawierały także liczne artykuły z życia religijnego, kościelnego i politycznego. Wprowadzono w tym celu specjalne rubryki: „Co słychać na świecie?" oraz „Wiadomości ze Śląska i okolicy". W tej ostatniej znajdujemy w nr 50 z dnia 27 grudnia 1884 charakterystyczną wiadomość z Wrocławia:

„**Wrocław.** Podobnie jak w innych miastach, odbyła się tutaj także jednego dnia rewizja pomiędzy żołnierzami. Poszukiwano, czy żołnierze nie mają i nie czytają socjaldemokratycznych książek. Tego nie odkryto, ale że wśród garnizonu tutejszego przy regimentach służy wielu Górnoślązaków, więc znaleziono u nich wiele książek polskich. Tego przecież zwierzchność wojskowa nie zakazuje i nie zabrania czytać po polsku, więc też polskie książki każdemu oddano na powrót i nie zabierano ich wcale. Panowie starsi nic przeciw polskim książkom nie mają, bo są pisane w duchu pobożnym i religijnym i kto je czyta, ten nie otruje się trucizną socjaldemokracji i bezbożności".

Mimo różnych trudności związanych z drukiem i wydawaniem, czasopismo rozwijało się dobrze i miało ponad 700 abonentów. Ze względu jednak na stałe podkreślanie i podtrzymywanie polskości wśród ewangelików śląskich, było ono niemile widziane przez władze świeckie i duchowne. Już w połowie maja 1884 konsystorz zabronił pastorowi Badurze „Nowiny Śląskie" wydawać. W numerze 17 z 13 maja wydawca doniósł swoim czytelnikom, że „z powodu okoliczności od woli jego niezależnych opuszcza redakcję i nakład tego pisma".

Wydawnictwo przeszło w inne ręce, a w roku 1887 zmieniło nawet tytuł na „Nowiny". Zmieniali się wydawcy, redaktorzy odpowiedzialni i drukarnie, ale kierunek pisma pozostał taki sam, dopóki czuwał nad nim z dala pastor Badura. „Nowiny" przetrwały jeszcze parę lat, ale ciągłe szykany i trudności spowodowały w roku 1891 ich upadek.

Religijny również, ale już zupełnie jednostronny charakter miało dalsze czasopismo wydawane we Wrocławiu (od roku 1890) w języku polskim pt. *„Niezapominajki"*. Było ono poświęcone wyłącznie misjom, prowadzonym przez trapistów w Marianhill w południowej Afryce. Początkowo wychodziło dwa razy na miesiąc, ale już w roku 1904 zmieniło tytuł na *„Wiadomości Misyjne"* i ukazywało się jako miesięcznik ilustrowany, wydawany „z upoważnienia kardynała Jerzego Koppa we Wrocławiu".

Po pierwszej wojnie światowej i podziale Śląska wydawnictwo przeniesiono w roku 1925 do Katowic, „ponieważ większa część naszych czytelników mieszka w Polsce" — jak to ogłoszono przy końcu roku 1924. W Katowicach wegetowało do roku 1939.

Odmienny charakter miało inne czasopismo polskie: *„Akademia Domowa Nauki Wszechstronnej"*. Był to tygodnik, którego charakter określał podtytuł:

„pismo poświęcone łatwemu nabywaniu nauk do stanowiska i towarzyskiego pożycia potrzebnych". Wydawcą, redaktorem i autorem większości artykułów był „licencjat św. teologii", Wielkopolanin, ks. A. Choiński.

Pierwszy numer czasopisma został wydany 7 lipca 1892 r. i był wraz z drugim drukowany w Poznaniu w drukarni „Dziennika Poznańskiego", a dalsze już we Wrocławiu w drukarni „Schlesische Volkszeitung". Miało ono na celu ułatwić czytelnikom samokształcenie, stąd też w każdym numerze były dwa lub trzy „praktyczne kursy języków obcych" — początkowo angielskiego, francuskiego i włoskiego, a później też, na przemian, hiszpańskiego i niemieckiego. Oprócz kursów języków obcych pojawiały się też artykuły popularno-naukowe, zwłaszcza z zakresu filologii, historii powszechnej, geografii i nauk przyrodniczych, sygnowane przeważnie inicjałami „X.Ch.", pod którymi łatwo się dopatrzyć redaktora i wydawcy. Po upływie pół roku czasopismo to przestało jednak wychodzić.

Jeszcze jeden tytuł polski pojawił się we Wrocławiu przy końcu XIX wieku. Był to tygodnik *„Posłaniec Niedzielny dla diecezji wrocławskiej"*, wydawany od stycznia 1895. Miał on za zadanie „przeciwdziałać prądom niedowiarstwa i rozluźnieniu obyczajów, szerzyć oświatę religijną i pouczać o tym, co się dzieje w diecezji i w dalszych częściach kościoła..."

Pierwszym i długoletnim redaktorem „Posłańca" był Niemiec, jezuita ks. Augustyn Arndt, a samo czasopismo było tylko polskim tłumaczeniem niemieckiego „Katholisches Sonntagsblatt". Oprócz artykułów o treści religijnej i obszernych wiadomości kościelnych, diecezjalnych i misyjnych, tygodnik zawierał również liczne opowiadania i wiersze o tematyce obyczajowo-religijnej.

Wyraźny przełom nastąpił w tym wydawnictwie w okresie walk o wyzwolenie narodowe Śląska, w latach 1919—20, gdy czasopismo usamodzielniło się, zmieniło redaktorów-Niemców na Polaków i stało się czasopismem polskim, rozpowszechnianym w polskiej i niemieckiej części Śląska. Od tego czasu rzeczywiście pojawiają się artykuły bardziej odpowiadające potrzebom ludności polskiej, bo związane z przeszłością i tradycjami kulturalnymi Śląska. Wśród autorów zamieszczanych teraz w „Posłańcu" powieści, opowiadań, legend i wierszy, pojawiają się często nazwiska Asnyka, Konopnickiej, Kraszewskiego, Pola, a z pisarzy śląskich — Bończyka, Damrota i Nehringa.

Od roku 1901 co dwa miesiące dołączano do „Posłańca" czterostronicowy dodatek „Wstrzemięźliwość", a od roku 1904 co miesiąc „Dodatek Ilustrowany", zamieniony w roku 1926 na „Świat Katolicki".

„Posłaniec Niedzielny" był wydawany bez przerwy do początków roku 1939, tj. do czasu jawnych już przygotowań agresji hitlerowskiej na Polskę i zaostrzonego kursu antypolskiego na Śląsku i w całych ówczesnych Niemczech. W zbiorach Biblioteki Uniwersyteckiej we Wrocławiu, oprócz kilkunastu roczników poprzednich, znajduje się również ostatni — siódmy numer „Posłańca" z datą 12 lutego 1939 i ręczną adnotacją przed tytułem: „Mehr nicht erschienen". Czasopismo zostało więc zawieszone, na pewno nie bez nacisku władz świeckich, a bez oporu władz kościelnych. Nie pomogły deklaracje wydawców o apolityczności periodyku, bo chodziło o wytępienie resztek polskości nawet w czasopismach treści religijnej.

Wymienione dotychczas tytuły, zarówno tygodniki jak i miesięczniki, nie zaspokajały jednak ani swoją treścią, ani częstotliwością ukazywania się potrzeb kulturalnych ludności polskiej na Śląsku. Pojawia się więc w r. 1897 projekt wydawania we Wrocławiu dziennika polskiego. Odbyło się w tym celu specjalne zebranie miejscowych Polaków, na którym utworzono nawet

akcyjną spółkę wydawniczą i zadeklarowano fundusze. Próżne były jednak starania i wysiłki, gdyż rząd pruski nie dał zezwolenia na wydawanie gazety polskiej.

O Wrocław zahaczyły również przejściowo w latach międzywojennych młodzieżowe wydawnictwa Związku Polaków w Niemczech. W latach 1934 i 1935 mieściła się we Wrocławiu redakcja miesięcznika dla dzieci *„Mały Polak w Niemczech"* oraz administracja miesięcznika dla młodzieży *„Młody Polak w Niemczech"*.

Czasopisma te miały duże trudności z drukiem (drukowano je częściowo w Berlinie, bądź też w Opolu czy Olsztynie, a nawet w Warszawie). Przetrwały jednak do chwili wybuchu ostatniej wojny. Tu godzi się wspomnieć, że w obu pracował przez dłuższy czas znany dziś literat i publicysta, Edmund Osmańczyk. W latach 1938 i 1939 był on redaktorem naczelnym „Młodego Polaka w Niemczech".

*

Odrębną kategorię stanowią polskie czasopisma studenckie, stąd też omawiamy je osobno. Polska kolonia akademicka we Wrocławiu stale była liczna, bo skupiała się tu na studiach młodzież zarówno ze Śląska, jak i z Wielkopolski, z Pomorza i Prus Wschodnich oraz nieliczne jednostki z zaboru rosyjskiego i austriackiego.

Młodzież ta, obok studiów, żywo interesowała się przeszłością i współczesnym życiem społeczno-politycznym, kulturalnym i gospodarczym wszystkich ziem polskich. Zainteresowanie to w dużym stopniu zaspokajała polska prasa, obficie nadsyłana do bibliotek i czytelni poszczególnych towarzystw akademickich, zwłaszcza w drugiej połowie XIX wieku. Otrzymywane bezpłatnie lub abonowane „po zniżonej cenie" różne czasopisma krajowe i zagraniczne nie wystarczały jednak akademikom wrocławskim.

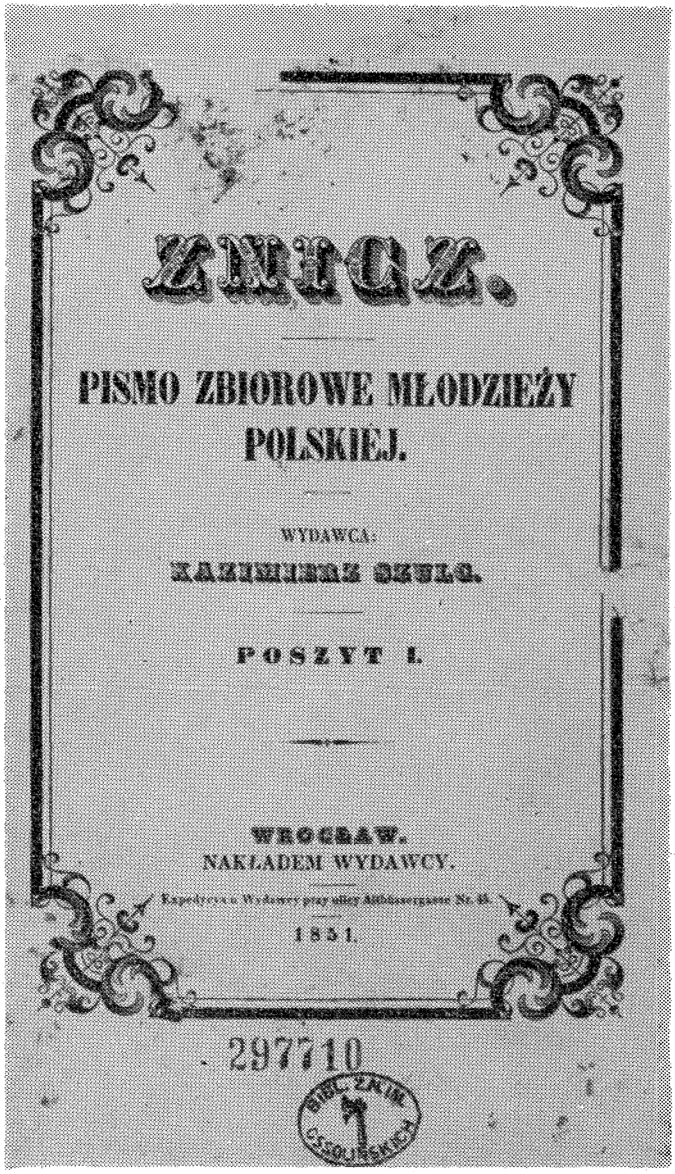
Chcieli oni mieć własne pismo, poświęcone ich sprawom, ich życiu i działalności, nauce i zabawie, ich — jak byśmy to dzisiaj powiedzieli — ideologii i postawie społecznej.

Najstarszym wydawnictwem polskiej młodzieży akademickiej we Wrocławiu był *„Znicz"*, który ukazał się w roku 1851 jako „pismo zbiorowe młodzieży polskiej". Pomysł jego powstał w roku akademickim 1849/50 wsród członków Towarzystwa Literacko-Słowiańskiego, istniejącego na Uniwersytecie Wrocławskim od roku 1836. Już w lutym 1850 został wydany drukiem „Prospekt" czasopisma, zapowiadający, że „Znicz" winien zastąpić młodzieży „brak wyższej uczelni narodowej". Miał on więc podtrzymywać i umacniać uświadomienie narodowe i społeczne młodzieży, a bronić jej przed wynarodowieniem i germanizacją.

Widocznie duże były trudności z wydaniem, skoro „Znicz" pojawił się dopiero w rok po „Prospekcie". Pierwszy zeszyt, zwany wtedy „poszytem", drukowany we Wrocławiu, został wydany nakładem studenta filozofii z Pomorza, Kazimierza Szulca, pełniącego w Towarzystwie Literacko-Słowiańskim kolejno funkcje bibliotekarza i prezesa.

Zeszyt ten szeroko rozszedł się po wszystkich ośrodkach polskich w kraju, a nawet dotarł za granicę. W drugim numerze bowiem, wydanym w roku 1852 i drukowanym w Chełmie, znajdujemy wysłany z Brukseli list wybitnego historyka i przywódcy obozu demokratycznego na emigracji — Joachima Lelewela, z podziękowaniem za nadesłane mu czasopismo. Sędziwy Lelewel wysoko ocenił poziom zamieszczonych prac literackich, chwalił staranną korektę i wyraził szczere uznanie wydawcy za „gruntowne rzeczy traktowanie".

Oba zeszyty „Znicza", obok artykułów literackich i naukowych, zawierały też korespondencje z życia i działalności młodzieży w innych ośrodkach,


ZNICZ.

PISMO ZBIOROWE MŁODZIEŻY POLSKIEJ.

WYDAWCA:

KAZIMIERZ SZULC.

POSZYT I.

WROCŁAW.

NAKŁADEM WYDAWCY.

1851.

a szczególnie w Berlinie, Pradze, Warszawie, Lwowie i Krakowie. Na drugim zeszycie „Znicz" zakończył niestety, swój żywot.

W tym samym okresie drobna grupa studentów z Wielkopolski, zwana Marchołtowiczami albo Towarzystwem Wariatów, ma również swój „organ prasowy". Było nim tygodniowe pismo humorystyczne *„Marchołt"*, pisane ręcznie, wydawane w formie ulotki, ale z zachowaniem wszystkich cech czasopiśmienniczych i przeznaczone prawie wyłącznie dla członków i sympatyków grupy. Do grupy tej należał przez pewien czas także Władysław Nehring, późniejszy profesor Uniwersytetu Wrocławskiego i kurator Towarzystwa Literacko-Słowiańskiego.

Swoją formą i treścią *„Marchołt"* programowo przeciwstawiał się poważnym artytułom „Znicza", którego losy zresztą niebawem podzielił.

Myśl wydawania czasopisma polskiego nurtuje jednak w dalszym ciągu akademików — członków Towarzystwa Literacko-Słowiańskiego. Sprawę tę rozważają w listopadzie 1862 r. dwaj studenci filozofii, Stefan Pawlicki, rodem z Gdańska (późniejszy profesor filozofii Uniwersytetu Jagiellońskiego) i Zbigniew Morawski z Oporowa w Poznańskiem.

Chciano wówczas przystąpić do wydawania poważnego kwartalnika społeczno-politycznego, przeznaczonego już nie wyłącznie, jak „Znicz", dla młodzieży, ale dla ogółu społeczeństwa polskiego. Projektowany kwartalnik miał być magazynem albo raczej przeglądem spraw polskich, wzorowanym na paryskiej „Revue de Deux Mondes". Redakcję tego czasopisma zamierzano powierzyć pierwszemu profesorowi-Polakowi na Uniwersytecie Wrocławskim

i kuratorowi Towarzystwa Literacko-Słowiańskiego, Wojciechowi Cybulskiemu. Na pomyśle, niestety, się skończyło, a poważne zamiary akademików spełzły na niczym. Może zahamował wydawnictwo i wybuch powstania styczniowego, które żywym echem odbiło się wśród studentów wrocławskich, skoro „od lutego do listopada 1863 roku czynności Towarzystwa były w zawieszeniu" — jak to zanotowano w „Pamiętniku Towarzystwa" z roku 1886.

Nie próbowali już potem akademicy wznawiać poważniejszych czasopism polskich. W okresie nasilenia bismarckowskiej polityki germanizacyjnej i „Kulturkampfu" byłoby to chyba w ogóle niemożliwe. Chwytają się więc innej broni i od tego czasu ograniczają się do wydawania pisemek humorystycznych i satyrycznych, przeznaczonych wyłącznie na użytek wewnętrzny — dla członków swoich towarzystw. Satyra stała się zatem środkiem walki młodzieży o wolność i postęp.

I tak Towarzystwo Polskich Górnoślązaków, istniejące od roku 1863 do 1876, wydawało swoją *„Gazetę Piwną"*, do której „każdy członek Towarzystwa był zobowiązany pod karą coś napisać". Była to zatem gazeta pisana w jednym egzemplarzu i odczytywana na tygodniowych zebraniach Towarzystwa w ich drugiej, nieoficjalnej części poświęconej rozrywce i zabawie, oczywiście przy piwie.

Bardziej ruchliwe i aktywniejsze było Kółko Towarzyskie Akademików Wrocławskich Narodowości Polskiej, istniejące od roku 1869 do 1886. W Kółku tym, po długich naradach i wahaniach, zgodzono się w maju 1870 na wydawanie humorystycznego pisemka *„Poczwara"*. Redagował je zwykle jeden z członków i odczytywał na zebraniach, po zamknięciu oficjalnej części posiedzenia poświęconej sprawom społecznym i organizacyjnym. Różne koleje przechodziło to pisemko. Przetrwało jednak stosunkowo długo, bo ślady jego istnienia spotykamy w różnych źródłach jeszcze w roku 1878, 1882 a nawet 1884.

Ostatnim tego rodzaju znanym nam czasopismem jest *„Wszegryz"*, określony przez wydawców jako „pismo historyczno-tragiczno-komiczne". Wydawało je Towarzystwo Górnośląskie, działające na Uniwersytecie Wrocławskim od roku 1880 do 1886. „Wszegryz" był niemal wyłącznie pismem satyrycznym, które „wszystkich i wszystko gryzie". Wydawano go w ostatnich latach istnienia Towarzystwa, a funkcje redaktora pełnił Górnoślązak, Józef Katryniok — ostatni sekretarz Towarzystwa.

Oprócz gazetek własnych, wydawanych sporadycznie, poszczególne towarzystwa otrzymywały również pewną ilość czasopism zamiejscowych. Aby udostępnić je szerszym kręgom ludności polskiej, Kółko Towarzyskie występuje w drugiej połowie roku 1884 z projektem zorganizowania czytelni ogólnej dla młodzieży i starszych. Projekt po dłuższych staraniach został zrealizowany i z początkiem stycznia 1885 r. powstała „Czytelnia Akademików-Polaków we Wrocławiu", mieszcząca się przy dzisiejszej ulicy Szewskiej 28/29. Była ona związkiem ogólnoakademickim, występującym „w charakterze łącznika poszczególnych towarzystw", które przekazały tu swoje książki i czasopisma. Organizatorzy „Czytelni" otwierali ją „z tą nadzieją, że tak miejscowa, jak i zamiejscowa publiczność instytucję tę popierać zechcą". Miała ona zatem charakter czytelni publicznej i zgromadziła bogatą bibliotekę oraz wiele różnego rodzaju czasopism krajowych i zagranicznych, od dzienników aż do kwartalników i roczników. Ilość tych czasopism już w pierwszym półroczu 1885 obejmowała 43 tytuły. Był to zatem największy wówczas zbiór prasy polskiej we Wrocławiu.

Rzecz znamienna, że w „Czytelni" obok wymienionych czasopism legalnych była i prasa nielegalna. Krążył w niej bowiem, podawany ukradkiem z rąk



do rąk, wydawany w Genewie organ socjalistów polskich „Przedświt", którego współpracownikiem był m. in. twórca „Proletariatu" Ludwik Waryński. Wspomina o tym gorliwy czytelnik tego pisma, studiujący wtedy we Wrocławiu członek Towarzystwa Literacko-Słowiańskiego, Jan Kasprowicz, skazany wkrótce przez sąd wrocławski na karę więzienia za udział w tajnych zebraniach i za kolportaż nielegalnej prasy.

Na dobrze rozwijające się i aktywne polskie towarzystwa akademickie wraz z „Czytelnią" spadł nieoczekiwany cios, który położył kres ich działalności. 3 lipca 1886 zostały one przez rząd rozwiązane jako politycznie „niebezpieczne dla całości Prus". Książki zostały częściowo przewiezione do Poznania, czasopisma zaś uległy przeważnie zniszczeniu.

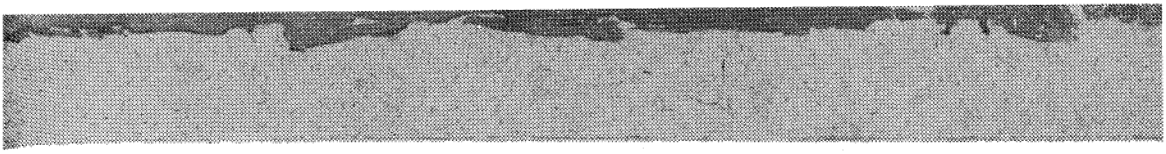
★

Odtąd tylko nieliczne czasopisma polskie spotykało się w prywatnych lokalach polskich i niemieckich. Wśród polskiej biedoty miejskiej i robotników rozchodzi się, wydawana najpierw w Berlinie a potem w Katowicach, „Gazeta Robotnicza", będąca organem socjalistów polskich, którzy prowadzili ożywioną działalność również we Wrocławiu łącząc się w wielu poważniejszych sprawach z socjalistami niemieckimi.

Hakatystyczne pismo wrocławskie „Ostmark" jeszcze w roku 1906 oburzało się i ostro potępiało tych niemieckich właścicieli lokali, którzy na życzenie polskich klientów abonowali czasopisma polskie. Niemile widziana przez szowinistów niemieckich polityczna prasa polska, posądzana o szerzenie na Śląsku tzw. „agitacji wielkopolskiej", docierała nadal do Wrocławia i przetrwała cały okres przed- i międzywojenny. W nielicznych polskich lokalach i czytelniach spotyka się w dalszym ciągu prasę wielkopolską, górnośląską i opolską, a potem również czasopisma wydawane przez Związek Polaków w Niemczech.

Czasopisma te spełniały poważną funkcję społeczną. Mówiły czytelnikom o przeszłości Polski, jej dziejach i kulturze, budziły uświadomienie narodowe i społeczne. Zaznajamiały czytelników z bieżącymi zagadnieniami polskimi i były potężną bronią w walce o utrzymanie języka ojczystego, w walce z obcą przemocą i germanizacją. Czasopisma te wychowały przyszłych bojowników o polskość Śląska i tych, którzy wierząc w zjednoczenie wszystkich ziem polskich doczekali się wreszcie połączenia Śląska z Macierzą.

Jan Reiter



ŚLADAMI KOLBERGA



KRZYSZTOF KWAŚNIEWSKI

Stara wrocławska kamienica przy ul. Nankiera 4 — na niej tablica z napisem: „Zakład Etnografii Instytutu Historii Kultury Materialnej PAN". Tu opracowuje się Polski Atlas Etnograficzny, stąd co roku w lecie wyruszają „w Polskę" pracownicy naukowi. Badanych wsi jest 340 i rozrzucone są one mniej więcej co 50 km na terenie całego kraju. Przy dużym obszarze badanym i ograniczonych środkach trzeba stosować, jak w statystyce, metodę reprezentacji.

Na wstępie dwa wyjaśnienia. Etnograficzne pojęcie kultury nie ogranicza się do tego, co wiążemy z tym pojęciem potocznie, mówiąc „człowiek kulturalny", lecz obejmuje wszystkie materialne i umysłowe wytwory społeczności ludzkiej. A kultura ludowa, która jest przedmiotem badań etnograficznych, to nie tylko pieśni, baśnie czy „krakowskie wesela" kolorowe przepychem dawnych strojów ludowych, ale i stara chałupa, wstydliwie dziś ukrywany przesąd czy tradycyjne zasady współżycia w rodzinie chłopskiej. Nie trzeba wyjeżdżać za granicę, wystarczy patrzeć przez okno w czasie dłuższej podróży pociągiem by dostrzec, że zależnie od tego, w jakim to jest zakątku kraju ludzie żyją w innego niż gdzie indziej typu chatach, inaczej się ubierają. „Co wieś — to inna pieśń" — mówi przysłowie. Nie wiadomo, czy to przysłowie, czy może raczej muzyczne wykształcenie Kolberga było przyczyną, że zbierał on przede wszystkim pieśni, opowiadania i opisy obrzędów ludowych.

Ale ścieżki, którymi przemierzał on niegdyś Polskę, zamieniły się w asfaltowe szosy. Dziś chcemy wiedzieć więcej. Np. czym różnią się, a w czym są podobne tradycje Mazurów i Kujawian, Krakowiaków i Ślązaków itp. M. in. chcemy także dokładnie wykreślić na mapie granice obszarów regionalnych. I po te właśnie dane wyjeżdżają co roku śladami Kolberga pracownicy Atlasu.

Różowy blankiet delegacji z urzędową pieczątką niczego nie załatwia. Czasami wręcz utrudnia sytuację. Są przecież Kierdziołkowie, którzy chcąc się ukazać w jak najlepszym świetle, demontują maszyny, zakazują mówić o „zabobonach". Są kobieciny wylęknione, by nie zapłacić grzywny za kurną chałupę po dziadkach. Są nieporadni, którym trzeba pisać różne podania. Trzeba stanąć wobec obcych ludzi, wejść w ich życie na parę dni, zdobyć ich życzliwość, informacje, więcej — szczerość. A po paru dniach znów do innej obcej wsi. I tak przez dwa, trzy miesiące. Łatwość kontaktu przestaje być sprawą tylko talentu towarzyskiego. Znałem wypadek, że młoda, nieśmiała koleżanka, świeżo po studiach, mając za sobą już miesiąc badań, kilka godzin przesiedziała pod wsią, zanim odważyła się do niej wejść.

Zależność etnografa od dobrej woli informatorów jest ogromna. A przecież najczęściej jesteśmy przyjmowani bardzo życzliwie. Ale i życzliwość może być czasem kłopotliwa. Inna koleżanka np. została raz poczęstowana krupnikiem z kawałkami dość „odleżałego" mięsiwa. Woń potrawy nie zachęcała do jedzenia, toteż młoda reprezentantka nauki — pozostawiona przez jakiś czas sama w izbie — skorzystała z tego i niepostrzeżenie, by nie urazić gospodyni, wylała zupę za okno. Jakież jednak było jej przerażenie, gdy zobaczyła, że ślady krupniku na rosnących w pobliżu krzakach malin są aż nadto widoczne. Nie pamiętam już, jaki miała finał ta historia, muszę jednak dodać, że naprawdę rasowy etnograf zjadłby ów krupnik bez mrugnięcia.

Zresztą po jakimś czasie zaczyna się nawet lubić tę krajową egzotykę. Przypadająca etnografowi rola powiernika

i doradcy, daje jego ściśle teoretycznej pracy posmak bezpośredniej użyteczności społecznej. Przy okazji można się dowiedzieć bardzo wielu rzeczy, których często może nie wiedzą ludzie decydujący o niektórych sprawach. Gdzieś np. nie znajdują nabywców w sklepie GS pługi bez kółek. Tutaj etnograf mógłby wyjaśnić, że tradycja i warunki terenowe każą miejscowej ludności używać tylko pługów z kółkami. Albo: młody nauczyciel, np. z Rzeszowskiego, będzie uznany za nieobyczajnego, jeżeli wypowie na Górnym Śląsku niewinne słówko „motyka". W gwarze miejscowej oznacza ono dziewczynę lekkich obyczajów... Dla zdobycia informacji i dla wniknięcia w życie wsi warto m. in. wysłuchać wspomnień ze służby wojskowej, kojarzących się nieodparcie każdemu staruszkowi z „opowieściami o dawnych dziejach", o które się go prosi.

Często pada pod adresem etnografa pytanie: po co to? Być może, że i czytelnikowi trafi do przekonania udzielane zwykle wyjaśnienie: chodzi o badania historyczne, ale nie o historię sławnych ludzi i decydujących bitew; chodzi o historię ogółu, historię prostego człowieka, jego borykania się z życiem i przyrodą, warunków jego życia i świata pojęć, które sobie wytworzył. Dodajmy, że Polacy od Niemców, albo — już „wewnątrz" jednego narodu — górale od Krakowiaków różnią się nie tylko językiem czy gwarą, ale i wieloma innymi elementami kulturowymi. A jednak przy obecnym stanie badań trudno jeszcze odpowiedzieć wyczerpująco, jakie są owe różniące ich zwyczaje i tradycje. I na to właśnie pytanie odpowiedzieć chcą etnograficzne badania atlasowe. Nie możemy poprzestawać na ogólnikach, i to w dodatku niesłusznych, kwalifikujących np. wszystkich bez wyjątku Ślązaków jako „pracowitych ale nieużytych", albo Mazurów jako „przedsiębiorczych ale kłótliwych".

Nie jesteśmy pierwsi. Już przed wojną ukazały się atlasy etnograficzne Niemiec i Szwajcarii, po wojnie — Szwecji i Austrii. Przed wojną ukazał się również „Atlas Kultury Ludowej w Polsce", opracowany w oparciu o badania z około stu wsi przez zmarłego niedawno profesora Kazimierza Moszyńskiego. Po wojnie inicjatywę dalszych i szerszych prac atlasowych wysunął Józef Gajek, profesor Uniwersytetu Wrocławskiego — najpierw w ramach Polskiego Towarzystwa Ludoznawczego, a następnie Polskiej Akademii Nauk. Kierując pracami atlasowymi, które stały się jego pasją życiową, doprowadził do opracowania przez zespół przeważnie młodych autorów ponad stu ciekawych map, ustalił podstawy i metody prac atlasowych. Niestety, tradycja Kolberga — choć oczywiście w mniejszym stopniu — odzywa się także w zakresie jego nieustających trosk o finansowe podstawy dzieła. Wydawnictwo jest precyzyjne, trudne, kosztowne. Trzy lata trwają już starania, aby wydać dotychczas opracowane mapy. Wydawnictwa unikają pozycji „nietypowej", kredyty są niewystarczające. Dotychczas ukazał się tylko zeszyt próbny złożony z 17 map a wydany nakładem Zakładu na prawach rękopisu. Wrocławianie mogli go obejrzeć na Wystawie Sztuki Poligraficznej.

Kolorowe znaki różnych kształtów wyznaczają na mapach większe i mniejsze prowincje. Każdy z tych znaków ma swoją bogatą dokumentację w postaci stosu notatek przywiezionych w plecaku z jakiejś odległej wsi. Nie wolno się przy tym zrażać błahością zebranego materiału. Często bowiem okazuje się, że jest to błahość tylko pozorna. Np. taki szczegół, jak występowanie pieca piekarskiego we wnętrzu domu mieszkalnego — to tradycyjny zwyczaj słowiański, który ostro zarysowuje pogranicze polsko-niemieckie na linii zbliżonej do dzisiejszej granicy zachodniej Polski. To też jest jeden z naszych obiektywnych, wymiernych, wyznaczających tę granicę historycznych argumentów. Podobnie jak wiele zjawisk wspólnych dla Dolnego i Górnego Śląska oraz całej Małopolski, a zupełnie nieznanych niemieckiej kulturze ludowej. Niejedno z nich usiłował przemilczeć lub zaciemnić Niemiecki Atlas Etnograficzny, który obejmuje także i polskie ziemie zachodnie. Na przykład: nawet niemieckie nazwy wieńca dożynkowego, używane dawniej na tych terenach, określały go przeważnie jako wieniec lub koronę (Kranz, Krone), co nawiązywało do typowej dla Polski formy tego wieńca, która (zarówno jak i tego rodzaju nazwy) nie jest spotykana na obszarach rdzennie niemieckich. Długo i uważnie trzeba się jednak wpatrywać w niemiecką mapę, aby to zauważyć — tak różnymi, zaciemniającymi obraz symbolami i kolorami oznaczono owo zjawisko. Niemcy hitlerowskie były przecież jedynym krajem, który posiadał oficjalnie faszystowską organizację etnograficzną.

Warto może zaznaczyć, że np. w Stanach Zjednoczonych kładzie się nacisk głównie na rozwój socjologii. Jest to podyktowane młodym osadniczo i przemieszanym narodowościowo składem społeczeństwa amerykańskiego. Chociażby

kwestia nawyków i tradycyjnych pojęć. Stu przypadkowo wybranych mieszkańców stanu Kentucky w określonych sytuacjach będzie się zachowywać rozmaicie, podczas gdy wśród stu mieszkańców Bretanii, Bawarii czy Mazowsza zauważymy zadziwiającą jednomyślność. Dlatego też stare, osiadłe od tysiąca i więcej lat społeczności muszą znać swoje tradycje i liczyć się z nimi. Wywierają one bowiem bardzo znaczny wpływ na nasze życie dzisiejsze. Ślązaczka z bogatego, zmechanizowanego, nowoczesnego gospodarstwa będzie często brała na siebie więcej obowiązków i mniejszy udział w podejmowaniu decyzji niż podhalańska biedna gaździnka, w której wieki pasterskich tradycji wyrobiły większe poczucie swobody i niezależności. Etnograficzne badania atlasowe zmierzają więc nie tylko do wniosków historycznych, lecz i do charakterystyki zaznaczających się do dziś różnic w kulturze ludności różnych ziem Polski. Takie ustalenia — choć nie zawsze mogą sięgnąć we wszystkie dziedziny życia — mają nawet pewną wyższość nad wynikami badań socjologicznych: są powiązane z konkretną społecznością i konkretnym terenem, mówią o ich cechach specyficznych i opierają się na obiektywnych faktach, nie tylko na danych statystycznych i opiniach wyrażanych nieraz pod wpływem chwilowych nastrojów (tzw. badania opinii publicznej).

Bardzo interesująco zarysowują się wyniki dotychczasowych badań nad ziemiami zachodnimi Polski. Tam, gdzie mieszka obecnie wyłącznie ludność przybyła na te ziemie po roku 1945, zaczynają się zacierać różnice między mową i zwyczajami przybyszów z różnych stron, a utrzymuje się tylko to, co jest im wszystkim wspólne, ogólnopolskie. To, co pozostało po dawnych mieszkańcach — zwłaszcza budynki, choć nieco inne od dawniej posiadanych, nie są jednak dla osadników obce, jeżeli chodzi o rozplanowanie i przeznaczenie. Ale, z drugiej strony, można zauważyć pewne objawy wchłaniania tych obszarów przez sąsiadujące starsze obszary etniczne i kto wie, czy kiedyś Pomorze Zachodnie, Ziemia Lubuska a nawet najbardziej pod względem osadniczym przemieszany Dolny Śląsk nie upodobnią się kulturowo do przyległych krain: Pomorza, Wielkopolski i Górnego Śląska.

Daleko odbiegliśmy w ogólnych rozważaniach od naukowego włóczęgi-etnografa, który w zapadłych wioskach zapisuje ze wspomnień starców pozornie nic nie znaczące szczegóły. A jednak tylko taka praca może nam otworzyć i otwiera owe szersze perspektywy na nasze wczoraj i dziś, na planowanie nawet naszego jutra. Ale nie tylko ona. Trzeba pamiętać, że atlasy etnograficzne: niemiecki i szwajcarski powstały prawie wyłącznie w oparciu o badania ankietowe, a więc o materiały dostarczone w odpowiedzi na ankietowe formularze przez nauczycieli, rolników, działaczy kulturalnych i społecznych — a nie przez zawodowych etnografów. Do prac nad Polskim Atlasem Etnograficznym również sporo danych dostarczyli nauczyciele, szkoły, gromadzkie rady narodowe — ale początkowe próby oparcia atlasu wyłącznie na tych danych nie powiodły się. Za słabe jest nieraz zrozumienie dla ważności badań etnograficznych, zbyt błahe i szczegółowe wydają się pytania ankiet.

A przygotowanie atlasu etnograficznego wymaga danych bardziej precyzyjnych nawet niż ten ogromny materiał, który zebrał Kolberg. Wymaga dokładnych odpowiedzi na zestawione z góry pytania. Trzeba więc, aby zrozumienie problematyki etnograficznej dotarło do najszerszych warstw społeczeństwa, aby okazało ono jak najdalej idącą pomoc i współpracowało z tymi, którzy chcą mu służyć w granicach swej specjalności.

Nie jest także rzeczą przypadku, że ogólnopolski ośrodek prac nad atlasem etnograficznym znajduje się we Wrocławiu, na ziemiach zachodnich, gdzie powstała konieczność współżycia ze sobą ludzi różniących się nieraz dość silnie wyniesionymi ze stron rodzinnych zwyczajami. Nie będzie też chyba przesadą stwierdzenie, że kontynuacja, publikacja i problemowe opracowywanie atlasu etnograficznego jest w polskich warunkach jednym z pierwszoplanowych zadań nauk społecznych.

Krzysztof Kwaśniewski



Fot. Piotr Mierzwiński

T A D E U S Z   R Ó Ż E W I C Z

Błazen

Ten błazen
był zbyt mądry
aby śmiać się
z innych

zbyt mądry
czyli smutny

więc się śmiali z niego

tylko Króla Starego
miał za równego
sobie
Stary Król go rozumiał
więc wyśmiewał Króla

1960

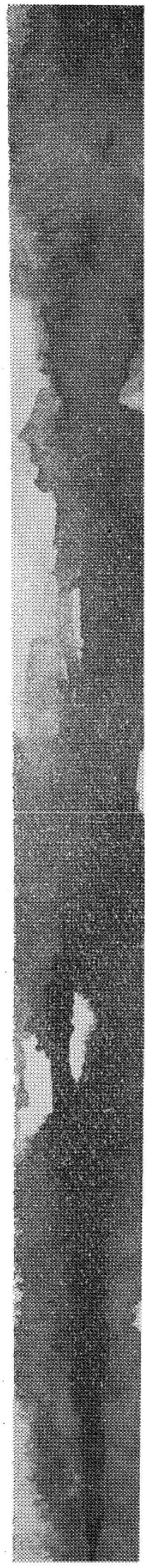
Ślepa kiszka

Metafizyka skonała
powiedział Witkacy
i odszedł
w nic

optymiści
którzy go przetrwali
biegają z formą
z foremką
do robienia wierszy
z piasku

oni wesołe wyrostki
robaczkowe
ślepej kiszki
Europy

1960

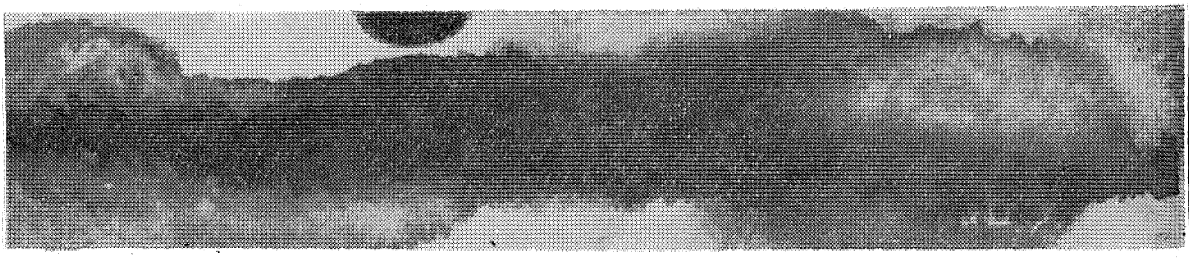


Grób Dantego w Rawennie

Dante
Tu nic nie ma
Przecież tu pusto
Wycieczka Zielone okulary
czerwone oczy niebieskie wargi
pomarańczowe włosy
głowy na miękko
w głowach „piękno”
Chodźmy dalej
Proszę kolejno
Tam nic nie ma
Zaglądają przez dziurkę
Dantis poetae sepulcrum
Inwalida bez nogi
który siedzi w kąciku
mówi zawstydzony gniewny
To wszystko
Tu nic więcej nie ma
Dante
Stalowe łańcuchy
Spiżowy wieniec
Virtuti et Honori
Zamknięty na kłódkę
w kapliczce
jest Dante
jest pusto
nic
nie ma

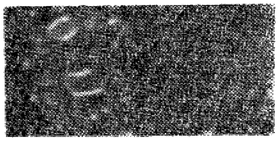
(1960)

Tadeusz Różewicz



Rekonstrukcje, albo: opowiadania tysiącletnie

ROMUALD CABAJ



PIWO

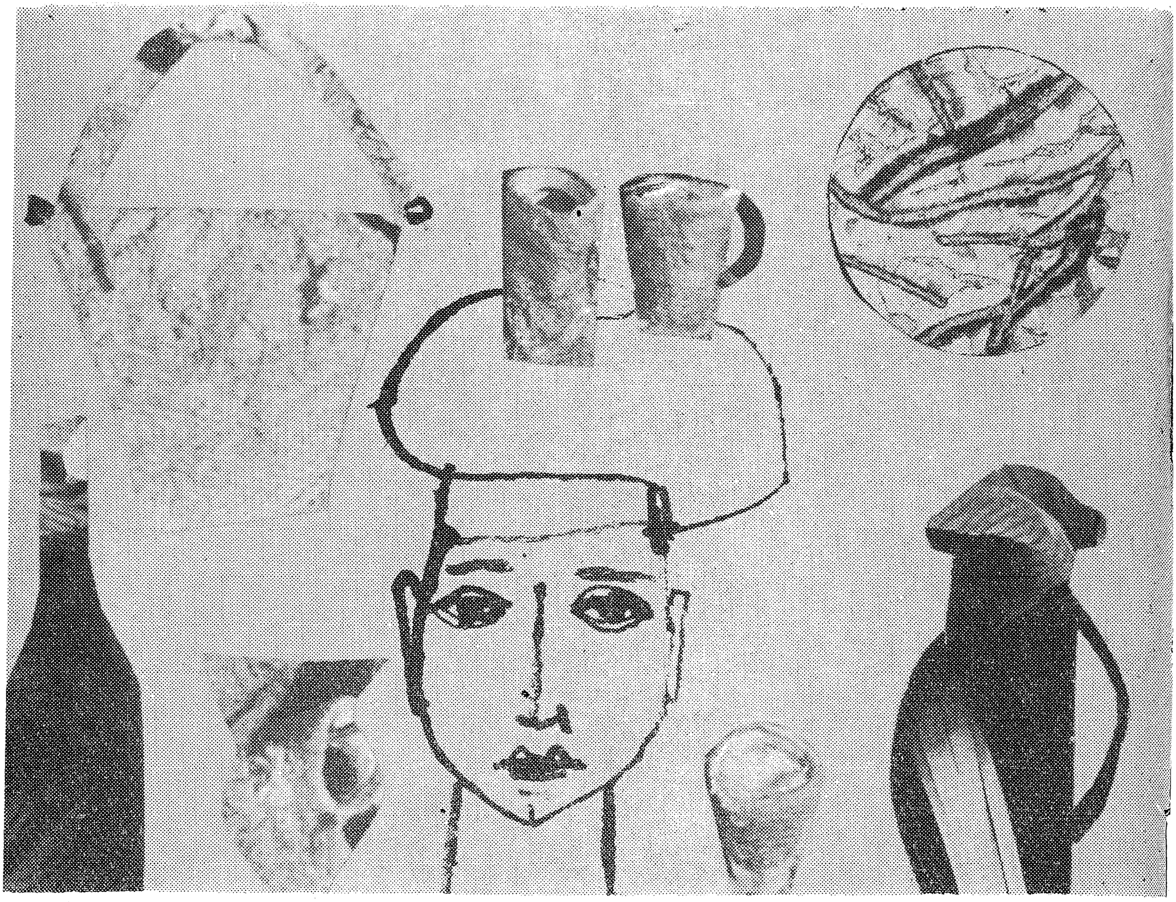
Pogoda była ciągle bez jednej chmurki, zboża zanurzone w ostatnie dni czerwca całkiem już zbielały w upale i człek i zwierz o każdej porze dnia mieli ochotę uciekać w chłód, a mogli skryć głowę w cieniu komnatki lub drzewa tylko na krótką chwilę południa. Warsztaty rzemieślników były zawalone robotami, rytmem prac rządziły śpieszne i ciągle przynaglane zamówienia, nie wolno było ręki na rękę założyć, choć żar ognia smagał twarze, a plecy parzyła słoneczna spieka. Każde uderzenie młota w pracowni płatnerskiej miało wielką cenę, więc żal było hamować ruch. Wszyscy też po dniu pełnym trudu chcieli jeść, nęciły ich zaś nade wszystko białe rogale pachnące świeżą wonią pieczywa. Oto piekarz otarł przed chwilą pot z czerwonego czoła, wysypał wór mąki do ogromnej dzieży i pchnął pomocnika z wiadrem po wodę. Usiadł na zydlu, ciężko dysząc. Malutkie szybki przytrzymane w oknie ramkami z ołowiu rozprażyły się, nabrały przejrzystości płomienia, a już pachoł ładował sosnowe bierwiona do czeluści pieca i przytykał ogień. Po chwili wrócił pomocnik posłany po wodę. Niósł na dnie cieniutką warstewkę żółtej wilgoci, brudnej, przesyconej piaskiem. Rozłożył ręce, powiedział:

— Rzeka wyschła. Tylko kamienie coraz wyżej sterczą nad dnem. Musiałem rękami czerpać.

Mistrz odrzekł:

— Idź tedy do studni farbiarza. Chyba pozwoli wziąć wody. Chwali moje rogale, a jak wody nie będzie, to farbiarz nie dostanie pieczywa do dzisiejszej wieczerzy.

Ale farbiarz chcąc zabezpieczyć ciągłość swojemu rzemiosłu zamknął studnię ryglami i nie pomogły groźby ani prośby. Ani się nie ruszył od kądzi wypełnionych czerwonym albo żółtym płynem. Pomocnik chciał koniecznie usłużyć swojemu mistrzowi, obiegł więc jeszcze parę ogrodów i podwórek w nadziei, że studnie tam będą otwarte. Wszyscy jednak właściciele zdążyli już spostrzec suche dno w rzece i dlatego wodę z własnych studzien chcieli mieć tylko dla siebie. Kiedy wysłaniec piekarzowy wrócił do piekarni, w piecu wypaliło się już drewno, pachoł wyciągał właśnie gorejące węgle, a mistrz stanął w kącie, byleby tylko dalej od gorąca — nie tak zaś daleko, by nic nie móc widzieć. Pomocnik był zmordowany, spotniały, koszula lepiła się do jego pleców. Mistrz spojrzał w głąb pustego wiadra i nic nie powiedział. Tylko



wykrzywił wargi i w tym grymasie było wszystko, co w tej chwili pomyślał. Chłopak mruknął wreszcie:

— Za bardzoście się przeciwiali, kiedy kopali studnie. Chcieli i wam taką studnię wyżłobić, ale wam było żal mieszek otwierać. A teraz tylko straty mieć będziecie.

— Rzeka była pod nosem — odpowiedział piekarz — trza mi to było na wodę ciężki grosz wykładać? A ciebie kto o te rzeczy pyta? Co się wtrącasz? Lepiej weź dzban i leć do gospody po piwo. Tylko, żeby mi było koniecznie to piwo najlepsze, świdnickie!

Chłopiec, który już od paru godzin biegał po rozpalonych ulicach, chwycił teraz wielki, gliniany dzban i wyszedł z piekarni. Mistrz dyszał i przeklinał jego powolne ruchy, pragnął orzeźwiającego piwa, piany delikatnej i chłodnej i gorzkawego zapachu. A ten, zamiast pędzić, lazł niby mucha w mazi. W końcu jednak znikł i mistrz, oczekując na ulubiony napitek, mógł chwilę pomyśleć o kłopotach. Wszystko, co ten niegodziwiec gadał, było czystą prawdą. Trzeba było kopać studnię, cóż, kiedy to teraz już i za późno i w ogóle tylko serce rozdrażnia. Drzewo spłonęło, piec jeszcze nie wystygł, ale wystygnie, trzeba odżałować grosz niepotrzebnie stracony. Jutro jakoś się przecież dogada z farbiarzem albo sukiennikiem. Nawet lepiej od razu do sukiennika uderzyć. Przecież całej studni sam nie wypije i może za jakimś odszkodowa-

niem zgodzi się na czerpanie wody przez piekarza. Żebyż jeszcze to piwo znalazło się na stole, wszystko byłoby nie tak całkiem czarne! I oddech by się jakoś ustatkował, serce by tak nie łomotało jak teraz, pragnienie przestałoby palić. Chłopaczysko nie wraca. Musiał wyżłopać piwo, a teraz bajdy jakieś zmyśla i dokąd kłamstwa nie skomponuje, nie wróci. Mistrz w porę zatroszczył się o kij. Zacisnął na nim palce. Zmrużył oczy i ujrzał już dybidzbana, przeklęte i oszukańcze stworzenie. Co się to w wąskich szparach oczu potrafi zmieścić! Chłopak jąka się i plącze, powiada: „Piwa nie było. Nie dowieźli ze Świdnicy" — a w dzbanie, na dnie, pływają krople błyskające rozkoszną żółtością. „Jakże to nie ma piwa. A te krople skąd?" — szydzi piekarz i wali wyrostka kijem po przewrotnym łbie, po łakomym pysku, po nienasyconym brzuchu... Piekarz otworzył oczy. Nie, nikt tu jeszcze nie przyszedł, muchy tylko, rozeźlone spieką, jęły żądlić pulchne ciało mistrza. Opędzał się przed zjadliwymi owadami, począł wymachiwać rękami, spocił się, zmęczył, zaprzestał obrony. Strumień potu spłynął mu z czoła na policzki, podrażnił skórę. Mistrz nie wiedział już teraz, co gorsze: czy te muchy, czy pot, czy gorąco. I całą siłą pragnienia zamarzył o kuflu piwa. Ostatecznie gdyby tam do gospody na czas nie dowieźli świdnickiego napoju, zawsze w starej becce jakaś odrobina jeszcze zostanie, nie musi być pełny dzban, wystarczy ćwierć kwarty, wystarczy tyle, żeby zwilżyć wargi.

Wysłańca ciągle jeszcze nie ma.

No, ten farbiarz przeklęty, skąpiec, obrzydliwy sknera! Rogale mu słodko pachniały, zresztą specjalnie dla niego robiło się nieraz taki wypiek, jaki lubił. I tak się odpłacił! Poczekaj, chytry lisie! Zawsze to niebo nie będzie przecież takie jak rozpalony garnek. Przypłyną chmury, spadnie ulewa, rzeka zaszumi wysoką i przeźroczystą falą. Ludzie rzucą się do piekarni, będą kupować chleby i bułki. Ach, jaka woń będzie wisieć w powietrzu, ślina pocieknie z ust, każdy dostanie za swój grosz, co mu będzie należne. Tylko dla farbiarza zabraknie, a zabraknąć może i będzie to nawet wiarogodne, bo farbiarz zawsze przychodzi ostatni.

Zjawił się wreszcie wysłannik. Ledwo dyszał. Postawił pusty dzban na stole pobielonym mąką, ale zaraz ściągnął go z tego miejsca piekarz i do oczu podniósł. Naczynie było suche, nawet woń piwa, jaka wsiąkła w glinę, już zwietrzała i tylko na wewnętrznej stronie ścian snuły się smugi kurzu. Piekarz kopnął kij, zepchnął go końcem buta w kąt. Potem odstawił dzban. Wysłaniec ujrzał ten odtrącony kij i uśmiechnął się.

— Dobrzeście zrozumieli przyczynę, dla której piwa wam nie mogłem przynieść — powiedział.

Kawałek spiżu

Od chwili, kiedy zadecydowano w grodzie, że najnowsza wieża, jeszcze pachnąca cegłą i wapnem, tak długo nie będzie uznana za dzieło skończone, jak długo nie będzie w niej dzwonu — ludwisarz zaczął gromadzić w swojej szopie przeróżne dźwięczne metale, bryły miedzi, albo nawet okruchy czystego srebra i ciągle miał tego surowca za mało. Minęła jesień, do grodu zajechały ostatnie przed zimą karawany kupieckie wiozące miody, woski i skóry, albo drogocenne sukna i koronki, mieszczanie zajęci interesami nie wychylali nosów poza swoje kramy i warsztaty i dlatego skład ludwisarza nie powiększył się w tym czasie ani o jeden kawałek spiżu. Przyszła zima, mrozy były ostre, bez butów nie można się było na ulicy pokazać, a gdy się wracało do

ciepłej izby, zaraz trzeba było ściągać przemoczone ciżmy i suszyć przy gorącym piecu. Skóra przy tym pękała, buty trzeba było łatać, zszywać, reperować. Mieszczanie zgrzytali zębami, przeklinali byle jakie wyroby i szukali łapci, aby w nich wyskoczyć na miasto i zajść do warsztatu szewca. Stawały naprzeciw siebie dwie postacie, dwie twarze; jedna (szewcowa) chytra i podstępna — i druga (sukiennika albo pasamonika) zatrwożona, zmiażdżona lękiem, że trzeba będzie mieszek rozsznurować. Szewc brał w ręce znoszone obuwie, w światło je podnosił, pokazywał dziury i rozdarcia, liczył ilość skóry potrzebnej na łaty i nici koniecznych do szycia. Gdy spostrzegł, że bardziej już klienta przerazić nie może, uśmiechał się i mówił:

— A za robotę przyniesiecie mi... kawałek spiżu, albo miedzi, albo czego innego, co brzęczy...

Pierwszy mieszczanin, który tu przyszedł z podartymi ciżmami, nie zrozumiał dokładnie życzenia szewca, ale po odbiór naprawionych butów przyszedł z pogiętą bryłą owego dźwięczącego byle co, co się po kątach plątało — i uradowany opłacił szewcową robotę. Potem rozniósł wiadomość między izby i kramy. Rzucili się ludzie do warsztatu szewca. W krótkim czasie uprzątnęli z obejść, ze strychów i zakamarków wszystko, co porosło kurzem albo zielonym liszajem, a co kiedyś wypłynęło z ognia strugą czystej miedzi albo cyny. Szewc brał to wszystko skwapliwie, odpłacał solidną robotą, a kiedy się przekonał, że podartego obuwia dłużej już łatać nie można, i kiedy zima stawała się coraz bardziej sroga — zaczął pokazywać nowiuteńkie ciżmy, z pięknej skóry uszyte, a jak przy tym zachęcał, jak kusił, ciągle żądając zapłaty tylko w spiżowej starzyźnie! Nabywcom wypieki rozpaliły twarze, widzieli w szewcu człowieka, któremu rozum się zmącił, więc biegli do domów, by szukać, czy się tam, gdzie nie zapodział jaki kawałek brązu, bo to taka okazja! Ale w domu nic już nie było. Przypomnieli sobie wtedy skład ludwisarzowy. Była to byle jaka szopa, sklecona ze spróchniałych tarcic, zamknięta na skobel, łatwa do otwarcia, bo mistrz dzwonowego dzieła nawet nie pomyślał, że ktoś zechciałby jego skarby naruszyć. Trzeba było tylko usunąć zaspę śniegu i rozewrzeć bramę. Na środku, pod prześwitującą szparami powałą, leżał podobny do pagóra stos pozieleniałej i przyprószonej szronem blachy, rur, czerepów. Ten skarb zdawał się czekać tylko na ręce, które zechcą się w jego stronę wyciągnąć. Więc wyciągały się ręce. Jakoś tak się to wszystko ułożyło, że nigdy przy tej grabieży nie było razem dwóch par ramion. Gdy ktoś podchodził do szopy i posłyszał w niej obecność sąsiada, cofał się i czekał chwili, w której tamten odejdzie. Tym sposobem wszystko, co było w szopie, zostało wymiecione do ostatniej okruszyny. Szewc zgromadził metale w piwnicy zamkniętej sztabami i kłódką. Wiedział, że szopa to niepewne miejsce.

Ale oto razem z ostatnią grudką spiżu wdarła się do warsztatu szewca cisza. Nikt już nie przychodził, nie dlatego, żeby nie potrzebował szewskiej usługi, ale dlatego, że nie miał czym za nią zapłacić. Ci sami ludzie, którzy przed niedawnym czasem drżeli na myśl o rozplątywaniu mieszków i wysupływaniu z nich złota — marzyli teraz o chwili, kiedy złoto wagę swą w obuwniczych interesach odzyska. Nic jednak nie wskazywało na to, że kiedyś do tego dojdzie. Szewc miał teraz dużo czasu, nocą, a nawet nieraz w ciągu dnia złaził do piwnicy i liczył tam zaśniedziałe, zgrynszpanione skarby podobny skąpcowi, który cieszy się brzękiem dukatów.

Skończyła się zima, spłynęły śniegi, rozgorzała wiosna. Ludwisarz poszedł do szopy i wyleciał stamtąd z lamentem. Chodził od mistrza do mistrza i od rajcy do rajcy, złorzecząc złodziejskiemu grodowi i przypominając postanowienie, że wieża musi dźwięczeć muzyką dzwonową. Stropili się wszyscy.

Przecież oni nie wiedzą, jakim to sposobem opustoszał skład! Pod sąd by trzeba grabieżcę, trzeba by wołać o jego gardło!

Wyszumieli się, wyprzeklinali i nie mogli się kwapić, aby tę rzecz wyśledzić. Przemyśliwali nad tym, jak by to zdobyć spiże, albo miedź dla dzwonu, bo dzwon był teraz najważniejszy, w nim było słowo grodu i jego cześć. Skąd teraz wziąć metale? W innych grodach, w obcych krajach nabywać i przywozić tutaj? Toż to koszt będzie wielki... Myśleli jednak ciągle o spiżach z obcych krajów, żeby zapomnieć o spiżu miejscowym, zamkniętym w piwnicy szewca.

Czas przyszedł najdogodniejszy dla ludwisarskiej roboty, ze świata nie można było sprowadzić metali, rajce więc uradzili, że udadzą się do szewca. Głupio im było paktować z szaleńcem, zwlekać wszakże już dłużej nie mogli.

Szewc czekał na ich przyjście. Nie niepokoił się. Wiedział, że muszą przyjść. Bardzo starał się o to, aby jego twarz w tej rozmowie wyglądała jak twarz dobroczyńcy. Przeszkodziły mu jednak w tym planie — słowa. A właściwie — liczby. Dokładnie bowiem obliczył wartość swoich ciżem, cenę skóry i dratwy, zapłatę za pracę. Wszystko to pomnożył najpierw dwukrotnie, zdało mu się mało, więc spiętrzył sumę po trzykroć. Oparł się o stół w swojej komnatce, oczy przesłonił powiekami, a kiedy wyrzekł ostateczne swoje żądanie, nie mógł ukryć triumfu, gburzej radości, podłej swojej wiktorii.

Musieli się zgodzić. Przecież to nie on prosił. Wyłożyli na stół ciężki grosz. Nienawidzili go. Ale czuli także podziw. Zapytali nieśmiało:

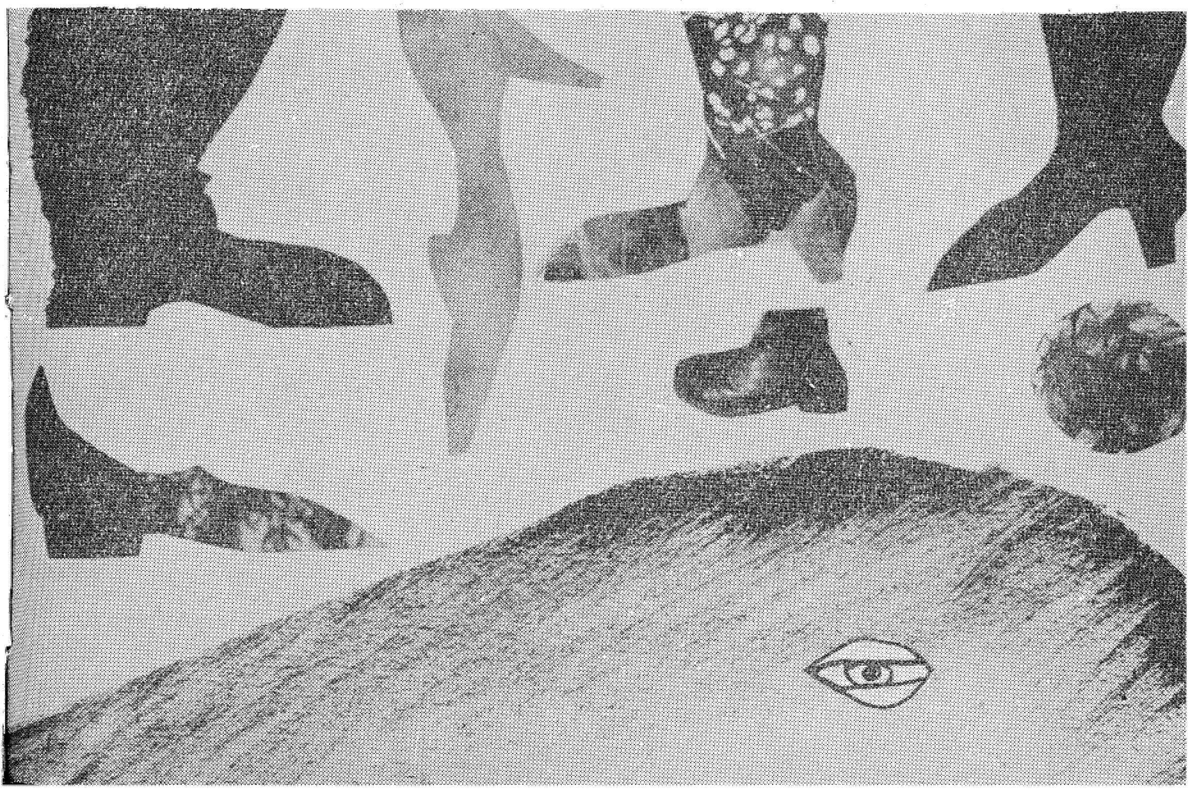
— Kiedy będzie można odebrać ten spiż i tę miedź?

— Ale teraz to ją już odbierajcie na raz, nie tak chyłkiem po jednym kawałeczku, jak to w zimie bywało! — przypomniał.

I zachichotał triumfalnie.

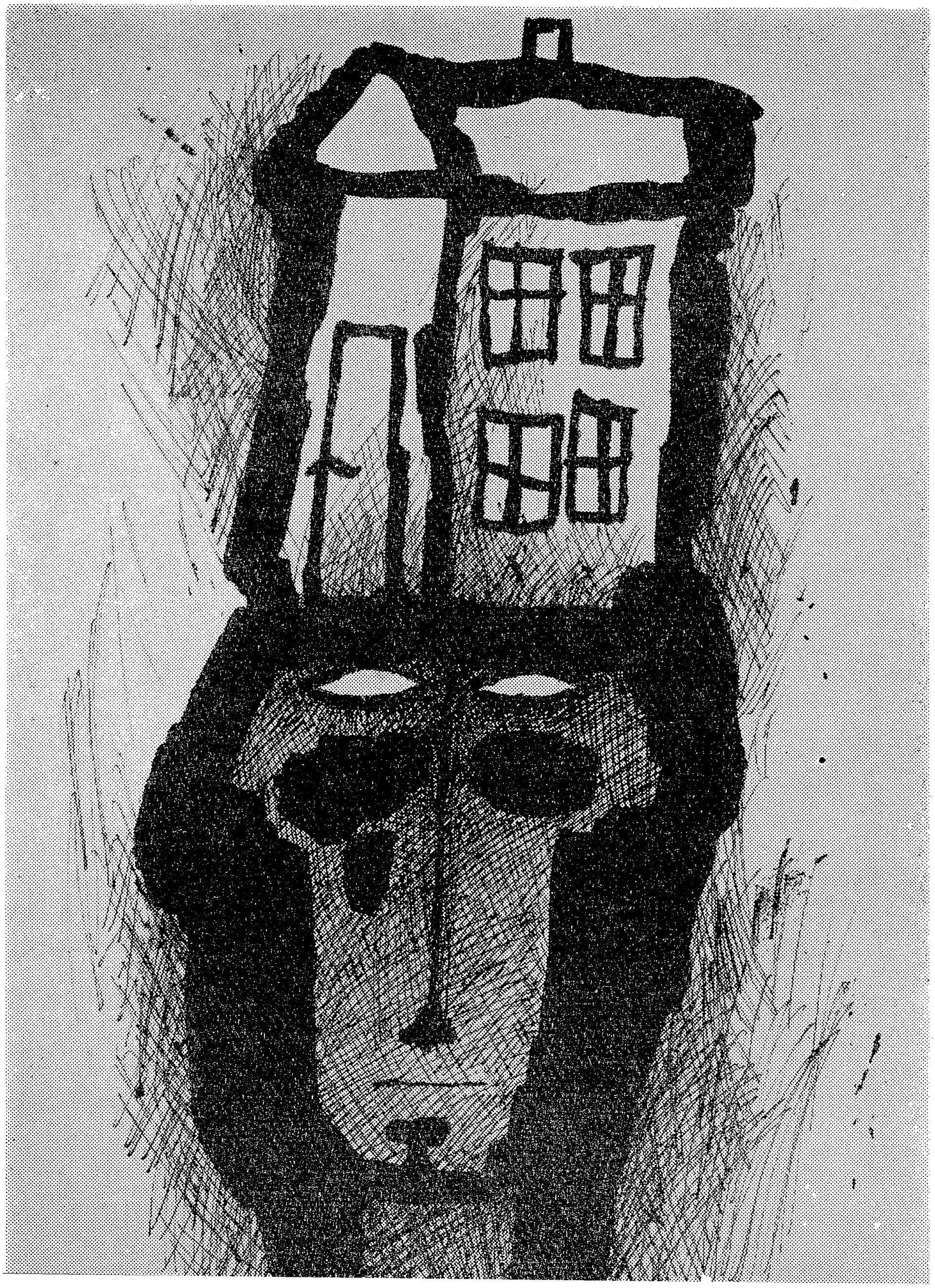
Romuald Cabaj

Rys. Krzesława Maliszewska



TADEUSZ MIKOŁAJEK

Rys. Andrzej Will



D O M



Te czarno-białe pasy coraz bardziej przyśpieszały obroty: uznałem to za dni i noce, choć nigdy dotąd nie widziałem, aby pory doby były tak krótkie. Początkowo cała historia bawiła mnie jak chwytanie słońca w palce; później zaczęła męczyć, w końcu przerażać. Zamknąłem oczy: oślepiająca jazda pasów nie tylko trwała dalej, ale i zwiększyła swą intensywność. Wtedy pojąłem, że nigdzie przed tym nie ucieknę. Jestem po prostu zabijany nowo odkrytym sposobem, którego nie rozumiem. I nie umiem sobie przypomnieć, co popełniłem. Musiało to jednak być coś niespotykanego, skoro oni wymyślili taki aparat, żeby na mnie go wypróbować.

Byłem już skurczony i malutki jak listek; nie miałem sił, żeby się temu jakoś energiczniej przeciwstawić. Wraz z tym szła apatia, godzenie się z losem...

Sekundę przed moim zniknięciem pasy widocznie wyczerpały swoją energię, albo nastąpiła awaria. Nie byłem zdziwiony, bo przecież takie nowe wynalazki zazwyczaj się psują. Ale czy teraz już będę miał spokój? Jeśli potrafili wymyślić takie narzędzie, na pewno są okrutni. Może nawet będą powtarzać to przez całe lata, żebym umarł z samego strachu.

Myśląc o tym nie zauważyłem, że sceneria zmieniła się jak na obrotowej scenie: chodziłem teraz po ulicach. Znałem je, ale nie potrafiłem ich nazwać, ani nie wiedziałem, w jakim mieście jestem. Było mi gorąco, bo świeciło słońce. Patrząc na przybite do murów niebieskie tabliczki, próbowałem odczytać nazwy ulic. Znałem każdą pojedynczą literę, ale nie umiałem stworzyć ani jednego wyrazu. Domyśliłem się, że jest to wpływ maszyny wytwarzającej pasy i obroty. Chociaż teraz byłem tutaj, wiedziałem, że muszę tam wrócić: obsługa nie pozwoli sobie przerwać zabawy. Na razie chodziłem ciągle po tych samych znajomych i nieznajomych ulicach. I choć poznawałem niektóre domy, drzewa, kioski, a nawet niektórych ludzi, niczego nie potrafiłem złożyć w całość.

— To też jest rozpływanie się — myślałem. Chciało mi się pić. Wiedziałem jednak, że nie mogę nic od nikogo przyjąć: ani do jedzenia, ani do picia, bo

w ten sposób zabiję sam siebie. Chodziłem po ulicach czekając, aż przyjdzie noc. Ale ten dzień też był jak gdyby gumowy, on też był wytworem moich prześladowców. Pragnienie wzmogło się do tego stopnia, że gotów byłem teraz żebrać o czarno-białe pasy: żeby nareszcie skurczyć się, odejść. Wszedłem do ciemnej nory. Postanowiłem, że tutaj, choćby miliony lat, będę czekał na pasy. Był to upór tak dziecinny jak początkowe przyrównywanie ich do dni i nocy. Spostrzegłem, że siedzę w wielkiej sali na łóżku; koło mnie krążyło wiele postaci pomalowanych w pasy.

— Obóz — osądziłem. — Wprawdzie pasy mają nie w poprzek, tylko wzdłuż, ale widocznie tak trzeba.

Pomyślałem, że obóz to nic dobrego, mimo to ucieszyłem się: przynajmniej wszystko wiadomo. Wiadomo, co będą z człowiekiem robić. Dotknąłem palcami muskułów, wierzyłem, że mam siedemnaście lat, jestem silny, i na pewno wybiorą mnie do pracy na rampie. Popatrzyłem dokoła i nie miałem już wątpliwości: tysiące ludzi nosiło szyny. Dzisiaj tu, jutro na stare miejsce. Była zima, nie miałem rękawic; żelazo lepiło się do rąk.

— Trzeba brać w środku, w środku — powtarzałem. — Nie muszę zbytnio dźwigać.

Trzymając jedną rękę w kieszeni, z żalem patrzyłem na rampę: dym, głuche stękanie zrzucanych na ziemię lor. Coraz silniejszy huk strzałów: wachmani z nudów strzelali do wron; na jedno wychodziło: amatorów wroniego mięsa to samo czekało.

— Jezusie, na rampę! — żebrałem.

Nigdy w życiu tak gorąco się nie modliłem jak w obozie i na froncie. I nigdzie tak szybko nie przechodziłem od modłów do przekleństw. Ale kiedy obóz zamienił się w dużą salę, nie potrafiłem już ani kląć, ani się modlić. Tam można było stracić życie, albo zwariować. Mimo to człowiek przynajmniej chwilami mógł się dopatrzeć jakieś sensu, poczuć, że istnieje — mimo woli ścisnąłem w palcach prześcieradło.

— A jednak, głupcy, umknę — pomyślałem — zepsuję wam zabawę — przewróciłem się na brzuch. Pierwsze kęsy miękkiego materiału poszły mi dość łatwo. Później poczułem, że gałki oczne gwałtownie mi rosną, upadłem na poduszkę. — Jeszcze sekundę, dwie, o! ... — szarpnięte czyjąś ręką prześcieradło wyzwoliło z gardła krzyk: znów mnie mieli.

— Nie przyjmuje — powiedział ktoś w otaczającym mnie półkolu. — Sztuczne odżywianie. Weźcie go.

Broniłem się. Olbrzymich drabów odrzucałem od siebie jednym uderzeniem pięści. Pewny swej siły zacząłem krzyczeć, aż oplątała mnie płachta. Poczułem, że jestem niesiony, i bezsilność odebrała mi przytomność.

Obudziłem się przywiązany do łóżka pasami. Byłem lekki i pusty, w ustach czułem lepką słodycz. Po krótkim namyśle zacząłem płakać; poskutkowało: rozluźniono mi więzy, pozwolono wstać. Był to jednak jeszcze jeden trick z ich strony: nie mogłem utrzymać się na nogach, oślepiły mnie czarno-białe pasy. Człowiek w bieli z fałszywą delikatnością wziął mnie pod rękę, zaczął prowadzić. Teraz płakałem już szczerze, bo przecież byłem zupełnie bezsilny.

A ten sukinsyn jeszcze głaskał mnie po głowie. Chciałem go ugryźć w ramię — nie mogłem zewrzeć zębów. On myślał, że tylko wycieram oczy, i podał mi chusteczkę. Wprowadził mnie na dużą salę, usadowił przy długim stole. Obok siedziały dziesiątki postaci w pasy.

— Trują, żebym znów zwracał — chociaż byłem tak głodny, że w innym wypadku jadłbym kamienie, postanowiłem się wstrzymać. Wkładałem do ust coś miękkiego, czerwonego, a kiedy nikt nie widział — wypluwałem w za-

nadrze. Nie było to przyjemne, ale nie miałem innego wyjścia. Gdybym wypluł na stół, albo na podłogę, zaraz by zobaczyli.

— Może wyjdzie pan na powietrze? — zapytał człowiek w bieli. — Jesień w tym roku wyjątkowo ciepła. Wszyscy wychodzą.

— Nie, żołądek mnie boli. Chcę iść do ustępu — odpowiedziałem. Już nie dam się oszukać, znam to powietrze: wypuszczą na znajome i nieznajome ulice, wszyscy będą zastępować mi drogę i niczego nie będę mógł pojąć. W ustępie opróżniłem zanadrze i wróciwszy poprosiłem:

— Chcę spać, jestem osłabiony.

Pozwolił mi. Leżałem w pustej sali. Za oknami stały poobrywane z liści drzewa.

Nie mogli swych mózgów poświęcić na wymyślenie czegoś ludzkiego, tylko na te pasy i nagie drzewa.

— Panie! — krzyknąłem — one są nagie!

Nikt na mnie nie spojrzał. W kącie siedział człowiek i czytał książkę.

Wieczorem po raz drugi zaprowadzono mnie do sali z dużymi stołami. Z chlebem poradziłem sobie jak poprzednio, a kawę niepostrzeżenie zamieniłem jednemu z wachmanów. Ze zdziwieniem patrzyłem na innych więźniów: niektórzy jedli po kilkanaście kromek chleba i litrami pili kawę.

— Głupcy! Nie wiedzą, co robią. Przecież im będą silniejsi, tym dłużej będą ich męczyć. Ja zrobię inaczej.

Wyobraziłem sobie tę chwilę: przychodzą do mojego łóżka, a ja leżę skurczony, malutki jak gumowy pajacyk, albo w ogóle mnie nie będzie. Żałowałem tylko, że nie zobaczę ich twarzy, nie będę mógł się śmiać. Pewno dlatego zacząłem śmiać się teraz, jakby na zapas. Razem ze mną wybuchnęli śmiechem najbliżsi więźniowie; po chwili nieopanowany śmiech połapał wszystkich. Początkowo uśmiechnęli się i dozorcy, później na ich twarzach ukazał się strach. Zaczęli krzyczeć, szarpać niektórych więźniów; śmiech nie ustawał. Wszyscy patrzyli na mnie i robili to samo. Szczerząc zęby, wstrząsany drgawkami stałem wśród podrygujących ścian i czekałem, żeby mnie któryś z dozorców uderzył. Nie pozwolili sobie na to, chociaż śmiech przedostał się na inne oddziały i cały nasz dom napełnił się cienkim chichotem kobiet i rykiem mężczyzn. A kiedy wszystko ucichło, zrobiło mi się strasznie. Nawet więźniowie patrzyli w moją stronę z pogardą. Duży drab o obwisłych ramionach i wielkich ślepiach powiedział:

— Wariat.

Wróciłem do łóżka. Zaraz za mną przyszło kilku mężczyzn i kobieta — wszyscy w bieli. Kobieta włożyła mi do ust żółtawą pastylkę. Oczy całej gromady skierowane były na mnie. Poruszyłem grdyką, jakbym łykał, ale pastylkę ukryłem pod językiem. Myślałem:

— Nie zrobię wam takiej przyjemności. Ja tu jeszcze doprowadzę do tego, że to wy będziecie się bać.

Kiedy odeszli, czekałem chwilę, a później spławiłem pastylkę w ustępie. Zasnałem. Nie był to sen spokojny. Budziłem się, krzyczałem. Wiedziałem już teraz, że naprawdę popełniłem coś złego, niewinnym ludziom narobiłem ogromnych przykrości. Tylko nie pamiętałem, co mianowicie. Dyżurujący na sali wachman podszedł do mojego łóżka:

— Co panu jest? Coś pana prześladuje we śnie?

Nie odpowiedziałem.

— To przejdzie.

— Jak może przejść, skoro przychodzą do mnie wszyscy ludzie, których wymordowałem.

— Rozumiem — powiedział. — Ale jak pan tu dłużej pobędzie, przestaną przychodzić.

— Pewnie skurczycie ich przy pomocy pasów? To wy jesteście winni, to przez wąs.

— Ja miałem coś podobnego. Jak pan widzi, jestem zdrów i nawet zostałem, żeby zrozumieć innych.

Popatrzyłem na niego uważnie: słabe światło jak gdyby płatami obłaziło mu z twarzy, w której ciemniał wielki, garbaty nos, o wystającej do przodu chrząstce.

— Żyd — pomyślałem. Patrzyłem na niego, słyszałem pomrukiwanie innych więźniów i jednocześnie noc zamieniła się w dzień na rampie; płaty śniegu leciały z rosnących w parowie drzew; gromadami przeciągali Żydzi, Polacy, Rosjanie... Setki zaśnieżonych wagonów, wyładowanych lorami, szynami, maszynami. Za drogą baraki, wykopy pod baraki, a wkoło nich tony różnego żelastwa. Wielkie ciągniki o zębatych kołach ściągając z wagonów olbrzymie maszyny, kaleczyły zmarzniętą ziemię. Więźniowie pomagali ciągnikom. Oparty o sztycę patrzyłem na tego Żyda, i widziałem, jak z niepojętą szybkością rośnie mu broda. Zamiast kitla okrywały go cuchnące szmaty. Ciągnik się zepsuł. Wtedy Żyd powiedział:

— Mój synek na koniu pojechał do nieba. Malutki. Odkąd zaczął mówić, codziennie powtarzał: „Tato, kup konia".

— Zwariowałeś, Żydzie? Odejdź!

Jakby nie słyszał; obrywał sople z wystającej chrząstki nosa.

— Sprawiedliwie ci mówię. O tym koniu mówiliśmy dniem i nocą. Nawet wtedy, w szopie, ukryci przed patrolem. Jak już mały nie mógł wytrzymać, zaczynał płakać, mówiłem: „Nie płacz, badź grzeczny, kupię konia". „Ma grzywę?" „Ma". „I ogon? Prawdziwy?" „Prawdziwy". „I siodło?" „I siodło. Takie ze strzemionami. Tatuś cię wsadzi, pojedziesz; on na biegunach; kiedy ruszysz — jakbyś galopował. Tylko nie możesz teraz płakać. Bo jak oni usłyszą, że mam ci kupić konia — zabiorą go". Tak było całymi miesiącami. Ja modliłem się, żeby Pan wyzwolił swój naród — mały prosił o konia. I pojechał na nim do nieba. Pan lubi małe dzieci i dlatego go wysłuchał.

— Żydzie, po co mi to opowiadasz?

— Tyś młody, trzeba żebyś wiedział. Jak byliśmy za murem... Tak, ostatniego dnia; siedziałem już na maszynie, mały został. Leżało tam tyle gratów co tutaj, tylko innych. I mały znalazł konia. Krzyczałem, myślisz, że nie krzyczałem? A on się śmiał, chciał tego konia rozbujać. Wtedy huknęło, koń sie rozkołysał, a mały położył mu głowę na karku. Jakby całował grzywę. I jak ty teraz możesz mówić, że on nie na koniu pojechał do nieba? Co, może niepotrzebnie ci mówiłem? Przecież ty nie masz dzieci.

Widziałem dokoła więźniów. Patrzyłem na Żyda i myślałem o Żydzie, który został na rampie. Żyd wstawał z rampy, znikała mu broda, łachmany zamieniały się w fartuch. Skoczyłem na niego...

Płachty, łóżko, pasy...

Oni nadal byli mocniejsi: wprowadzali mnie do domu, kazali tu żyć, a potem znów puszczali czarno-białe pasy. I ten Żyd o garbatym nosie, najperfidniejszy ze wszystkich. Bo mówił, że on też był taki jak ja, że został tutaj, by zrozumieć innych.

— Pan ma dopiero trzydzieści trzy lata — mówił i sople rosły mu u chrząstki. — W pańskim wieku Chrystus umierał za ludzi, a pan w nic już nie wierzy. Proszę jeść... — i pierwszy odgryzał kawałek chleba.

Patrzyłem na niego.

— Nie — myślałem — on nawet mógł tak spreparować, że kęs przeznaczony dla niego jest zdrowy, a ten dla mnie — zatruty. On chce ze mnie zrobić pederastę, już wiem. Dlatego tak się klei — uderzyłem go w twarz; upadł, kilku innych chwyciło mnie za ręce.

— Nie bić go! — krzyczał Żyd; sople u nosa miał czerwone. — On tylko jest trochę nerwowy, to mu przejdzie. Chodź, kolego, pójdziemy na spacer — wziął mnie pod rękę.

Poszedłem, bo takiemu zbrodniarzowi, który zamordował mu synka, na niczym nie zależało. Wiedziałem teraz, że ja zabiłem go gumą. Małego chłopca o jasnej główce, który konno pojechał do nieba. Dopiero dzisiaj zacząłem tego żałować. Zgiąłem się w pół, łzy pociekły w liście. Straciłem siły. Klęcząc spytałem:

— Żydzie, ty naprawdę mi wybaczysz?

— Ja ci nie mam nic do wybaczenia. To raczej ty mi wybacz, że za mało poświęcam ci czasu. Ty jesteś bardziej nieszczęśliwy niż ja. Ja przynajmniej wiem, w jakim czasie żyję. Niewiele trzeba, a ci co zostaną, będą podobni do ciebie.

— Żydzie, pomóż im, żeby szybciej... Nie dużo mi życia zostało i powinienem wytrzymać, ale zrób mi tę łaskę. Jeśli jesteś moim bliźnim, zrób mi tę łaskę. Ja wiem, nie ma dla mnie ratunku. Zrób tak, żeby te pasy już do końca... Ty zrobisz to dla mnie, prawda? — obejmowałem jego nogi.

Podniósł mnie z ziemi.

— Jesteś biedny. Ale dlaczego mi nie wierzysz? Przyjdzie dzień, że w słońcu staniesz za bramą. Będziesz mógł iść, albo zostać, jak ja to zrobiłem.

Ach, plugawiec! Przejrzałem go: myślał, że zostanę, że będę jego ciotą, i będę się znęcał nad takimi jak ja. Więc i takie metody tutaj stosują?

Siły mi wróciły; odszedłem; biegł za mną, zwijał się, coś tam szwargotał. Odtrąciłem go.

— Ucieknę. Jestem mocny, wszystko na drodze połamię — jednocześnie upadłem: dokoła tańczyły pasy. — Dlaczego pozwalasz je produkować? — zawołałem, chociaż dławiła mnie wściekłość na własną naiwność: przecież od razu można było się domyślić, że to strefa wybuchów. W żadnym innym miejscu nie mogło być bardziej gorąco. Później wszystko rozlało się w wielki błękit, który zmuszał do mrużenia oczu i bezwiednego uśmiechu.

— Już nikt nie ma prawa znęcać się nade mną! Odcierpiałem....

Spokój zakłócił mi drab o wielkich ślepiach. Stanął nade mną, duży i ponury.

— Jestem Lotnik — powiedział: ramiona miał obwisłe; pogładził policzki, oczy mu jeszcze urosły:

— Spieprzajmy, stąd, słyszysz? — ukląkł: pięści sięgały mu do samej ziemi. — Mam schowaną w liściach rakietę. Nie bój się, jak ją chowam, ona się kurczy. Jak wyciągnę, wejdziemy obaj i jeszcze weźmiemy Dzidzia.

Zacząłem mieć nadzieję. To z kurczeniem było prawdziwe, sam przecież tego doznałem.

— Dlaczego chcesz mnie zabrać?

— Bo jesteś wesoły. Jak wylecimy nad dachy, będziemy się głośno śmiać. A ci z ziemi też będą się śmiać. I już nic innego nie będą mogli robić, tylko się śmiać.

A co oni zrobili?

— Co oni zrobili? Toś ty taki, że nie wiesz? Przecież oni chcą moją babę wziąć na pokładankę. Dzidzia też się nie bój. On zachemrał szpicla.

— Pokaż mi rakietę. A paliwo masz?

— Jasne. Do księżyca starczy.

— Dlaczego na księżyc?
— Będzie koniec świata.
— Wiem, oni wynaleźli pasy.
— Chodź tutaj, Dzidziu. Mów!
— Musiałem go zachemrać. Wywabiłem go do lasu na grzyby. Jak on kucał, ja mu z boku; jemu oczy zrobiły się jak dwie cebule. A mnie w ręce zrobiło się ciepło.
— Do diabła, chyba będzie dość czasu, żeby on nam to opowiadał. Teraz musimy się naradzić.
— Eeee, bracie, nie — Lotnik rozciągnął usta jak gumę. — To ważne, on ma doświadczenie. Jeżeli wtryni się za nami jakiś skurczony kapuś, on go wyczuje, no i zachemra.
— Musiałem go zrobić. To było na grzybach. On nastawił na mnie ojca, matkę i księdza. Ja wykrywałem wielkie organizacje, ale nikt mi nie wierzył. Przez niego. Więc jak w te ręce było mi już ciepło... Ale to była przebiegła cholera: wszystkich z góry uprzedził...
Lotnik położył mu palce na ustach.
— Idzie — wskazał Żyda. — To najgorsza cholera, bo udaje dobrego.
Wierzyłem mu. Sam przecież wiedziałem, co Żyd chciał zrobić ze mną. Doprowadził nawet do tego, że byłem zabójcą jego i jego synka. Kiedy przeszedł, powiedziałem:
— Jak potrafiliście tego wyczuć, już wam wierzę. On ze mnie chciał zrobić ciotę.
— Jak ci biorą babę na pokładankę, nie jest dobrze. Ale jak ze zdrowego, normalnego mężczyzny chcą zrobić ciotę, też nie jest dobrze — powiedział Lotnik.
— Jasne. Rozejdźmy się. Pogadamy jutro przy śniadaniu.
Tę noc spędziłem spokojnie. Żeby nas tylko nie nakryli. Przyszedł mi nawet do głowy pomysł: przeprowadzać narady w ustępie: siądziemy sobie wszyscy trzej, akurat są trzy sedesy i można spokojnie pogadać.
Spotkaliśmy się przy śniadaniu. Widząc, że Lotnik i Dzidziuś spokojnie sięgają po chleb, szepnąłem:
— Nie jedzcie.
Lotnik przyłożył twarz do mojego ucha:
— Można, nic nie dosypane.
Dzidzio stał z wielką pajdą chleba w ręce:
— Musiałem. A jak wyszedłem z lasu, czekali już na mnie szpicle...
Poszedłem do ustępu. Dzidziuś i Lotnik przyszli za mną; usiedliśmy.
— Jak to zrobimy? — szeptem zapytał Lotnik.
— Najlepiej ukryć się, jak wszystkich wypędzają z ogrodu. Potem do rakiety, rozkurczyć ją i chodu — powiedziałem.
— Musiałem go. A mnie w ręce zrobiło się ciepło.
— Won! Nie przeszkadzaj!
Do ustępu zajrzał Żyd, kiwnął na mnie:
— Proszę za mną.
Teraz, kiedy dochodzimy już do porozumienia, oni chcą mnie wykończyć? Na trzęsących się nogach wyszedłem na korytarz, pędem ruszyłem do drzwi. Były wysokie, zamknięte. Skręciłem na salę, wsunąłem się pod łóżko.
Dopadli mnie.
— Ach, swołocz! — krzyknąłem. Byłem dzisiaj trochę mocniejszy, bo jadłem śniadanie. Ale rzucali się na mnie też i niektórzy więźniowie. Po krótkiej walce — uległem. Teraz trzymam się całą siłą, żeby nie odejść;

ogromna igła idzie w moje udo, postacie oprawców znikają. Wyprężam się, ale drgawki są mocniejsze, rzucają mną mimo pasów...

Potem pustość, w ustach smak cukru. Spokój błękitu i słabość. Żyd troskliwie prowadzi mnie do łóżka, chociaż zabiłem go gumą, zabiłem mu syna.

— Jak mogłem — myślę — jak mogłem chociaż przez chwilę być taki podły!.. Wziąłem rękę Żyda w swoje ręce, zacząłem całować; wyrwał dłoń, pogładził mnie po ramieniu; znów był bez brody, w białym fartuchu; za jego plecami zobaczyłem grzyba: malutki początkowo i zwyczajny, rozrastał się aż czapka dosięgła chmur. Pod grzybem leżał człowiek; w otwarte usta wchodziły mu mrówki. To moja wina, dlatego muszę tu być. Nawet ten dobry Żyd, który wybaczył mi śmierć własną i syna, zrozumie, że muszę tu być. A oni zostaną pod grzybem i będą przychodzić.

W pobliżu ktoś płakał. Żyd odszedł w tamtą stronę. Czekałem, aż płacz ucichnie — zacząłem się niecierpliwić. Nie wstałem jednak, bo krzyk przeniósł mnie na wielką łąkę. Myślałem, że powinienem wszystkich przeprosić. Szedłem, żeby to zrobić, szedłem...

Obudziłem się w dużej sali. Chyba nigdy mnie stąd nie wypuszczą. Nie chciałem tu zostać i bałem się ulic.

Wstałem; ostrożnie stawiając osłabłe nogi poszedłem do ustępu. Oberwałem pasek płótna z pasiaka, zarzuciłem go na rurę. Odwróciłem się plecami i pochylony parłem do przodu. Skręcone w wąziutki okrawek płótno zacisnęło mi szyję; po udach przebiegł spazm.

Kiedy otworzyłem oczy — znów leżałem w łóżku; miałem rozbitą głowę: pasek nie wytrzymał mojego ciężaru. Dokoła stała gromada ludzi. Udawałem, że śpię. Mówili nade mną:

— Przypadek nie rozpoznany.

— Nie rozpoznany? — pomyślałem. — Po co ta komedia, jeśli i tak macie mnie w rękach. Jazda, puszczajcie swoje pasy — byłem pełen lęku, bo już się zbliżały. Spadłem w zamieć obrotów i stałem się rozciągliwą materią; zaczął padać deszcz; deszcz był gorący.

— Chodź — powiedział człowiek w bieli. — Nie bój się, nic ci nie zrobię. Wypuszczę cię za bramę.

Słyszałem go tylko początkiem siebie. Do miejsca, gdzie się kończyłem, a nie wiem, gdzie się kończyłem, głos przenosiły pasy.

— Chodź — powtórzył — wypuszczę cię za bramę.

Nie wierzyłem mu, ale on rzeczywiście kolejno otwierał przede mną drzwi; zostawały za nami otwarte, bo ciągle byłem długi, daleko rozciągnięty. Dopiero, kiedy głowa znalazła się za ostatnią bramą — wszystko wróciło do normy. Nie oglądając się poszedłem drogą wśród odartych z liści drzew. Szedłem wolno, ale bez przerwy, żeby jak najdalej odejść od tego domu. Serce mi biło, czułem, że istnieję. Przyśpieszyłem kroku, prawie biegnąc przez ulice. Chciałem jak najprędzej dojść do miejsca, w którym można żyć. Kiedy przestałem dostrzegać otoczenie, kiedy uszedłem już wiele kilometrów, przystanąłem, żeby odpocząć; usiadłem, odwróciłem głowę: dom stał kilka kroków przede mną.

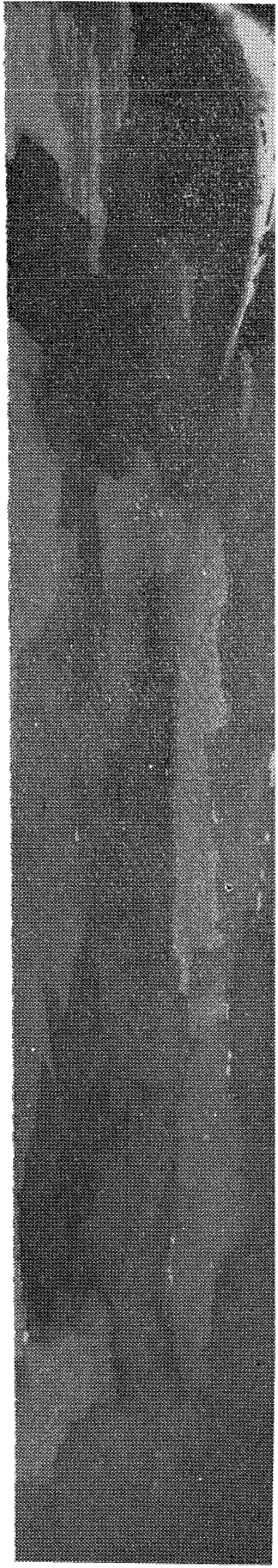
Tadeusz Mikołajek



Starość *Fot. Gustaw Różański*

HELENA RASZKA

Rozmowy ze sobą



I

Chciałaś mieć dzień
jak postrzępiony obłoczek
różowo obrzeżony
po zachodzie
— opadł czarną chmurą
łamiącą
wierzchołki topoli.

Myślałaś
że ptaki wyfruwają z wody,
a ryby nurkują w niebo,
że skaleczenie palca jest pieszczotą,
a pocałunek boli.

Chciałaś
spłukać twarz
w deszczu słów,
spojrzeń,
uśmiechów
— a nawijasz oddechy śpiących
na gałązki brzozy.

Kimże ty jesteś,
gdy pytasz,
która strona liścia
jest prawdziwa,
gdy nie umiesz otworzyć
cudzej myśli —
by wejść do wnętrza.

Kolekcjonerko odwrotności
przywiązana
do zimnego słupa powietrza.

II

Samotność —
klatka ze szkła,
w której uwięziłaś się sama.

Poza jej przezroczystością
widać wszystko,
można także
gryźć pachnący płatek róży
i zanurzać włosy w cień buku
— ale nie można dotykać ciepła
rąk
drugiego człowieka.

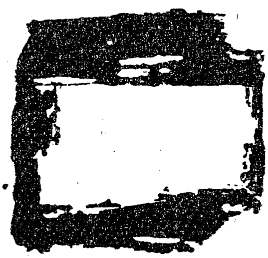
Nie rozbijesz tej samotności krzykiem,
nie zburzysz
gestem.

Trzeba znać ciche słowo
— diament,
który te szklane ściany
kraje.

III

Wycięłaś żyłkę z liścia,
odłupałaś
blaszkę miki z kamienia
i zachowałaś w cieniu
kroplę deszczu.

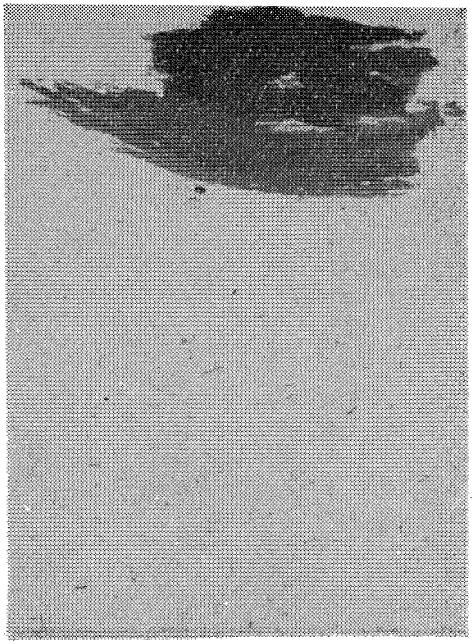
Pokazywałaś je ludziom.
Nie wierzyli,
że przygniótł cię pień drzewa,
że zasypała cię lawina
i zatopiła ulewa.



Mówiłaś —
tak nie może być dłużej.

Teraz,
kiedy w lustrze
odbicie błyskawicy osmali ci powieki —
jako dowód rzeczowy
przynieś im
burzę.

Helena Raszka



STANISŁAW PIETRASZKO

Normy i ekstremy

Trudno jest wciąż jeszcze o dobrą współczesną mapę literacką ziem zachodnich. Jak poucza historia, funkcje zawodowego niejako topografa życia literackiego pełniła zwykle krytyka literacka. Wiadomo, że jakiś „czysty", bezwzględny obiektywizm krytyki, odwieczny postulat jej klientów, był i pozostaje marzeniem najzupełniej nierealnym. Krytyka jest zawsze związana z jakąś ideologią i ta zależność jest naturalna. Mniej natomiast naturalne są inne formy zależności. Pisał o nich swego czasu bardzo trafnie Andrzej Kijowski — o różnych czynnikach natury głównie materialnej, które powodują, że krytyka jako pewien odrębny rodzaj zawodu pisarskiego jest dzisiaj tylko mitem, zaś jej funkcje (warto by rozważyć — które i w jaki sposób) wypełniają sami jej klienci i wszyscy inni, atoli traktując je jako swoje zajęcia dodatkowe.

Będąca zjawiskiem ogólniejszym dezintegracja krytyki literackiej rysuje się ze szczególną wyrazistością w życiu literatury na ziemiach zachodnich. To, co istnieje, z pozoru tylko pełniąc rzeczywiste funkcje krytyki, w istocie dalekie jest od roli, jaką krytyka w normalnym życiu kulturalnym zwykła odgrywać. Jest więc własna, „prywatna" krytyka zamkniętych środowisk literackich, reprezentująca nade wszystko ich interesy zawodowe; jest krytyka, zawodowo powiązana głównie z prasą codzienną, wyrażająca w sposób mniej lub bardziej samodzielny stanowisko polityki kulturalnej określonego terenu; co więcej — taką własną „krytykę" radzi by mieć — jak ongiś magnaci własne oddziały dworskich kozaków — także inni zainteresowani, jak regionalni wydawcy czy nawet ekspozytury Domu Książki. Są, owszem, krytycy tu mieszkający, nie ma jednak swej krytyki życie literackie ziem zachodnich ze swymi szczególnymi problemami i potrzebami.

Dlatego tak trudno o dobrą współczesną mapę literacką ziem zachodnich. O mapę istotnych problemów. Nie o retuszowane autoportrety i nie o złośliwe karykatury. Nie o bilanse sporządzane przez zainteresowanych pod kątem ich partykularnych interesów.

Bo — podobno — nie ma żadnych problemów. W każdym razie nie mówi o nich ostatnio zbiorowa autorefleksja środowiskowa. Dla niej istnieją od pewnego czasu tylko problemy praktyczne — żeby był papier na książki, pieniądze na honoraria, przydziały na mieszkania. I żeby móc pracować spokojnie, czyli bez hałasów, pokrzykiwań etc. A potem, na deser, czytać pozytywne recenzje w warszawskich tygodnikach. Spełnienie się tych życzeń nazywa się w języku zainteresowanych normalizacją życia literackiego na ziemiach zachodnich.

Normalizacja? Kto o niej ma prawo orzekać?

Dla nikogo nie jest tajemnicą, że np. polityka kulturalna na ziemiach zachodnich postuluje pewne określone — najogólniej, ale przecież wyraźnie — tendencje literatury. Wiadomo również, że literacka rzeczywistość Nadodrza niezupełnie odpowiada swym wyglądem temu postulatowi. Nie może więc być mowy o formule normalizacji w treści zupełnie identycznej dla wszystkich zainteresowanych. Postać wyraźną i publiczną tych różnic stanowisk demonstrują nierzadkie i ostatnio przypadki z historii regionalnych nagród literackich. Już te fakty wystarczą postron-

nemu obserwatorowi za przestrogę, żeby nie brać pozorów jednomyślności i obowiązującego kodeksu kulturalnego savoir vivre'u za objawy trwałego statusu życia kulturalnego, statusu normalizacji — dla wszystkich zainteresowanych.

Wskażmy jeszcze tylko na jedną konsekwencję wyżej opisanego stanu rzeczy: nie pozwala on mówić z całym przekonaniem o normalizacji także w ograniczonym zakresie samych warunków istnienia literatury ziem zachodnich. Szczególna, nadzwyczajna opieka, której ta literatura ze strony władz doświadcza i która ją utrzymuje w pozycji faworytnej w porównaniu z prowincjonalnymi środowiskami literackimi Polski centralnej, jest właśnie świadectwem nieunormowania do końca życia literackiego tutaj. Bo nie jest, w tych właśnie wymiarach, normą postępowania władz wobec wszystkich środowisk literackich. A lata, które chcemy nazywać czasem normalizacji, przyniosły przecież bardzo wydatne zwiększenie tej opieki, a więc nawet uwydatnienie się szczególnego i wyjątkowego charakteru obecnych warunków rozwoju literatury na tych ziemiach.

Są wreszcie inni partnerzy — i inne punkty widzenia, inne swoiste interesy i ideały. Czytelnicy w swej masie — a więc gdy wyłączymy wcale liczną gromadę snobów, famulusów, klakierów i wreszcie młodszych i starszych „aspirantów" literackich — nie przyjęli z zachwytem efektów przeobrażeń, którym literatura ziem zachodnich poddała się w latach ostatnich. Jeśli doszło na tym polu do jakiejś normalizacji, to chyba w sensie upodobnienia się losów twórczości niektórych tutejszych pisarzy do „normy" stopnia i zasięgu odbioru tej literatury „centralnej", z którą zapragnęli się co prędzej zrównać. Wrocławski, opolski czy zielonogórski naśladowca awangardowego poety warszawskiego czy krakowskiego w jednym zrównał się niewątpliwie ze swym mistrzem — w obojętności czytelnika, albo w jego bezradnej ignorancji, w której z lęku przed ośmieszeniem się przystawał on na zrównanie niezrozumianego autora awangardowej kalki z tak samo niezrozumianym oryginalnym poetą-nowatorem.

Równocześnie jednak znaczny odłam opinii czytelniczej udzielił pośredniego poparcia innej dążności środowisk literackich Nadodrza. W konkursie na największą masową poczytność — i to w ogólnej skali krajowej — ze środowiska wrocławskiego pewne sukcesy zanotować by mogło w ostatnich latach tylko dwoje autorów: Lilian Seymour-Tułasiewicz i Kamil Giżycki. Za romanse i za podróżniczą egzotykę zamorską. Nie za powieści o ziemiach zachodnich. W „zamkniętym" znów konkursie opinii literackiej, w oczach koneserów — inni faworyci, ale tendencja podobna: najżywszą ciekawość zamiejscowej krytyki obudziła poezja Karpowicza i debiut prozatorski Patkowskiego. Tak na jednym jak i na drugim forum okazało się, że droga do sukcesów indywidualnych, a także do zbiorowego awansu środowisk literackich na ziemiach zachodnich w opinii krajowej, nie musi prowadzić poprzez materię współczesnej rzeczywistości tych ziem.

„Regionalizm" to temat żelazny publicystyki literackiej od Katowic po Szczecin od wielu lat i pisze się o tym nadal po prostu już z przyzwyczajenia. Chyba inaczej jednak sprawa wygląda, gdy temat ten powraca pod piórem publicystów wytrawnych i świadomych. To nie są publicystyczne remanenty, stare wątki, nie do końca swego czasu wypisane. Postać widma regionalizmu przybrały tym razem problemy świeższej daty.

Najpopularniejszy termin w języku publicystyki literackiej ziem zachodnich dawno już odbiegł od swej leksykalnej „normy" i przybrał swoiste, bardzo rozległe funkcje: stał się specyficznym dla tej publicystyki, dla świadomości teoretycznej środowisk twórczych od Katowic po Szczecin i Olsztyn pseudonimem wielu najogólniejszych spraw współczesnej polskiej literatury. I także spraw własnych literatury ziem zachodnich. Dotychczasowe dyskusje o regionalizmie daleko swą treścią istotną wykraczały poza sferę wyznaczoną przez dosłowny sens tego terminu.

Widmo regionalizmu, które budzić znów zaczęło niepokój środowisk twórczych, nie jest tylko śmiesznym straszydłem w „miejscowej" ludowej sukmanie. Nadal w funkcji pseudonimu spraw ogólniejszych, i tym razem dotyczy jak najbardziej aktualnych problemów życia literackiego.

Oczywiście nie wszystkie motywy tego niepokoju są nowe. Wbrew swym deklaracjom o nastałej wreszcie normalizacji — literatura ziem zachodnich zdaje się mieć dostateczną świadomość niepełnej klarowności jej stosunków z pozostałymi współpartnerami w życiu kulturalnym swych regionów.

Jej niepokój wyjaśnia się historycznie, aczkolwiek jego mechanizm jest ahistoryczny. Odnawiane przez politykę kul-

turalną zamówienie na tematykę ziem zachodnich literatura miejscowa odczytuje poprzez swe nie tak jeszcze dawne doświadczenia i powstałe z nich urazy.

Trzeba zrozumieć mechanizm tego niepokoju. Życie ziem zachodnich jako temat współczesnej literatury ma niestety niedobrą tradycję. Po większej części dotychczasowa historia prób podejmowania przez literaturę — tak lokalną, jak i „centralną" — tematyki ziem zachodnich jest historią mniejszych lub większych porażek, które nie ominęły nawet talentów dużego formatu. Pamięta się np., że z wrocławskich książek Wojciecha Żukrowskiego najsłabszymi, a nawet najgorszymi w całej jak dotąd twórczości tego znakomitego pisarza były te, którymi spłacił on dług swemu ówczesnemu miejscu zamieszkania — i którymi odpowiadał na ówczesne zamówienie adresowane do literatury na odzyskanych ziemiach.

Niepokój ma tu swe źródła także w refleksji teoretycznej. Literatura o jakich takich twórczych ambicjach nie lubi traktu wygodnego, wyasfaltowanego i rozświetlonego reflektorami przez publicystykę. Powieść społeczna, bo takiej się tu z różnych stron oczekuje, nie może nie natknąć się tu właśnie, w problematyce życia tych szczególnie regionów Polski współczesnej, na liczne ustalenia poczynione przez myśl społeczną i polityczną. Ustalenia, które często stały się już truizmami. Które wreszcie uznaje za swoje, w swym sumieniu obywatelskim, sam pisarz. Co nie zmienia zresztą sytuacji: schematy wyrazistych, niedwuznacznych ustaleń myśli politycznej i społecznej pozostają schematami niezależnie od tego, czy je podyktuje publicystyka, czy osobista świadomość obywatelska pisarza.

Współczesna sytuacja pisarza na ziemiach zachodnich stawia go wobec niezmiernie trudnych problemów wewnętrznych, wynikających właśnie z warunków stabilizacji. Tu już źródłem kłopotów twórczych jest nie rozdźwięk, ale przeciwnie, współbrzmienie. Sprzeczność widzenia rzeczywistości przez pisarza, jak swego czasu, z prawdą oficjalną kryła w sobie szansę samodzielności. Była wygodniejsza psychologicznie i moralnie. Zgodność — to perspektywa zdominowania w pisarzu artysty przez statystę, swoistej wtórności i spłaszczenia artystycznej wizji rzeczywistości. Perspektywa literatury niedobrej — choć szczerej i szlachetnej w swych społecznych sentymentach. Współczesny temat z najbardziej eksponowanych sfer życia ziem zachodnich — nie ze społecznych i psychologicznych marginesów — odstrasza dziś już nie mroczną alternatywą fałszu, lecz właśnie nadmiernym światłem zawartych w nich oczywistości, niebezpieczeństwem samounicestwienia literatury w ilustratorstwie i banale.

Rzecz jasna, że powyższe wnioski pojawić się mogą w wyniku poznania sytuacji tylko z pewnego określonego punktu widzenia. Decyduje koncepcja literatury, a w niej — choćby najogólniej naszkicowana formuła stosunku literatury do rzeczywistości oraz hierarchia celów i funkcji twórczości literackiej, gdyż nie ma jednego wyobrażenia literatury, wspólnego wszystkim zainteresowanym. Nie istnieją też rzeczy dla literatury szkodliwe w ogóle i zawsze, nie ma bowiem literatury w ogóle, zawsze jednej i niezmiennej.

Literatura środowisk prowincjonalnych zwykle stara się o maksymalne upodobnienie swego wyglądu do aktualnie panującego modelu literackiego metropolii. Parę lat temu otrzymała ona stamtąd już nie tylko nowe modele poetyki, ale przede wszystkim nowy wzorzec związków literatury z rzeczywistością. Przeobrażenia, które w tym czasie dokonały się w polskiej literaturze, wyraziły się, jak wiemy, w różnych formach. Odbicie ich w życiu literackim ziem zachodnich było w charakterystyczny sposób ograniczone i jednostronne. Prawie bez śladu przeszedł tu nurt ostrego zaangażowania w dyskusje ideologiczne. Tu karierę zrobiły przede wszystkim wzory literatury autotematycznej, literackiego egocentryzmu, jednostronnego kultu profesji i warsztatu. Bo pozwalały robić literaturę „prawdziwą" (tj. uznawaną w literackiej „centrali") bez kłopotów z tzw. rzeczywistością — i stosunkowo tanim kosztem: z własnego (jakże często ubogiego) wnętrza.

Nigdzie kurs na tzw. nowoczesność nie spotkał się z tak gorącym przyjęciem, nigdzie tak gremialnie i z taką gorliwością nie podchwycono wzorów poetyk awangardowych, różnego zresztą autoramentu i różnej wartości — jak właśnie w środowiskach literackich na ziemiach zachodnich. Nie można jednak widzieć w tym tylko ślepego naśladownictwa. Pozornie bez wyboru dokonywane tu niecierpliwie przeszczepianie różnorakich nowszych wzorów poetyki miało pewną wewnętrzną konsekwencję: tu bardziej niż gdzie indziej nowoczesność definiowała się w sposób negatywny — jako zaprzeczenie naturalistycznej bezpośredniości stosunku literatury do rzeczywistości, jako zaprzeczenie dosłowności obrazu życia w literaturze i jego

funkcji ilustratorskiej, wtórnej, niesamodzielnej.

Nie można nie uznać wielu racji drogi rozwojowej literatury regionów zachodnich w latach 1956—60. Nie można przecież nie uznać słuszności buntu przeciwko jednostronnemu „przywiązaniu do ziemi", przeciwko odrabianiu przez literaturę regionalnej pańszczyzny — z racji takiego a nie innego miejsca zameldowania.

Nie można nie uznać słuszności aspiracji tej literatury do samodzielnego działania, do wyższego poziomu artystycznego, do rangi ogólnokrajowej. A także jej prawa do tworzenia również wartości o użyteczności „ograniczonej", wewnętrznej, o charakterze laboratoryjnym, nieodzownych dla prawidłowego rozwoju wszystkich gałęzi twórczości artystycznej. To nie jest tylko jej racja subiektywna, nakaz jej wewnętrznej konieczności rozwojowej, ale i niewątpliwy interes ogólny. A nawet szczególny interes właśnie kultury Nadodrza. Bo nie sztucznie hodowany nowy „regionalizm", nie na siłę utrzymywana specyfika, lecz właśnie pełnoprawne — na miarę naturalnych możliwości oczywiście — uczestnictwo naszej prowincjonalnej twórczości w ogólnych procesach rozwojowych literatury polskiej jest najlepszą legitymacją — wobec kraju i zagranicy — stabilizacji i normalizacji społeczno-politycznej na tych ziemiach, dowodem faktycznej autentyzacji tutejszego życia kulturalnego.

Legitymacją taką będzie każdy nowy dobry wiersz czy opowiadanie, któremu uda się, ale bez taryfy ulgowej, bez usprawiedliwiającej wymownie redakcje etykietki geograficznej, dostać się na łamy warszawskiego czy krakowskiego czasopisma — a nie jeszcze jedna kolumna regionalna, w najlepszej zresztą intencji zmontowana przez dobrych wujków z tychże redakcji, zła forma przysługi dla literatury ziem zachodnich, bo i trochę upokarzająca dla niej, i utwierdzająca ją w jej kompleksie niższej wartości.

To były słuszne kierunki kampanii podjętej kilka lat temu. Z ówczesnych krajowych dyskusji literackich środowiska twórcze Nadodrza wzięły jednak nie tylko argumenty dla ostatecznej rozprawy ze swym „przypisaniem do ziemi", które było tutaj dodatkowym i specyficznym przejawem ogólnych schorzeń życia literackiego w okresie poszczecińskim, ale i wzorzec swego nowego statusu artystycznego. Status ten zresztą z góry już generalnie rozstrzygał wiele spraw dotąd spornych. Rozstrzygał oczywiście arbitralnie, z punktu widzenia pisarzy, którzy taki właśnie kierunek uznali za konieczny dla swego prawidłowego rozwoju. Za drogę normalizacji. Większość problemów, które nurtowały dotychczas środowiska literackie ziem zachodnich, uległa niemal automatycznej likwidacji. W świetle tej koncepcji literatury straciły one w ogóle sens. Pożegnano je pod hasłem nie-ma-o-czym-gadać.

Dlaczego jednak ceremonia pożegnania dotąd się przeciąga? Chyba właśnie dlatego, że j e s t o czym gadać. Zbiorowa świadomość środowisk literackich ogranicza dyskusję. Bardzo się ostatnimi czasy usamodzielniła, nie lubi mentorów. Boi się intruzów. Nie chce dezawuować własnych decyzji, choć skłaniałby ją do tego narastający kryzys obranej przez nią postawy. Optymistycznym samookreśleniem broni swego spokoju, wezwana do dyskusji — inscenizuje jeszcze jedną walkę z „regionalizmem", podstawia ją w miejsce problemów rzeczywistych i aktualnych, kryjących się właśnie pod deklaracjami o osiągniętym postępie i jasnych perspektywach dotychczasowego kierunku.

Walka przeciwko „przypisaniu do ziemi" przyniosła wprawdzie, jako rezultat pożądany i wartościowy, wzrost swobody twórczej, otwarła literaturze Nadodrza drogę do normalnego uczestnictwa w rozwoju całej kultury narodowej. Ale tylko teoretycznie. W praktyce „wolny rynek" przyniósł równocześnie życiu literackiemu na tych terenach nowego rodzaju ograniczenia, a w konsekwencji — nowe skrzywienia. W miejsce administracyjnego monopolu w kulturze rychło formować się poczęły lokalne monopole estetyczne w środowiskach literackich, stwarzając klimat nietolerancji wobec postaw i poetyk obcych pośpiesznemu kursowi na tzw. nowoczesność. Nowe kryteria wartościowania odsunęły w cień pewną ilość pisarzy, głównie starszego pokolenia, którzy nie chcieli lub nie umieli przystosować się do nowego modelu literatury. Nie zawsze było to normalne zjawisko, zwykła nieodzowna w postępie literatury zmiana warty.

Poważne odmłodzenie się środowisk twórczych na ziemiach zachodnich w ostatnich latach, pomnożenie się ich o znaczna liczbę młodzieży literackiej nie wniosło twórczego fermentu, nie wzbogaciło tych środowisk o istotnie nowe idee i tendencje artystyczne. Pomnożyło tylko liczbę wyznawców. Wyzbyli się oni tak szybko swych cech indywidualnych, ich utwory stały się do siebie

tak podobne, że aż przeraziło to samych awangardowych mistrzów. Młoda poezja ostatnich lat doskonale ilustruje istnienie i działanie nowego uniformizmu literackiego, tyle że już „wolnorynkowego”.

Nie było tych nowych idei i tendencji twórczych także wśród tej młodzieży, która niekiedy demonstrowała samodzielność swej postawy i próbowała się tu i ówdzie skupiać w ugrupowania konkurencyjne wobec lokalnych Parnasów, czyli profesjonalnych środowisk literackich. Niestety, opozycja ta, ograniczona przeważnie do sfery spraw mniej wzniosłych, nie zawierała żadnych nowych istotnych propozycji twórczych.

Walka o podniesienie poziomu artystycznego przyniosła, nie można zaprzeczyć, przyswojenie różnych nowych technik, wyższą niż dawniej dbałość o język i warsztat pisarski, wyostrzenie się smaku. Ale czy istnieje smak w ogóle? Artyzm w ogóle? Kto mówi o artyzmie w ogóle, ten w istocie absolutyzuje konkretny model artyzmu, odpowiadający wyznawanej przez niego koncepcji tzw. literatury pięknej. Warto np. przyjrzeć się kryteriom, na których podstawie stwierdza się wzrost poziomu artystycznego twórczości pisarzy wrocławskich. „Parafian” Worcella chwali się za to, że książka ta oznacza przejście pisarza od dotychczasowej techniki „obrazków z natury”, do introspekcji, do ograniczenia wiedzy narratora o świecie pozapodmiotowym, do cieńszego rysunku psychologicznego i stylu niedomówień. Przejście od Worcella, który zbiera grzyby, do Worcella, który chodzi po lesie z pustym koszykiem, albowiem przeżuwa własną filozofię wyobcowania. Mikołajka chwali się za to, że opowiadania jego mają technikę prozy amerykańskiej, a chwaliłoby się jeszcze bardziej, gdyby bardziej zdecydowanie obrócił się ku grotesce.

Kryteria to dość różne, mają jednak pewien wspólny mianownik. Spotykają się one, co najważniejsze, w pewnej wspólnej koncepcji literatury, w której nie mogły i nie mogą się pomieścić wszystkie poprzednio reprezentowane w życiu literackim ziem zachodnich postawy twórcze, poetyki a nieraz i całe gatunki literackie. Nie mieszczą się nie tylko postawy i formy już przeżyte, ale i takie, których żywotność jest jeszcze sprawą zupełnie otwartą. Któż zresztą ma prawo arbitralnie orzekać, że jakieś formy a zwłaszcza funkcje literatury są już anachroniczne? A tym bardziej takie, na które praktyka społeczna literatury, będąca przecież jakimś obiektywnym sprawdzianem owej żywotności, wcale jeszcze wyroku śmierci nie wydała.

Jak nie ma artyzmu w ogóle, tak też nie istnieje jedyna absolutna definicja literatury. Literatura literatów dość daleka jest w naszych czasach od literatury czytelników. Chodzi tu oczywiście nie o czytelników najmniej ambitnych, o ograniczonych potrzebach, amatorów jedynie lekkostrawnej rozrywki, ani też o snobów czy ślepo wtórujących wszelkim nowym modom klakierów literatury — lecz o czytelników kierujących się w wyborze i ocenie w miarę samodzielnymi potrzebami estetycznymi i intelektualnymi.

Ich punkt widzenia warto brać pod uwagę. Zwłaszcza w środowiskach prowincjonalnych, gdzie dystans pomiędzy świadomością literacką odbiorców a życiem kulturalnym metropolii jest znacznie mniejszy — dzięki współczesnym formom rozpowszechniania — niż dystans pomiędzy teorią i praktyką prowincjonalnych środowisk twórczych oraz aktualnym stanem gustów i dążeń na centralnym rynku literackim.

W życiu literackim ziem zachodnich sprzęgły się we wspólnym działaniu specyficzne urazy i kompleksy narosłe w świadomości środowisk twórczych w latach poprzednich, z typowym mechanizmem socjologii życia kulturalnego każdej prowincji. Dodajmy tu jeszcze wyjątkową sytuację środowisk mało liczebnych, bez własnych tradycji, na dorobku, sytuację pewnego zagubienia się w społeczeństwie.

W tych warunkach pierwszą praktyczną formą „normalizacji”, pierwszym sposobem rozładowania kompleksu niższej wartości (nie tylko wartości literatury na giełdzie centralnej, ale i wartości pozycji pisarza w jego prowincjonalnym środowisku społecznym) stała się usilna profesjonalizacja. Tak formalno-organizacyjna (która już sama z jednej strony wymuszała na społeczeństwie wysokie miejsce dla pisarza, zaś z drugiej strony poprawiała jego pozycję wobec metropolii), jak i merytoryczna. Bo dążeniu do zaznaczenia własnej odrębności musiała towarzyszyć odpowiednia ideologia artystyczna, a w niej taka koncepcja literatury, która by nade wszystko obserwowała specyfikę celów, odrębność funkcji twórczości literackiej.

Tak się szczęśliwie złożyło, że taka właśnie koncepcja literatury lat temu parę oznaczać zaczęła pozycję przodującą w postępie artystycznym literatury krajowej. Jej przyjęcie odpowia-

dało zatem równocześnie idei profesjonalizmu jak i wyobrażeniom o awansie literatury prowincjonalnej poprzez jej maksymalne zbliżenie się do najmodniejszych propozycji artystycznych metropolii.

Jest zrozumiałe, że kurs ten zyskał sobie sporo entuzjastów, zwłaszcza wśród młodszych: była to droga szybkiego i łatwego awansu. Nowy system mniej czy bardziej konsekwentnie stosowanych kryteriów „nowoczesności" i „poziomu artystycznego" teoretycznie drogę na Parnas wprawdzie utrudniał; uchylenie tradycyjnego znaczenia funkcji wychowawczych itp. w nowej koncepcji literatury przekreśliło też skuteczność wszelkich rekomendacji tzw. pozaliterackich. Wszelako istniejące potrzeby kadrowe regionalnych środowisk skłaniały do pewnej pobłażliwości, egzaminy były uproszczone. A zresztą komuż łatwiej przecisnąć się przez ucho igielne najsurowszych nawet kryteriów, jeśli nie właśnie młodym — bez tuszy, bez bagażu własnej tradycji i nawyków?

A starsi? Rzecz w tym, że ich pozycja w życiu literackim prowincji różni się ogromnie od sytuacji ich kolegów w metropolii. Tam można sobie pozwolić na ignorowanie tak mód i koniunktur sezonowych, jak i istotnych przełomów literackich. Tam łatwiej znieść psychicznie przejście na emeryturę w opinii literackiej, etykietki tradycjonalizmu etc. Zwłaszcza pisarzowi o znaczniejszym dorobku. Inaczej na prowincji. Tu nie ma miejsca na współistnienie kierunków, szkół, poetyk, tu wszyscy spotykają się przy jednym ołtarzu, w tej samej kapliczce pod wezwaniem jednego tylko zazwyczaj świętego — aktualnego literackiego patrona. Jest prawem socjologii życia kulturalnego prowincji, że łagodna ze swej natury moda potrafi się tu przeistoczyć w reżim, który działa z charakterystyczną dla prowincji nietolerancją i ze zrozumiałą na niewielkim terenie skutecznością. Reżim już nie administracyjnego nacisku na literaturę z zewnątrz, ale niemniej normalnemu rozwojowi literatury szkodzący reżim jednej orientacji literackiej.

Programowe dążenie do wyzwolenia się z prowincjonalizmu nie dało literaturze poszczególnych środowisk spodziewanych rezultatów. Niejednokrotnie wydało tylko nową postać prowincjonalizmu. Świadomość zbiorowa środowisk literackich Nadodrza skłonna jest upatrywać przeciwnika swych ambitnych aspiracji w polityce kulturalnej, jako zainteresowanej możliwościami bardziej bezpośredniej społecznej użyteczności literatury. Nie chce zauważyć, że o społecznych obowiązkach wobec życia jej macierzystych regionów przypomina tutejszej literaturze właśnie opinia literacka metropolii. „Centralna" literatura przyznaje się, owszem, do pokrewieństwa, ale przeważnie na zasadzie „mów mi: wuju". Chwali nowe opowiadania Worcella za „podwójne dno", za „osobliwość w sposobie narracji", za rzadką wśród „naszych młodszych pisarzy" (?) sztukę „niedomówień" — ale nie ukrywa, że znacznie bardziej chwaliłaby dolnośląskiego autora za „zwierciadlaną" epopeję demograficzną o ruchach migracyjnych nad Odrą i Nysą.

Przykład „Parafian" zjawia się w porę, czas bowiem uwzględnić w tej dyskusji fakty, które zdają się podważać przynajmniej niektóre tezy niżej podpisanego. Książka Worcella wraz ze swymi rówieśnicami z owocnej na polu wydawniczym jesieni wrocławskiej literatury uważana jest właśnie za znamienny przykład i rezultat osiągniętej stabilizacji, normalizacji i autentyzacji życia literackiego na Dolnym Śląsku. Owa płodna jesień, której rezultaty oznaczają równocześnie aktualną sytuację tej literatury, ma być zarazem potwierdzeniem słuszności i pewności obranej parę lat temu drogi rozwojowej literatury ziem zachodnich.

W przekonaniu niżej podpisanego jesienna seria wrocławskich książek dowodzi czegoś wręcz odmiennego. Szczególnie proza — i nie przypadkiem właśnie ona; odmienny status związków z rzeczywistością w innych rodzajach i gatunkach ubezpiecza je od silniejszego naporu życia kulturalnego i jego problemów.

Sygnalizują te książki — każda na swój sposób — kryzys wyżej charakteryzowanej postawy i odpowiadającej jej koncepcji literatury. Przede wszystkim nie są jej realizacją, nie są spełnieniem nadziei na intelektualizm, groteskę i co tam jeszcze uważane jest za świadectwo nowoczesności w dzisiejszej prozie. Jak niegdyś „wszystkoizm" wątków, tematyka produkcyjna itp. bywały koncesją pisarzy na rzecz panujących gustów, tak dziś podobnie sztuczne bywa umizganie się do nowych, już „wolnorynkowych" fetyszów literatury. Takim sztucznym nalotem mody wydaje się groteska w opowiadaniach Mikołajka; jest to też chyba najmniej interesująca z przedstawionych i możliwych propozycji tego pisarza. Podobnie fałszywie pobrzmiewa filozoficzna nutka w bardzo zresz-

tą dobrej książce Worcella; fałszywie — gdyż w sposób nazbyt sygnalizowany doszła tu do głosu intensywna i niecierpliwa lektura, zapewne towarzysząca powstawaniu tych opowiadań.

To, co w tych książkach jest rzeczywiście mocne, jest równocześnie sprzeczne z tendencjami konformizmu estetycznego, które znajdują wyraz w tych samych utworach. Charakterystyczne pęknięcia ujawniają niespójność obcych sobie warstw, zdradzają sytuację na zakręcie, sytuację całej literatury ziem zachodnich. Mówi o niej coraz szerszy rozrzut propozycji artystycznych, rozrzut jednak o pewnej wspólnej tendencji. Jak w filmach Bergmana, który każe bohaterom od siebie odchodzić, po czym ich łączy, by dalej przeżywali wspólne piekło — literatura wraca do porzuconej z ostentacją surowej materii życia. Jak tam — nie dzieje się to w sposób wolny od komplikacji i z pełnym udziałem świadomości. To raczej ślepe jeszcze krążenie wokół miejsca, które opatrzono poważnymi ostrzeżeniami. Ale które objawiać znów zaczyna magiczną siłę atrakcji.

Działają tu różne czynniki, od pokusy oportunizmu po szczery nakaz obywatelskiego sumienia pisarza — społecznika. Robi swoje i czas: pisarze, którzy przeżyli tu lat kilkanaście, nie są już młodzieńcami i zaczynają oglądać się wstecz, ku bujnej i barwnej materii odchodzącej w przeszłość historii swojej ziemi — i swojej młodości. W tym prawie ludzkiego wieku jest obietnica bogatej literatury o ziemiach zachodnich. Tej, o którą z różnych stron wciąż się woła. Ale wtedy będą to powieści historyczne, może nawet bardzo dobre. Takie jak dziś „Parafianie" Worcella, rzecz w istocie też historyczna — i może dzięki temu mogła się udać, bo inne są prawa beletrystyki historycznej i łatwiej tu o sukces artystyczny przy konkretnym regionalnym temacie niż w prozie o temacie współczesnym w sensie ściślejszym; podobnie jak w powieści młodzieżowej, która ma już na swym koncie wiele udanych pozycji o współczesnej tematyce z życia ziem zachodnich. Udanych chyba dlatego, że związana z tą tematyką społeczna potrzeba postawy niejako publicystycznej nie kryje w sobie żadnych istotniejszych niebezpieczeństw dla literackiej istoty tego gatunku, którego przecież naturalną materią jest rzeczywistość spedagogizowana.

Nie można nie przyznać, że lata ostatnie uwolniły od wielu niebezpieczeństw również materię życia ziem zachodnich jako przedmiot współczesnej „powieści dla dorosłych". Uogólnienia publicystyki, które wyręczały często w przeszłości naturalną syntezę literackiego widzenia świata — z lepszym poznaniem życia, z wydłużeniem się perspektywy przestają być nieodzowne i natrętne. A zresztą — czy niebezpieczeństwa z tej strony nie są przesadzone?

Przypomnijmy, że proces przeciwko współczesnej tematyce z życia ziem zachodnich wytoczony został w imię pewnej określonej koncepcji literatury, koncepcji zwężającej zakres i komplikującej formy społecznego jej działania. Programowa „literackość" tej koncepcji przeżywa dziś widoczny kryzys nawet na centralnej giełdzie literackiej; przejadła się programowa autotematyczność literatury, krytyka chwalić zaczyna za „nieliterackość", bestsellerami roku są książki, które nie mają swego miejsca w tradycyjnych systematykach literackich. „Książki o rzeczywistości", których sukcesy mają swe źródło w nowej wielkiej fali głodu rzeczowości. Oczywiście rzeczowości nie rudymentarnej. Zintelektualizowanej, ale podług własnego uznania i potrzeb, nie podług tego czy innego z dotychczasowych modeli „literackości".

Co dziś jest prawdziwą literaturą, co jest literaturą nowoczesną? Na prowincji, gdzie zwykła się przyjmować z reguły moda z zeszłego sezonu, droga do literatury prowadzi wciąż jeszcze przez ucho igielne kryteriów wąsko pojętej literackości. Rzeczywistość pozostawiono dziennikarzom, literaturze bowiem godzi się ją najwyżej przedrzeźniać. Profesjonalizacja życia literackiego oznaczała programową odmowę uznania za „prawdziwą" literaturę wszystkiego, co nie zgadzało się z wyznawaną w danym środowisku estetyką, względnie nie miało rekomendacji w postaci legitymacji Związku Literatów. Poza arbitralnie zamkniętym środowiskiem pozostało i pozostaje tu wiele zignorowanych szans na prawdziwą literaturę.

Na nowy grunt chyba należałoby obecnie sprowadzić tamten spór o „regionalizm". Ze stanowiska „nowoczesnej" (a w istocie już tradycyjnej) koncepcji literatury — w ogóle nie ma perspektyw na porozumienie w tej sprawie. W ogóle jak się zdaje, nie ma wielkich szans dyskusja ograniczona do uprawianych dotychczas form tzw. literatury pięknej.

Tradycyjna powieść-zwierciadło nie bardzo już jest do przyjęcia w swej wersji sentymentalno-dydaktycznej przez

czytelników, a w mniejszym jeszcze stopniu przez twórców; znów powieść-zwierciadło w innej wersji nie może się w przypadku współczesnej problematyki ziem zachodnich nie natknąć na wspomniane niebezpieczeństwa.

Powieść-zwierciadło, powieść, która demonstruje pewne zamknięte przebiegi społecznych prawidłowości losu ludzkiego, nie może powstać bez jakiegoś dystansu. Ma zresztą z natury postawę historyczną. Próbowali wprawdzie przełamać tę postawę klasycy tzw. monologu wewnętrznego, czy jednak ci, którzy zgłaszają zapotrzebowanie na popularną więc czytelną i wychowawczo skuteczną współczesną literaturę o ziemiach zachodnich, będą zadowoleni z zastosowania tych wzorów?

Powieść jako gatunek, choć tyle razy już grzebana, żyje i pożyje długo jeszcze chyba, ale zapewne z innymi niż do niedawna funkcjami. Współczesność, na którą w dziele literackim składa się współczesna rzeczywistość oraz świadomość piszącego o niej współczesnego człowieka, wobec znacznego stopnia komplikacji wewnętrznej obydwu tych składników nie poddaje się już starej „fotografii" w jej dotychczasowej formie, z jej zabawną iluzyjnością, zasadą prawdopodobieństwa etc. Szuka sobie nowego typu fikcji, nowych form „literackości". Służbę na pierwszej linii współczesności — i to w zakresie najbardziej podstawowych funkcji literatury „wielkiej", „szlachetnej", nie drugorzędnej, czy tylko „użytkowej" — pełni dziś nie powieść, ale ta nowa proza-hybryda, mająca już tak świetną reprezentację w „Spiżowej bramie" czy też w „Listach do pani Z". Co więcej — pod piórem Jasienicy taż sama postać nowej „literackości" prozy wdziera się również na tradycyjny teren powieści historycznej.

Nie irytujmy się więc brakiem dobrej współczesnej powieści-zwierciadła o ziemiach zachodnich. Jest szansa — i są zapowiedzi — że literatura ta sama przerwie kłopotliwe milczenie w sprawie istotnej dla wszystkich partnerów. Jest prawdopodobne, że będzie chciała być konsekwentna, że więc oprze się pokusie trochę filisterskiej wegetacji w kulcie własnego profesjonalizmu i w formule „stabilizacji" czy „normalizacji" — i pójdzie znów, jak to zdecydowała się czynić, szlakiem aktualnych poszukiwań twórczych krajowej czołówki literackiej. Jeśli tak się stanie, to jest nadzieja, że w ten sposób, realizując równocześnie zadania swego wewnętrznego postępu i zaspokajając swe ambitne aspiracje twórcze, spotka się ze swymi partnerami w życiu kulturalnym Nadodrza, odpowie ich najistotniejszym postulatom bez żadnej ujmy na swym honorze.

Co jest możliwe na zasadzie nowego statusu literatury, jedynego obecnie statusu, który ocala jej powagę i znaczenie wśród konkurencyjnych innych form współczesnej społecznej świadomości. Taka bowiem jest dziś szansa rzeczywistego istnienia literatury, nie wegetacji w roli duchowej kosmetyki tylko. Taka jest droga autentyzacji — bo miarą autentyczności literatury nie mogą być tylko jej subiektywne pragnienia i wyobrażenia spokojnego profesjonalnego życia bez problemów. Zaś o stabilizacji i normalizacji trudno chyba w ogóle mówić w odniesieniu do literatury, która chce być ambitna i twórcza, a do tego jeszcze zakłada — chyba nie tylko w ferworze polemiki z praktyką sztucznego utrzymywania twórczości literackiej w przeżytych dawno formach — że także ona sama podlega prawu postępu i stałej konieczności przeobrażeń.

Stanisław Pietraszko



KŁOPOTY z OBRACHUNKAMI

JAN GAWAŁKIEWICZ

Pod koniec stycznia bieżącego roku dosyć niecodzienna historia zdarzyła się na „czwartku literackim“ we wrocławskim Klubie Muzyki i Literatury. Opowiem ją opuszczając nieistotne dla sprawy szczegóły. Jeden z bawiących tu gościnnie literatów krakowskich, specjalista od Monte Cassino, zaczął swój występ w ten mniej więcej sposób: „Czy jesteście państwo we Wrocławiu tak zblazowani, że nie chcecie zobaczyć jakiegoś tam pisarza, który do was przyjechał z innego miasta?“ „Jakiś tam pisarz“ (niedbale zresztą przygotowany do swego wystąpienia w charakterze autora) postawił owo pytanie licząc subtelnie, lecz głośno, ilość obecnych słuchaczy. Było ich rzeczywiście mało. Podjąłem wówczas, wraz z Tadeuszem Lutogniewskim, obronę honoru „miasta”. Zmierzała ona do wykazania, że pustki na sali nie mają nic wspólnego z atrakcyjnością prelegenta, stanowią natomiast rezultat poważnego zwielokrotnienia się możliwości wykorzystania czasu przeznaczonego na rozrywkę kulturalną. Jeśli chodzi o mnie, perorowałem z wiarą we własne słowa. Dziś bym już tej obrony nie podjął. W połowie marca, na innym „czwartku” — który według zapowiedzi prasowych miała wypełnić prelekcja pt. „Nowoczesność w sztuce” — przez dwie godziny stałem wtłoczony między ścianę i pianino. Musiałem przy tym uważać, by nie trącić nogą siedzących obok prawie na ziemi słuchaczek. Po takich dwóch godzinach zacytowałbym „jakiemuś tam pisarzowi” ostrzeżenie przewidziane na podobne okoliczności przez innego pisarza: *„Niedźwiedziu! — gdybyś w mateczniku siedział...”*

Wbrew przypuszczeniu wyciągam z tej historyjki morał najpierw pod adresem własnym: aby przejawy życia literackiego w naszym mieście oceniać trochę ostrożniej, po rozpatrzeniu większej ilości dobrze wyważonych faktów. Wykazawszy przyzwoitą dozę pokory, wzywam do naśladownictwa wszystkich, którzy wyrażają w druku swoje zainteresowanie tymi sprawami. Zwłaszcza środowiskiem pisarskim.

Rok 1960 owocował pisarzom Wrocławia nader obficie. Nie mam pod ręką jakiegoś oficjalnego zestawienia, wymieniam więc tylko publikacje zapamiętane. Są to: zbiorki poezji — Tymoteusza Karpowicza „Znaki równania”,

Kazimierza Koszutskiego „Szeptem“, Leona Szweda „Ogród spadających masek”, Tadeusza Zasadnego „Zazdroszczę nut”; zbiory opowiadań — Kamila Giżyckiego „Hebanowa miłość”, Tadeusza Mikołajka „Po deszczu”, Henryka Worcella „Parafianie”, Tadeusza Zelenaya „Zapiski ze starej skrzyni”; powieści — Pawła Kozłowskiego „Historia pospolita”, Edwarda Kurowskiego „Kroki w samotności”, Macieja Patkowskiego „Południe”, Lilian Seymour--Tułasiewicz „Trzy miłości”; dramat — Tymoteusza Karpowicza „Zielone rękawice“. Trzynaście pozycji.

Czy to literacka wiosna, czy zaburzenie atmosferyczne? Czytałem ostatnio dwa różnych rozmiarów artykuły, których autorzy zdają się opowiadać przeciw zaburzeniom. Wiosna zatem? Doskonale. Rad bym w nią także wierzyć. Wolno jednak spytać o argumenty?

W jednej z miejscowych gazet z 10 stycznia ukazał się artykulik sprawozdawczy pt. „Literacka księgowość”. Gdyby autor pamiętał, z jakimi wypiekami na twarzy muszą niekiedy księgowi szukać zawieruszonej przy rozliczaniu złotówki, zarumieniłby się czytając własne sprawozdanie.

Za Kazimierzem Wyką („Rzecz o wyobraźni”, s. 399—400) przypomnę fragment jednego z dawnych felietonów KTT w „Nowej Kulturze”: *„Jeżeli codziennie nie krzyknę, że jestem, że żyję, dowiem się z gazety, że pochowano mnie żywcem i że się skończyłem. Co drugi pisarz w Polsce budzi się z przerażeniem, czy przypadkiem przez noc się nie skończył. Histeria? Ależ oczywiście. Powodem jednak tej histerii jest fakt, że w Polsce nic się nie sumuje i wszyscy bez wyjątku są nędzarzami na dorobku”.* Dlatego sumujmy i księgujmy. Ale do histerii „parnasistów” nie dodawajmy podekscytowania własnego. Nie piszmy: *„Obok nich* [Karpowicza i Mariana Jachimowicza] *należałoby wymienić r e w e l a c j e ostatniego sezonu: Leona Szweda, Tadeusza Zasadnego, Jacka Łukasiewicza, n i e m ó w i ą c j u ż o Kazimierzu Koszutskim czy Tadeuszu Zelenayu oraz o c a ł e j p l e j a d z i e młodych i u t a l e n t o w a n y c h t w ó r c ó w“* (podkreślenia moje). To ma być księgowość? To poddawanie się magii, która zawsze źle wpływa na zdolność dostrzegania wymiarów i liczb. Mówi się potem na przykład, że „do 1957 roku wrocławianie opublikowali 11 pozycji”, jakkolwiek da się tych publikacji wymienić przynajmniej dwa razy tyle (proszę zajrzeć do almanachu „W odzyskanym domu“, s. 332—354). Słowem — tu się coś odejmie, tam doda i wiosna na całego!

Podobną żonglerkę, choć w odmiennym stylu, uprawia w „Życiu Literackim” z 22 stycznia inny autor. Z nim trzeba by się wdać w dłuższe rozhowory, a to mi obecnie nie po drodze. Więc możliwie krótko: autor, pod patetycznym tytułem „Martwe i żywe legendy”, spłaszczył dawniejszy dorobek miejscowych pisarzy oceniając go na przykładzie jednego nieudanego dramatu, a rozdmuchał sukcesy roku ostatniego. I co z tego wynikło? Oczywiście — wiosna! Tyle że wywróżona z dziwnych zjawisk. Posłuchajmy bowiem:

„Przed kilkoma laty zorganizowano we Wrocławiu konkurs na regionalne widowisko historyczne, które miało być, za przykładem tradycji krakowskiej, prezentowane publiczności raz do roku, podczas Dni Wrocławia. [...] Impreza niestety spaliła na panewce, i to nie tylko z przyczyn technicznych: ci. którzy coś widzieli, ogłuszeni byli przez megafony, ci zaś, którzy słyszeli, niczego nie zobaczyli. Bowiem nieliczni, którzy i widzieli, i słyszeli, rozeszli się do domów rozczarowani. Była w tym rozczarowaniu nie tylko o c e n a t e k s t u i i n s c e n i z a c j i, ani lepszej, ani gorszej od wielu podobnych. Było w nim coś więcej: n i e c h ę ć d o o r g a n i z o w a n i a t r a d y c j i, do powoływa-

nia legend, które, odcięte od historycznego rozwoju, pozbawione swej wewnętrznej dynamiki, nie mają wielkich szans, zwłaszcza u społeczeństw młodych, nie posiadających jednolitej „świadomości historycznej" (podkreślenia moje).

Gdyby autor rozumował tak: widowisko miało wszelkie warunki (bardzo ciekawy, doskonale napisany tekst, pomysłową, wzorowo pod względem technicznym zrealizowaną inscenizację), by się podobać, a mimo to zawiodło kompletnie, uważałbym za słuszne doszukiwanie się przyczyn klęski poza dramatem oraz inscenizacją. Ale dać do zrozumienia, że tekst był przynajmniej banalny a wystawienie pod psem, i rozglądać się za dodatkowym źródłem plajty spektaklu — to poddać się kaprysowi fantazji, wypływającemu z chęci posługiwania się historiozofią tam, gdzie wystarczy źdźbło soli. Nie rozumiem nadto, dlaczego organizowanie tradycji równa się powoływaniu legend odciętych od historycznego rozwoju. Kabała!

Mam nadzieję, że rozumiemy się właściwie. Sumujmy, powtarzam, bo to konieczne dla normalnego rozwoju życia kulturalnego, ale nie wstawiajmy sum przed poznaniem poszczególnych składników. To arytmetyka żenująca. Nie chcę oczywiście twierdzić, jakoby inna była łatwiejsza. O czym zresztą piszę dalej bardziej szczegółowo.

★

Istniejące w naszym mieście Towarzystwo Miłośników Historii postanowiło — z inicjatywy profesor Ewy Maleczyńskiej — osobny numer własnego periodyku, „Sobótki", poświęcić piętnastoleciu Wrocławia. Z propozycją napisania do tego numeru syntetyzującego szkicu o rozwoju życia kulturalnego w stolicy Dolnego Śląska zwróciła się inicjatorka do Czesława Hernasa, adiunkta Katedry Literatury Polskiej na Uniwersytecie Wrocławskim. Hernas propozycję przyjął, wkrótce jednak doszedł do wniosku, że jej odpowiedzialna realizacja przekracza zarówno siły, jak i kompetencję jednostki, zaczął się więc rozglądać za współautorami. Do połowy stycznia 1960 roku zdołał pozyskać dla sprawy cztery osoby: Zbigniewa Kubikowskiego, Andrzeja Willa, Romana Wołoszyńskiego oraz piszącego te uwagi.

Na pierwszym spotkaniu, które odbyło się 20 stycznia, wymieniona piątka doszła do kilku wstępnych stwierdzeń natury ogólniejszej. Mianowicie: inicjatywa historyków jest bardzo pożyteczna i należy ją potraktować jako zachętę do zorganizowania stałego ośrodka badawczego specjalizującego się w systematycznym śledzeniu wszelkich przejawów współczesnego życia kulturalnego we Wrocławiu. Po drugie: publikację jakichkolwiek syntetyzujących ujęć problematyki kulturalnej, jeżeli mają się one różnić od wypowiadanych okolicznościowo truizmów, musi poprzedzić analiza poszczególnych faktów. Po trzecie: niezależnie od tego, czy powstanie w przyszłości stały ośrodek badawczy, czy też sprawa zakończy się na opisie życia kulturalnego w piętnastoleciu, nie można brać za pióro bez uprzedniego zgromadzenia koniecznych a rozproszonych — nie zawsze wiadomo gdzie — dokumentów. Efektem powyższych stwierdzeń stał się opracowany potem wspólnie przez Hernasa, Kubikowskiego i Wołoszyńskiego artykuł pt. „Kilka uwag na temat potrzeby, organizacji i programu badań kulturoznawczych na Dolnym Śląsku" („Sobótka", 1961 nr 2).

W czasie tego samego spotkania nastąpił podział tematów. Życie plastyczne Wrocławia podjął się zobrazować Will, życie teatralne — Wołoszyński, prasę literacką — Hernas, życie literackie: do roku 1952 — Gawałkiewicz, późniejsze — Kubikowski. Należało teraz przystąpić do czynności podstawowej: zbierania potrzebnego materiału dokumentacyjnego. Czynność to bez wątpienia pomocnicza i na pozór mechaniczna, tkwi w niej jednak orzech nie

bardzo do zgryzienia podatny. Szczególnie może twardy dla mnie, mam bowiem opracować jakby dwie wersje zagadnienia: literacką i naukową, wiadomo zaś, że pojęcie naukowości łączy się nade wszystko z precyzyjną dokumentacją wywodu. Tymczasem co tu marzyć o precyzji, gdy w ogóle brak dokumentów!

W ogóle? No, nieco przesadziłem, ale sytuacja jest w tej dziedzinie naprawdę niewesoła. Pokażę to na kilku przykładach z kręgu moich zainteresowań. Prawie każdy z członków zespołu mógłby bez trudu przygotować własny rejestr przykładów.

„Czwartki literackie". Z zazdrością patrzę na książeczkę pt. „Wieczory czwartkowe w Pałacu Działyńskich". Ukazała się nakładem Związku Zawodowego Literatów Polskich w Poznaniu. Z jakiej okazji? Literaci wrocławscy, czytajcie podtytuł tej publikacji: „Książka pamiątkowa wydana z okazji setnego czwartku w Pałacu Działyńskich w dniu 10 marca 1938 roku". Setnego! — zapamiętajmy. Mieści się w niej ogólna charakterystyka cyklu, opis k a ż d e g o „czwartku" i fotografia k a ż d e g o autora. O reszcie zawartości, pod względem informacyjnym niemniej pożytecznej, nie wspominam.

Ile było „czwartków" we Wrocławiu, nikt nie wie. Czterysta, pięćset? W każdym razie n a s z setny „czwartek" minął już 3 czerwca 1948. O „czwartku" pierwszym Tadeusz Mikulski pisał: *„Były na pewno świetniejsze w dziejach polskiej kultury literackiej, ale dziwniejszego nie było"* („Temat Wrocław", s. 362). Łącząc ową dziwność z historycznym znaczeniem okresu, w którym tu żyjemy, należy porównaniem Mikulskiego objąć cały cykl „czwartkowy". Posłuchajmy bowiem, jaką ocenę otrzymał on po stu pierwszych ogniwach: *„Jeśli zrazu trudno było osądzić, co wyrośnie z podobnego zasiewu, dzisiaj wiemy: przy placu Nankiera p o w s t a ł W r o c ł a w l i t e r a c k i, któremu przybywa coraz sił, ludzi, talentów"* (s. 364, podkreślenie moje). Mimo to instytucja kulturalna o takim znaczeniu, tak wytrwale towarzysząca nam przez lat piętnaście, wciąż żywotna, nie posiada swojej pełnej kroniki. Przez dwa pierwsze lata prowadził ją solidnie doktor Karol Heintsch, ówczesny sekretarz Koła Miłośników Literatury i Języka Polskiego we Wrocławiu. Następny jednak patron „czwartków", Związek Literatów Polskich, nie zadbał o dalszy ciąg rejestru.

Co ma w takiej sytuacji robić badacz wrocławskiego życia literackiego? Ponieważ nie może „czwartków" w swych rozważaniach pominąć, bo byłoby to nonsensem, pozostaje mu jedyne wyjście: zrekonstruować zestawienie cyklu. Rzadko kto uwierzy, jaka to — w znaczeniu roboczym — kosztowna rzecz. A jak pełna zasadzek, niech przekona garstka obserwacji, które poczyniłem w pierwszym kwartale bieżącego roku, uczestnicząc — szczegół ważny — tylko w sześciu (na dwanaście) „czwartkach".

12 stycznia. Jedna z gazet zapowiada prelekcję Tymoteusza Karpowicza pt. „Metamorfoza w dramacie". Słuchacze dowiadują się na wieczorze, że chodzi o „Metaforę w dramacie".

26 stycznia. Prasa podaje, że odbędzie się spotkanie z redakcją „Życia Literackiego", którą ma m. in. reprezentować Witold Zechenter. Na „czwartku" Zechenter okazuje się Henrykiem Voglerem (obaj zresztą nie należą do redakcji wspomnianego pisma), poza tym goście jak najmocniej podkreślają, że występują na „czwartku" nie jako przedstawiciele redakcji „Życia", lecz wyłącznie jako pisarze.

16 lutego. Trzy dni przedtem zapowiedziano wieczór autorski Janusza Osęki. 16 następuje w prasie sprostowanie: Osęka zachorował, wystąpi Kazimierz Koszutski. Ani przedtem, ani potem nigdzie jednak nie napisano, że był to równocześnie wieczór jubileuszowy: piętnastolecie „czwartków"

wrocławskich! Jubileusz bardzo piękny, uczczony bardzo smętnie. Czy taki fakt jest dla badacza bez znaczenia?

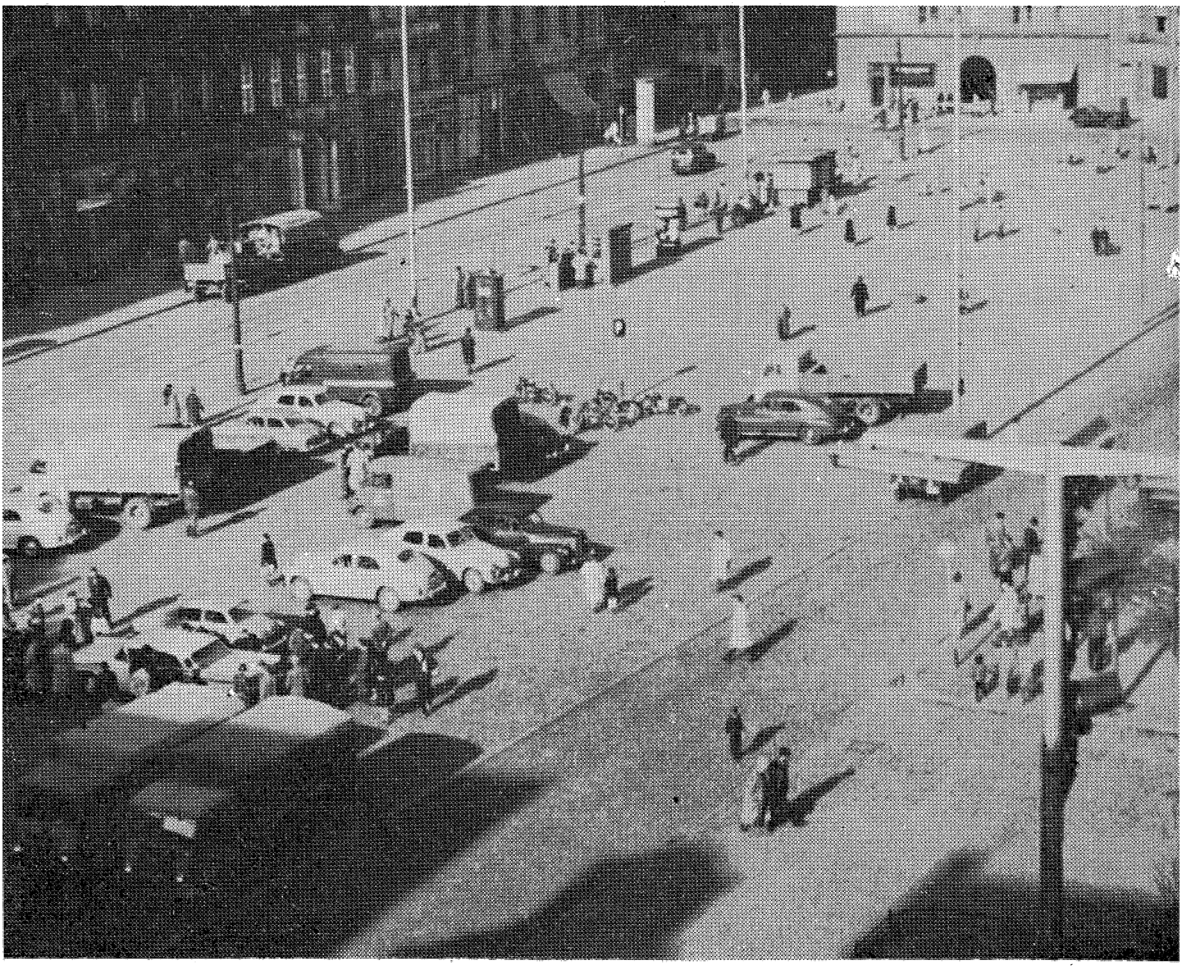
16 marca. Prasa zapowiada odczyt pt. „Nowoczesność w sztuce". Na sali autor wydobywa z kieszeni gotowy artykuł na temat: „Nowoczesność w liryce".

Dokonanie powyższych poprawek umożliwiła jedynie tego rodzaju autopsja, której nie da się, niestety, zastosować do wypadków minionych. *Verba volant.*

Aforyzm o lotności słów każe od razu przypomnieć inny kłopot. W hierarchii trudności, jakimi nastroszone są poszukiwania, kłopot to co prawda nie najważniejszy, ale nie wolno go lekceważyć. Pytam więc trochę po kupiecku: ile procent życia literackiego, i o jakim ciężarze gatunkowym, rozpylają bezpowrotnie mikrofony radiostacji na Krzykach? Bo ulatnia się w tym pyle na pewno niejedna ciekawa informacja rzeczowa lub biograficzna, ginie niejeden akcent polemiczny. Przypuszczenia te potwierdza na przykład cenna jako dokument „Rozmowa z Anną Kowalską o życiu literackim we Wrocławiu", odczytana przed mikrofonem 12 września 1948 roku, a dopiero teraz z papierów Tadeusza Mikulskiego opublikowana przez profesora Bogdana Zakrzewskiego („Temat Wrocław", s. 392—396). W roku ubiegłym niezbyt smaczny dialog prasowo-radiowy, prowadzony przez Klemensa Krzyżagórskiego i Kazimierza Koszutskiego, uwidocznił znów włączanie się „mikrofonu" w aktualne polemiki literackie we Wrocławiu. Objaw to zresztą normalny — przecież od kilkunastu lat za różnymi biurkami gmachu Rozgłośni zawsze można zobaczyć etatowo tam pracujących, a równocześnie praktykujących, literatów. Poza Koszutskim dość wspomnieć Romualda Cabaja, Zygmunta Falkowskiego, Elżbietę Miłanczównę, Juliusza Petriego, Jana Pierzchałę. Słuchałem czasami robionych przez Cabaja przeglądów wrocławskiej prasy literackiej. Najczęściej się z nimi nie zgadzałem, ale podobał mi się ich indywidualny grymas. Czy został gdzieś w jakiejkolwiek formie utrwalony? W moim pojęciu niektóre szczegóły owych przeglądów miałyby dziś wartość źródłową.

Dość tych minorowych rozważań. Przykładowa porcja braków i wątpliwości wystarczy — sądzę — do uprzytomnienia czytelnikowi, w jak trudnym położeniu znajduje się we Wrocławiu badacz przejawów życia kulturalnego, w którym się przecież w pewien sposób od lat piętnastu obraca, którego liczne momenty utrwaliła mu własna pamięć. Mimo to, jeżeli te badania podejmuje, w żadnym wypadku nie powinien oczywiście posługiwać się matematyką magiczną. Ale identyczny wniosek dotyczy ludzi piszących o tych sprawach na bieżąco.

Jan Gawałkiewicz



Na wrocławskim Rynku *Fot. Andrzej Kozak*



WŁADYSŁAW
BIEŁOWICZ

Przez Wrocław na przełaj

Maj — miesiąc kwiatów, wiosny, radości, miłości — stał się miesiącem Wrocławia. Nie w grudniu, nie w styczniu, jak to na świecie przyjęte, lecz właśnie w maju Wrocław — wbrew wszystkim specjalistom od księgowania — liczy i podsumowuje, czego dokonał, spogląda w przyszłość. Robi to w rocznicę swego wyzwolenia, odrodzenia. I dobrze, że robi to w maju, pełnym bzów i rozkrzyczanych żaków — przebierańców, którzy tylko w tym miesiącu, nie bacząc na gniewne miny konduktorów i co surowszych ojców miasta, jeżdżą tramwajami bez biletów. Jakiś bardzo drewniany obywatel, obywatel lubiący nade wszystko porządek, parskał gniewnie na ten obyczaj, brwi marszczył i czernionym wąsem ruszał. Konduktor, pogodzony już z losem, nie bez dowcipu mu poradził:

— Przebierz że się pan za jakiego wariata, dalibóg zwrócę 50 groszy!

Ta wielka zabawa miasta zaczyna się już w ostatnie dni kwietnia. Wrocław już się przygotowuje, stroi się do 1 Maja, Święta Pracy, wielkiego „rendez-vous" wszystkich wrocławian. Kto żyw — pół Wrocławia idzie ulicami, pół Wrocławia stoi murem na trasie i spróbuj się tam dopchać! Wszyscy przecież chcą zobaczyć swoich: bliskich, ojca, brata, albo kolegów ze szkoły, z biura, z fabryki.

A w pochodzie ludzie wciągnąwszy brzuch wypinają pierś ubarwioną goździkiem w klapie i ze zdumieniem stwierdzają, że to duża uciecha tak kupą ze swoimi iść, cieszyć się, słuchać łopotu flag i huku orkiestr, patrzeć na to samo wciąż piękniejsze i młodniejące miasto. Później, kiedy już ostatnie grupy zorganizowanego pochodu przepłyną przed trybuną, sto tysięcy karnie dotychczas na chodniku stojących ludzi rusza w jednej chwili jak rzeka, zalewa całą Świdnicką, pod trybuną robi się ścisk i zaczyna się jedyna w swoim rodzaju, niepowtarzalna rozmowa:

— Sekretarzu, dlaczego nie byliście u nas? (sekretarz zakłopotany). Panie przewodniczący, jak wreszcie będzie z remontem bloku, wie pan, na ulicy... (przewodniczący jaśnieje, wie już, że właśnie ten blok, na tej ulicy, jest w planie). Generale, czy pamięta pan, byliśmy razem w czterdziestym piątym...

Generał jest najbardziej oblegany. Jakiś ojciec tłumaczy synkowi: — Wszystkie są prawdziwe, a ten mały szary krzyżyk to Virtuti. Nie dotykaj, bo cię kominiarz chwyci. — Ale malec, uszczęśliwiony, już jedzie ręką, bez należnego szacunku, po krzyżach i medalach, aż brzęczy.

★

Tak się zaczyna wrocławski maj, święto, festyn, lub — jak inni wolą — karnawał wiosenny. Bo już kalendarz niesie Dni Wrocławia, sto imprez, sto uciech, sto barw — kto z jakiej chce beczki. Cała armia organizatorów trudzi się, żeby to szło sprawnie, żeby się jedno z drugim zazębiało. Biedni ojcowie miasta, spoceni i zachrypnięci, nie mogą nadążyć z otwieraniem wystaw, festiwali, przecinaniem wstęg, wręczaniem nagród, przemawianiem. W całym mieście — w gmachach teatrów, na stadionach, na rzece, w parkach — trwa wrocławski maj.

★

Uzbierało się już tych majów. Dzisiejsze dwudziestolatki były wtedy czteroletnimi brzdącami, już nic chyba z tego pierwszego okresu nie pamiętają. Dzisiejsi młodzieńcy 16-letni pierwszym niemowlęcym krzykiem dawali znać

światu, że przybyli mu nowi obywatele polskiego Wrocławia. Nie były to łatwe czasy i niełatwo zaczynała się historia miasta. W maju 1945 r. jeszcze płonęło. Było rzeczą wielkiej odwagi, wielkiego uporu, wielkiej fantazji, aby w tym dymiącym rumowisku cegieł, barykad, zwalonych mostów, wymarłych ulic i placów zacząć coś robić. Ci pierwsi nie mieli co jeść, pić, a i na spanie porządne nie mogli sobie pozwolić, bo czasem wypoczynkiem krzepiący sen zamieniał się w sen wieczny.

Ale miasto, choć zdawało się śmiertelnie zranione, już wkrótce zaczęło oddychać. Zjawiali się wciąż nowi ludzie — setki, a później tysiące i tysiące. Zjechali uczeni, ratując, co jeszcze można było przed ogniem uchronić. Przyjechali robotnicy i inżynierowie, zmyślni specjaliści, i jak lekarze stawiali najpierw diagnozę, a później brali się do roboty, zaczynając od najważniejszych rzeczy: energia — a więc elektrownie; nerwy miasta — a więc komunikacja, telefony; mózg miasta — a więc władza, administracja; a przecież i wodociągi, i sieć gazową, i handel — trzeba było z martwych wskrzesić i zmusić, aby służyły osiadłemu tu człowiekowi.

Można wymienić setki i tysiące nazwisk ludzi najbardziej dla miasta zasłużonych, a jeszcze byś ich listy nie wyczerpał. Miasto potrzebowało bowiem ich coraz więcej i więcej, miasto też musiało im stwarzać coraz normalniejsze warunki, uruchamiać doszczętnie zniszczony przemysł, ot choćby taki rozbity zupełnie Pafawag, z którego już w styczniu 1946 roku w obecności Władysława Gomułki puszczono w świat pierwszą setkę polskich węglarek. Co dzień prawie była taka nowa radość: uruchamiano uczelnie, piekarnie, teatry, szkoły, sklepy, pierwsze linie tramwajowe, szpitale, wypierano metr po metrze gruz. Ciemnymi wąwozami wypalonych doszczętnie ulic śpieszyli ludzie do pracy. Wszystko — nie tylko jedzenie — otrzymywało się na kartki. Ludzie byli ubrani najróżniej, często przekomicznie. Społeczność miasta różniła się między sobą nie tylko strojem; ludzie przybyli tu prawie ze wszystkich stron kraju, ba — świata! Miasto miało ich uczyć jedności w życiu, postępowaniu, działaniu. Miasto ich tego uczyło nawet wbrew ich woli, wbrew oporom, jakie stare nawyki i dzielnicowe różnice kazały im stawiać. Ale mimo tych wszystkich różnic, mimo wszystkich nieuniknionych słabości, kierowała nimi w zasadzie jedna myśl: to n a s z e miasto i trzeba zrobić wszystko, aby było n a s z y m dobrym domem. Byli wątpiący i słabi, byli też tacy, którzy przyjeżdżali tu tylko po łup. Ale nie oni nadawali ton Wrocławiowi i nie ich filozofia życiowa była filozofią tych, o których trudzie dziś z wdzięcznością mówimy. Gazety nierzadko pisały wtedy o ciemnych typach, przeciwstawiając ich małoduszność ofiarności i trudowi prawdziwych już wrocławian. „Siedzenie na walizkach" stało się symbolem wszystkiego, co najgnuśniejsze i najbardziej ospałe.

★

Każdy rok wrocławski, zaczynając od 1945, może mieć swoją nazwę, swój symbol graficzny nawet. A więc 1945 — koniec wojennej męki i pierwszy smak trudnego gospodarowania. 1946 — pierwsze wagony, pierwsi studenci na uczelniach. 1948 — Wystawa Ziem Odzyskanych, Wrocław kolebką światowego ruchu pokoju, tu odbył się Kongres Intelektualistów z całego świata. I tak dalej, i tak dalej. Pamiętacie rok ubiegły — Piętnastolecie? Oddano wtedy wrocławianom odnowiony Rynek.

Z każdym z tych wydarzeń związane jest jakieś wspomnienie, żywsze niż kronikarska notatka.

Nie wiem, czy za lat 20 nie będą się podśmiewali z naszych dzisiejszych uroczystych otwarć np. sklepów lub pralni; możliwe, że wtedy będzie się z całą pompą świętować otwarcie elektrowni atomowej lub linii międzyplanetarnej? Kiedy dzisiaj mówi się o oświetleniu ulic, słuchacz obojętnie przyjmuje do wiadomości, że co wieczora pali się na 450 kilometrach ulic prawie 9.000 lamp (gazowych, elektrycznych, jarzeniowych), z tego prawie 1.000 jarzeniowych. Za trzy lata będzie ich 10.000! Nikomu nie przyjdzie dziś do głowy robić z tego specjalnej uroczystości. A tak niedawno przecież, bo chyba w roku 1947 lub 48, ówczesny prezydent miasta, inż. Bronisław Kupczyński, „dokonywał otwarcia 1000 latarni gazowej". Na placu Solnym przy „uroczystościowym szafocie", bo tak to podium pod latarnią nazwaliśmy, zebrały się tłumy ludzi! Nie dziwmy się im. Miasto było ciemne, a nocne wędrówki nie należały ani do łatwych, ani do przyjemnych.

★

Wrocław jest młody. Osiedlali się tu młodzi, energiczni ludzie. W latach pięćdziesiątych miasto osiągnęło niebywały przyrost naturalny — 30 promille! Nic też dziwnego, że około 40 procent ludności to młode bractwo, urodzone już

tu, we Wrocławiu. Fakt w ogóle cieszy, ale ojcowie miasta długie jeszcze lata będą głowy łamać nad rozwiązaniem trzech kapitalnych spraw: trzeba tym rocznikom (rosnącym) dać miejsce w szkołach, później — stanowiska pracy, a później i mieszkania, gdyż młodzi zechcą zakładać własne rodziny. Coraz więcej się robi w tej dziedzinie i liczba prawie 50.000 izb w obecnej pięciolatce ma swoją wymowę, bo mimo że wskaźnik zagęszczenia wciąż rośnie, to jednak jest on niższy niż we wszystkich innych wielkich miastach kraju. A przy tym ludzie będą coraz lepiej mieszkali: co nowe mieszkanie z wygodami, to nie stara, waląca się często rudera. Sprawiedliwiej też rozdziela się dziś mieszkania. Cieszy, że zahamowano proces tzw. dekapitalizacji — w ostatnim tylko 3-leciu wyremontowano ponad 21.000 izb za 350 milionów złotych.

Przypominam sobie godziny niekończących się dyskusji; ludzie spierali się, gdzie rozbudowywać miasto; w jakich kierunkach, od śródmieścia wychodząc, ma rosnąć nowy Wrocław. Kto ma o tym decydować? Specjaliści, politycy? Sypano przykładami: mówiło się o mieście budowanym przez Piotra Wielkiego, mówiło się o Brazylii i jej nowej stolicy. A Wrocław się budował· śródmieście, PKWN, Huby, Gajowice... Niedawno dopiero zaczęto badania nad uzbrojeniem terenów w kierunkach zachód i południe. Można mieć żal, że przepiękna arteria Powstańców Śląskich do dzisiaj czeka na zabudowę, między innymi również dlatego, że poniosła ona największe straty w uzbrojeniu. Ale nie tylko dlatego. Są koncepcje, że i tam kiedyś się zacznie, ale na wielką skalę, na miarę epoki itd. Nigdy nie miałem przekonania do tej myśli — nawet uwzględniając wszystkie obiektywne trudności, można było tam już zacząć bez „zadęcia na miarę epoki". Przykład kierunku zachód (ul. Legnicka) to potwierdza — tu już zaczęto.

★

Parki, zieleńce, skwery — to na początku była dziedzina prawie bezpańska. Każdy łamał i wycinał, co mu pod rękę wpadało, zryte to wszystko było okopami i bombowymi lejami. Dzisiaj miasto obejmuje konserwacją 1.240 ha zieleni, za 3 lata przybędzie jeszcze ponad 700 ha. Już teraz na zieleń wydaje się ponad 20 milionów złotych rocznie. Zwolennicy regulacji urodzin krzywym na to patrzą okiem, doszukując się współzależności między przyrostem zieleni i przyrostem naturalnym. Ale nie trzeba im wierzyć.

Łączy się z tym, co wyżej (parki, zieleń — a nie przyrost naturalny), inny temat — sport. Konkretnie mówiąc piłka nożna. Są tacy, co się zdrowo prześmiewają z ambicji futbolowych zapaleńców, ale ci ostatni chyba sporo mają słuszności, jeśli mówią o znaczeniu pierwszoligowej jedenastki jako czynnika pozasportowego, umacniającego patriotyzm lokalny. Może jest trochę przesady w haśle „I liga pierwszoplanowym elementem miastotwórczym", ale niech futbolistom wszystkie bogi błogosławią, a już zwłaszcza „Śląskowi", który wespół z najlepszymi działaczami, również cywilnymi, może wrota tej ligi wreszcie otworzy.

A w ogóle warto posłuchać kibiców „Śląska", kiedy zebrani w kilkunastotysięczną gromadę jednogłośnie tego się domagają.

★

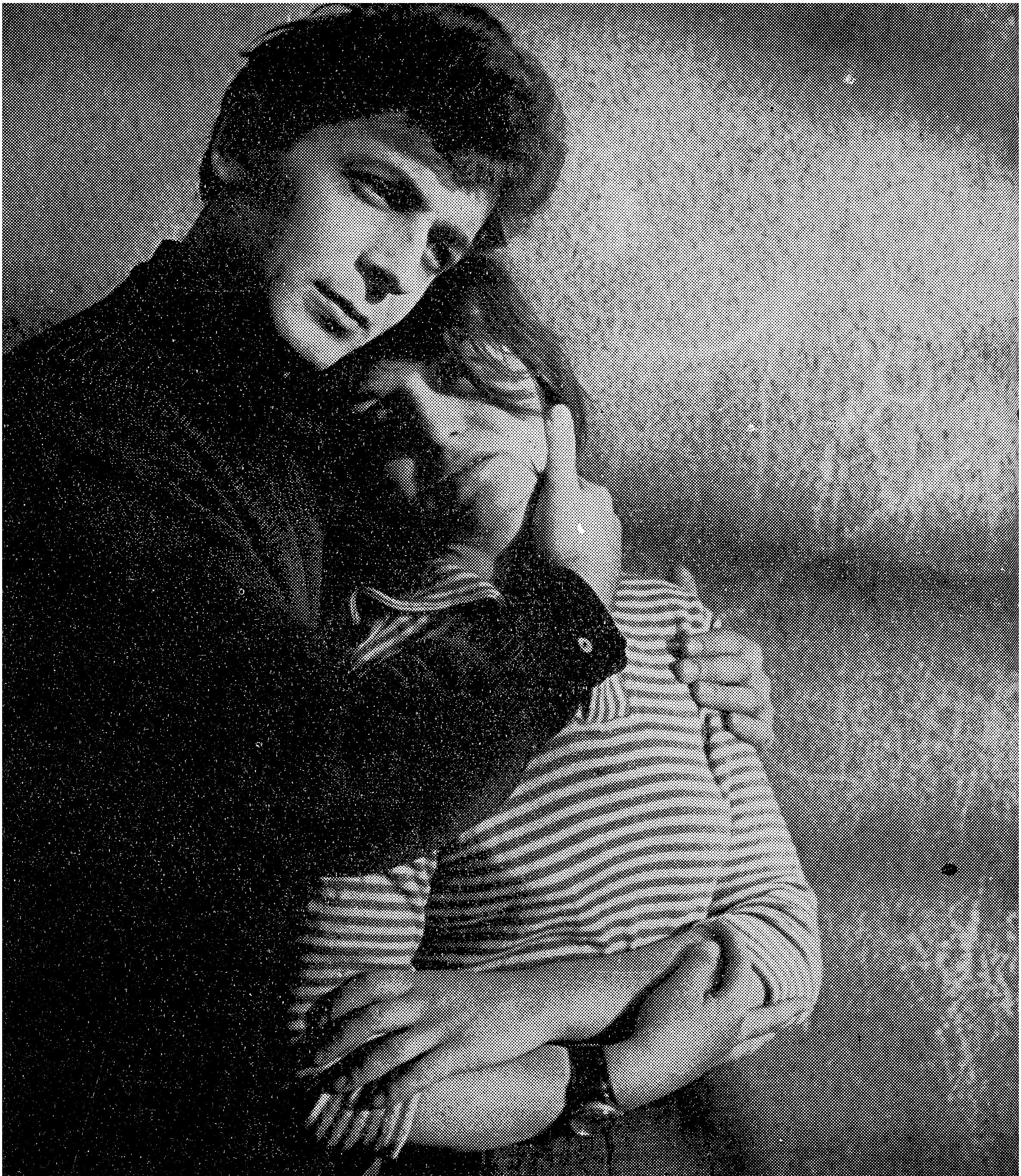
Gości we Wrocławiu mieliśmy huk. I ze Wschodu, i z Zachodu, i nawet z samej... Warszawy. Różni to byli goście. Także nieżyczliwi i krzywym okiem patrzący na to, co się u nas robi. Obiektywy ich aparatów szukały tylko ruin; to miały być dowody naszej niezaradności i nieumiejętności rządzenia. Pamiętam takiego, który poważnie dowodził, że Wrocław odbudujemy za 800 lat. Ale byli i tacy, którzy widzieli ogrom wysiłku: uruchomiony i żywszy niż dawniej przemysł, ośrodek nauki wielokrotnie przewyższający stan sprzed wojny, optymizm i inicjatywę wrocławian — to wszystko, z czego możemy być naprawdę dumni. Byli wśród tych przyjaciół Rosjanie, Anglicy, Francuzi, Amerykanie i Hindusi. Wszyscy oni ponieśli w świat prawdę o polskim Wrocławiu.

W roku 1948, w czasie Kongresu Intelektualistów, między wieloma znakomitościami miałem szczęście widzieć Michała Szołochowa. Wielki pisarz, wyrażając prawdę, że dzieło pokoju, zaczęte na Kongresie, jest sprawą dobrą i świętą, w paru słowach powiedział wszystko o naszym mieście: „zamieczatielnyj gorod, choroszyje ludi".

★

Mieszkamy i pracujemy we Wrocławiu, mieście, które żyje i rośnie z pożytkiem dla nas wszystkich. Z korzyścią dla dzieła, o którym mówił Szołochow. Ziemie bowiem, na których mieszkamy, ich całość i nienaruszalność — to sprawa nie tylko nasza, nie tylko Polski. Rozumieją to dzisiaj wszyscy rozsądnie myślący. Nie tylko nasi przyjaciele. Zaczynają rozumieć to nasi wrogowie.

Władysław Bielowicz



Halina Piechowska (Anna) i Adam Wolańczyk (Piotr) we wrocławskim spektaklu „Pamiętnika Anny Frank" reżyserowanym przez Halinę Dzieduszycką.

(fot. Adam Pałczyński)

nad książkami

Dezinformator historyczny o 300 miastach

Ukazało się nowe wydanie dziwacznej książki dr Władysława Jana Grabskiego pt. „300 miast wróciło do Polski” *). Dziwaczność tego płodu polega na tym, że powstał on ze skrzyżowania słownika geograficznego i rocznika statystycznego ze zbiorem legend o miastach i genealogią możnowładców.

Ani to literatura piękna, ani rzetelny informator. Autor w przedmowach z dumą podkreśla, że „wielu publicystów, informatorów, nauczycieli, mówców korzystało w setkach artykułów i przemówień” z jego pracy, a ponadto powołuje się na pismo Ministerstwa Oświaty z roku 1948, zalecające tę książkę do bibliotek nauczycielskich. Byłby to powód do zadowolenia, gdyby to była dobra książka.

Trzecie, poprawione i uzupełnione, wydanie, opatrzone „milenialnymi” datami 966—1966, niestety, jak i wydania poprzednie, roi się od informacji bałamutnych.

Naprzód — nie wiadomo, dlaczego 300 miast. Trudno odkryć, jaką zasadą kierował się autor w ich doborze. Nie są to bowiem wszystkie osiedla, które w przeszłości były miastami. Brak np. Chełmska, Bolesławowa, Dobromierza, Lewina Kłodzkiego, Przemkowa, Prusic, Otyni, Sułowa, i wielu innych. Nie są to również wszystkie miasta i tzw. osiedla miejskie współczesne (brak m. in. Gogolina, Kuźni Raciborskiej, Zawadzkiego). Spośród dawnych miejsc targowych autor wymienia tylko Prószków i Karłowice w województwie opolskim (pomija natomiast kilkanaście innych, jak Pokój, Strzeleczki, Ścinawka; w województwie wrocławskim — Cerekwica, Uraz i inne). Do listy miast odzyskanych dołączył Bralin, który w okresie międzywojennym należał do Polski.

Dalej — autor nie zdradza tajemnicy, na jakich źródłach oparł swoją pracę. Z tekstu można się domyślić, że połowa informacji pochodzi ze starego „Słownika geograficznego”, reszta zaś z różnych przygodnie zgromadzonych kronik i przewodników. Wyznanie, że pisał tę pracę „nie szczędząc trudu i serca”, niestety, nie zastępuje niezbędnej w tego rodzaju wydawnictwie dokumentacji.

Przeglądając tylko pobieżnie teksty dotyczące miast śląskich wynotowałem takie rewelacje:

Okazuje się, że w okolicach Bolesławca występuje węgiel kamienny. Poza tym eksploatowano węgiel kamienny w okolicy Lwówka, Niemczy i Kamiennej Góry, która podobno leży na Przedgórzu Wałbrzyskim. W Nowej Rudzie autor znalazł kopalnie rudy miedzianej i żelaznej, a w Sobótce marmur o ciemnej zielonej barwie. Ponadto marmur eksploatowany był w Strzelinie. Oborniki Śląskie leżą pod Górami Sowimi, Kłodzko u źródeł Nysy i u wylotu wąwozu kłodzkiego, Kudowa na linii kolejowej Wrocław—Praga, Gryfów leży nad Krzywą Elzą, a Strzegom nad Strzygłowską Wodą, Prudnik wpływa do Brudnej itp.

Już z tych przykładów chyba dostatecznie wynika, że informacje geograficzno-gospodarcze nie są zbyt dokładne.

Może zatem część historyczna stanowi mocną stronę pracy Grabskiego?

Pierwszym obowiązkiem historyka jest odróżnianie legend od faktów udokumentowanych, czego nie czyni Grabski. Z jakich to źródeł zaczerpnął autor takie informacje, jak np. o bramie miejskiej z XII w. w Lubinie, o ratuszu w Dzierżoniowie z r. 1203 i kościele z r. 1159, o założeniu Jeleniej Góry w r. 1108? Byczynę pomylił z Ryczynem (wiadomość o biskupstwie). Wśród zabytków wymienia fragmenty murów obronnych w mia-

---

*) Dr Władysław Jan Grabski: 300 miast wróciło do Polski. Pax, Warszawa 1960, s. 660 + 1 mapa.

stach, które nie posiadały murów, jak Twardogóra, Kietrz czy Wałbrzych, kościół romański w Toszku i wiele innych nie istniejących.

Nie chcę już dalej wyliczać błędnych dat i bałamutnych informacji. Istotne nieporozumienie polega po prostu na tym, że dr Grabski nie jest dostatecznie teoretycznie przygotowany do pracy nad miastami, nie zna nowszych metod i wyników badań urbanistyki historycznej. O genezie i rozwoju miast pisze, jak wielu kronikarzy z ubiegłego wieku. Interesują go przeważnie legendy o początku miasta, feudalni władcy, ich koligacje rodzinne, wojny, klęski żywiołowe, herby, pieczęcie i... cuda. Zupełnie pomija wartość poznawczą planów miast i ich architektury, nie wykazuje znajomości dawnych i obecnych funkcji miastotwórczych.

Niewiele też ma autor do powiedzenia, jeśli idzie o dokumentację polskości omawianych miast, co — jak twierdzi we wstępie — miało być głównym celem tej pracy. Polskość — to w rozumieniu Grabskiego przede wszystkim średniowieczni książęta polscy, którym poświęca większość tekstu przy opisie miast.

Natomiast prawie zupełnie pomija bujne przejawy zorganizowanego życia polskiego w XIX i XX w. w takich ośrodkach, jak Opole, Racibórz, Olesno, Dobrodzień, Strzelce. Ani słowa o Związku Polaków, o szkołach, o bankach ludowych, kołach śpiewaczych, towarzystwach oświatowych, a nawet polskich towarzystwach katolickich, które posiadały swoje centra w tych miastach.

Do ewangelików odnosi się z wielkim uprzedzeniem, z reguły uważając ich za Niemców. Nie znalazł miejsca na podkreślenie wielkich zasług dla rozwoju kultury polskiej na Śląsku pastorów kluczborskich, brzeskich, byczyńskich, oleśnickich i innych, jak Koellingowie, Cochlovius, Fiedler i Badura.

Od czasu do czasu częstuje czytelnika refleksjami dziwnie brzmiącymi w wydawnictwie „słownikowym". Np. w związku z górą Sobótki pisze: *„Wiele sprawiedliwości i współczucia w wejrzeniu na bałwochwalcze kulty naszych przodków daje wiara, że Stwórca miał ludy pogańskie w osobliwej pieczy do chwili, gdy za wolą Opatrzności zetknęły się one z Dobrą Nowiną"* lub: *„Gdyby na tronie polskim siedział wówczas któryś z Bolesławów, a nie Jagiellon, neofita i neo-Polak, dzieje Europy mogły potoczyć się zgoła inaczej".*

Nie brak też podawanych poważnym tonem informacji o różnych cudach, jak np.: *„Na całym Śląsku rozsławił Szprotawę cud, jaki się tam wydarzył w roku 1558, kiedy to na oczach całego tłumu wiernych Hostia uleciała z rąk wątpiącego księdza i uniosła się w powietrze i dopiero na gorące modły zakonnic opadła do kielicha..."*

Czas już podnieść poziom wydawnictw informacyjnych i popularno-naukowych o ziemiach zachodnich. Tandetą nie zaspokoimy głodu tych informacji w kraju i za granicą.

Stefan Golachowski

„MARGINES" MIKULSKIEGO

Podtytuł nazywa ją „Szkicami śląskimi", jej tytuł brzmi literacko i metaforycznie: „Temat Wrocław". *) Mówię o nowej książce, którą ostatnio wydało Ossolineum. Jest to obszerny wybór prac „śląskich" Tadeusza Mikulskiego, poza jednym wyjątkiem drukowanych już poprzednio w prasie codziennej i periodycznej lub w innych publikacjach zbiorowych.

Książka zawiera 62 szkice ozdobione przeszło 30 dobrze na ogół wykonanymi ilustracjami, uzupełnione — zestawioną przez Zofię Mikulską — „Śląską bibliografią prac" autora (nb. jej tytuł winien brzmieć raczej: „Bibliografia prac śląskich") i indeksem nazwisk, poprzedzone rysem wyspecjalizowanej biografii naukowej pt. „O pracowni śląskiej Tadeusza Mikulskiego", napisanym przez Bogdana Zakrzewskiego.

Istotnym składnikiem tej oprawy edytorskiej jest rozprawa wstępna profesora Zakrzewskiego. Dla dwóch powodów. Bliższy: ułatwia ona zrozumienie koncepcji książki, a przez to jej lekturę czyni bardziej celową. Dalszy: stanowi pierwszą — co prawda fragmentaryczną, ale za to udokumentowaną — próbę charakterystyki „wrocławskich lat" Tadeusza Mikulskiego [1]).

Jakkolwiek znałem warsztat pisarski autora książki od dość dawna i — jak sądziłem — względnie dobrze, rozprawa Bogdana Zakrzewskiego trochę mnie zaskoczyła. Oto okazuje się z niej, że „Te-

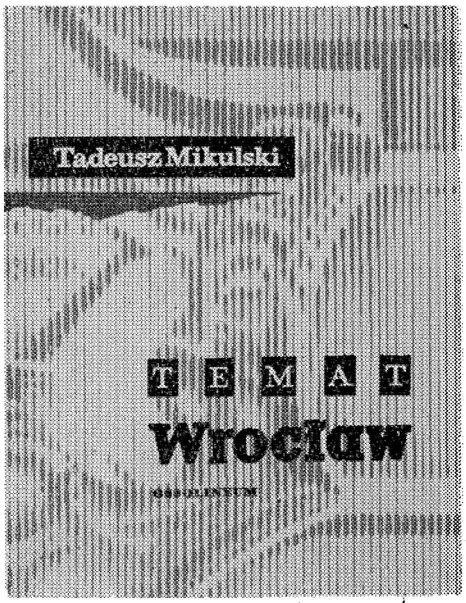
*) Tadeusz Mikulski, Temat Wrocław. **Szkice** śląskie. Wybrał i wstępem opatrzył Bogdan Zakrzewski. Wrocław 1961. Zakład Narodowy im. Ossolińskich — Wydawnictwo, s. 467+17 kart ilustracji.

mat Wrocław", to znaczy margines „regionalny" najwybitniejszego w swoim pokoleniu historyka literatury polskiego Oświecenia — posiadał szerokość, która pozwala mówić nawet o p r a c o w n i śląskiej Mikulskiego. Dotychczas z owym „marginesem" odruchowo kojarzyło mi się zestawienie: Mikulski — „Spotkania wrocławskie". Że było to kojarzenie w naszym mieście częste, dowodzi dowcipny wiersz satyryczny Antoniego Burdy, pt. „Z powodu wyjazdu Anny Kowalskiej", drukowany przed kilkoma laty w „Słowie Polskim". Strofkę czwartą zaczyna tam dystych: „Mikulski na razie wyjechać się wzbrania, wstrzymują go bowiem »Wrocławskie spotkania«". Że było to kojarzenie bardzo uproszczone, przekonuje zarówno wywód Zakrzewskiego, jak i fakt istnienia „Szkiców śląskich".

„Szkice" zostały podzielone na dwa zasadnicze bloki, wyodrębnione tytułami: „Z przeszłości" i „Dzień dzisiejszy". Granicę między blokami stanowi, jak łatwo zgadnąć, rok 1945. Przypadkowo nie jest to jedyny między nimi wyróżnik — poza tym większość prac zgrupowanych pod pierwszym tytułem ma charakter naukowy, podczas gdy „Dzień dzisiejszy", jeśli nie liczyć recenzji, skupia przeważnie publicystykę kulturalną. Zostawiając ocenę części naukowej „Szkiców śląskich" pismom naukowym, zatrzymajmy się na chwilę przy publicystyce. Oczywiście, nie miejsce tu na jej analizę bardziej dokładną. Chciałbym jedynie wskazać na trzy ogólniejsze właściwości wystąpień publicystycznych Tadeusza Mikulskiego. Wiążą się one raczej (ale nie wyłącznie!) z warsztatem pisarskim autora.

Zacznijmy od właściwości najbardziej widocznej, niejednokrotnie podkreślanej już przy omawianiu innych książek Mikulskiego. Jest nią piękny język. Zwarty, niekiedy nasycony metaforą, a mimo to jasny (drobny przykład: „[Gałczyński] Rzeźbił tekst jak snycerz drzewo, jak rzeźbiarz kamień — i nie ma żadnej dowolności w tej metaforze"; s. 408), z dobrze rozłożonymi akcentami emocjonalnymi i logicznymi. Dla posmakowania go przeczytajmy bodaj szkic pt. „Maria Dąbrowska we Wrocławiu". Prawdziwa uczta!

Właściwość druga — to dokładność w traktowaniu tematu. Mikulski pisze: „Rozmowa z Gałczyńskim! Jakże doskonale pochwyciła jej charakter Anna Kowalska w swoim dzienniku pod datą 7 marca 1952". I dalej: „Z wyrazistością doskonałą został mi w pamięci ostatni ranek, w sobotę 8 marca" (s. 409). Filolog przeziera prawie z każdego zdania.



Okładkę projektował
Wiesław Zajączkowski

Nie trzeba przekonywać, że dzięki temu autor zostawia po sobie materiał o wartości dokumentalnej.

Mikulski nie próbuje odkrywać Ameryki — tak określiłbym trzecią właściwość jego szkiców publicystycznych. W swoich wystąpieniach stara się on bodaj w paru zdaniach pokazać, czy i co mówiono na dany temat przedtem. W takiej metodzie postępowania powinno się dostrzec i objaw erudycji, i chęć pokwitowania trudu poprzedników, i wreszcie, co chciałbym uwydatnić najsilniej, historyczne traktowanie każdego zagadnienia. Ów historyzm bardzo publicystykę Mikulskiego pogłębia.

Z jakimi tematami się ona wiąże? Najczęściej z życiem literackim — czy to w formie wspomnień o wrocławskich „przelotach" współczesnych pisarzy (Dąbrowska, Gałczyński), czy w postaci okolicznościowych wypowiedzi o „czwartkach literackich" (trzykrotnie) lub o nowych książkach. Kilkakrotnie goszczą w zbiorze teatralia (m. in. esej o Edmundzie Wiercińskim). Dość częstej sposobności do szkicu dostarczały zbiory ossolińskie. Wszystkich tematów jednorazowych (np. „W sprawie pomnika Fredry", „Nagroda literacka „Odry") wymienić oczywiście, nie sposób.

Jakkolwiek można mieć do książki pewne zastrzeżenia typu redakcyjnego, nie przeszkadza to w wypowiedzeniu pod adresem Wydawnictwa następującego

wniosku: drukując „Szkice śląskie” Ossolineum zachowało się ładnie zarówno wobec pamięci Tadeusza Mikulskiego, swego długoletniego współpracownika i konsultanta naukowego, jak i wobec źródeł do najnowszej historii Wrocławia. Rzecz wielce na czasie, bo pora właśnie na pisanie tej historii.

Jan Gawałkiewicz

---

1) Przy sposobności pozwalam sobie wyprecyzować charakter współpracy Tadeusza Mikulskiego z „Rocznikiem wrocławskim”. Otóż Mikulski na prośbę TMW, wyrażoną za pośrednictwem Mieczysława Markowskiego, zorganizował zespół redakcyjny „Rocznika”, zachowując w nim, nie ujawnioną na okładce, funkcję redaktora naczelnego. Mimo że już w czasie produkcji drukarskiej tomu I choroba nie pozwoliła mu tej funkcji wykonywać w praktyce, jeszcze 30 czerwca 1958 r. (dwa miesiące przed śmiercią) wypowiadał w liście pewne uwagi na temat tomu I oraz planował autorsko tom II.

ŚLĄSKI LEKSYKON

Z prawdziwą radością witamy ukazanie się książki, która bez jakiejkolwiek przesady zasługuje na miano śląskiego leksykonu*). Haseł znajdujemy w nim co prawda tylko pięć, ale streszczają one elementarną, zresztą nieźle rozbudowaną wiedzę o tym, czym był Śląsk dawny i czym jest Śląsk dzisiejszy.

Henryk Zieliński dał więc przegląd losów Śląska od czasów najodleglejszych, akcent szczególny kładąc na walce o przynależność państwową i polskość ziem śląskich. Franciszek Ryszka zajął się latami ostatniej wojny i międzynarodowymi decyzjami, które przesądziły o powrocie Śląska do Polski. Stefan Golachowski przedstawił stosunki ludnościowe Śląska w przekroju historycznym, wiele miejsca poświęcając problemom narodowościowym w okresie zaboru niemieckiego oraz powojennym procesom osiedleńczym. Józef Kokot omówił gospodarkę na Śląsku, ukazując rozwój głównych jej dziedzin na szerokim tle dziejowym. Wreszcie Ewa Maleczyńska napisała rozdział poświęcony kulturze na Śląsku i kulturze śląskiej, również sięgając daleko w głąb milenium.

Jak widać, zespół autorski skompletowano starannie, dobierając do jego składu osoby o istotnych kompetencjach, każde bowiem z tych nazwisk ma w problematyce śląskiej ustaloną już od dawna pozycję. Zarazem też taki zespół autorski tłumaczy silne przechylenie treści owego leksykonu w kierunku historii, bowiem troje spośród autorów to historycy, a dwaj pozostali wykazują poważne zainteresowania dla historii, ekonomicznej czy społecznej.

Uwagi tej nie trzeba traktować jako wyraźny zarzut. Wrażenie przewagi elementu historycznego jest może raczej skutkiem układu kompozycyjnego, gdzie podział na części oparto o zasadę rzeczową, nie chronologiczną. stąd każdy kolejny rozdział (wyjąwszy, by tak rzec, programowo historyczny rozdział pióra Henryka Zielińskiego i w przeważającej mierze analogiczny — Franciszka Ryszki) zaczynać się musi od obszernej partii historycznej. Wydaje się, że korzystniejszy byłby np. dwudzielny układ na zasadzie chronologicznej: Śląsk wczoraj, Śląsk dzisiaj — przy dalszym wewnętrznym podziale na rozdziały według zasady rzeczowej (demografia, gospodarka, kultura). Oczywiście nie ma mowy o rugowaniu historii, zwłaszcza najnowszej, rzecz się sprowadza po prostu do sprawy troski o większą przejrzystość kompozycji nawet tego samego materiału treściowego.

Natomiast zupełnie już określoną pretensję zgłaszam pod adresem — nie wiem: wydawcy czy redaktora naukowego — o brak wstępu, który by nie tyle tłumaczył sens przedsięwzięcia wydawniczego, publikacji monograficznej o Śląsku, ile samo znaczenie pojęcia „Śląsk”. Interesujące refleksje Ewy Maleczyńskiej na temat jedności i wewnętrznego zróżnicowania obszaru historycznego Śląska, ograniczone wprawdzie do zagadnień kulturalnych, warto chyba było znacznie poszerzyć i rozwinąć. Rzecz tym bardziej pożądana czy nawet niezbędna, gdy mowa o pojęciu, którego sens dzisiejszy różni się od historycznego (i to jeszcze różnego w różnych epokach), a co do dzisiejszego — także opinie nie są bynajmniej

---

*) „Śląsk, walka wyzwoleńcza — gospodarka — kultura”, redaktor naukowy Stefan Golachowski, Ossolineum, Wrocław 1961, str. 228.

zgodne. Nie sądzę, by nie można było przy tym uniknąć pewnych stwierdzeń kategorycznych nie znajdujących powszechnej zgody, czego może obawiał się wydawca, wystarczyło by chyba po prostu powiedzieć właśnie o różnych znaczeniach nadawanych temu samemu terminowi.

Praktycznie autorzy partii współczesnych książki przyjęli za Śląsk trzy województwa odpowiadające w przybliżeniu (zresztą bardzo niedoskonałym, exemplum: Katowice z Sosnowcem i Częstochową!) obszarowi historycznego Śląska i potocznie określane jako województwa śląskie. Ich rola w gospodarce i kulturze Polski Ludowej jest wręcz kapitalna. To rzecz niby znana, szczegółowa dokumentacja tej tezy, zawarta zwłaszcza w rozdziałach o gospodarce i kulturze na Śląsku, wnosi tu niezmiernie interesujący materiał dowodowy. Z zawodowego niejako obowiązku miałbym co prawda ochotę i tu pokręcić nieco nosem, że trochę za wiele w obu tych rozdziałach wyliczeń nazw, a stosunkowo za mało analizy rzeczowej czy problemowej, jak tam kto woli.

Jeszcze parę uwag natury bardziej szczegółowej. Chyba tylko przez przeoczenie nie opatrzono książki mapą Śląska, być może warto było dać nawet dwie mapy — współczesną gospodarczą i historyczną. Ponadto wytknąć wypada pewną, zresztą niewielką, ilość błędów czy niedopatrzeń redakcyjnych. I tak w rozdziale o gospodarce błędna pisownia Lubiń zamiast Lubin (ten od miedzi), moc elektrowni Turów osiągnie 1400 MW, nie 1000 MW, pominięto też całkowicie przemysł elektroniczny, a



Okładkę projektował Ryszard Gachowski

przecież Dolny Śląsk i szczególnie Wrocław jest drugim po Warszawie ośrodkiem polskiej elektroniki. W rozdziale o kulturze zwraca uwagę niekonsekwentne nazewnictwo wrocławskiej dzielnicy: Ołbin obok Elbląg, szkoda też, że zbyt po macoszemu potraktowano telewizję, że o wrocławskiej wytwórni filmowej nie znajdujemy ani słowa. Ale to już doprawdy drobiazgi, chociaż dokuczliwe, gdy chciałoby się móc powiedzieć o tym skądinąd bardzo cennym „leksykonie śląskim", że jest bez jakichkolwiek skaz.

Jan Kaczmarek

SZKICE PIONIERSKIE

Nikt jeszcze do tej pory nie napisał książki, która by omawiała bliżej historię Polaków we Wrocławiu w okresie między dwoma wojnami światowymi. Pojawiały się wprawdzie tu i ówdzie artykuły na ten temat, ale nie dawały one pełnego obrazu walki Polaków wrocławskich w obronie ich narodowej odrębności. Dotkliwie odczuwaną dotąd lukę w poważnej mierze — acz niezupełnie — wypełnia książka Mariana Orzechowskiego „Szkice z dziejów Polonii wrocławskiej"*).

Warto podkreślić, że autor podjął się niezwykle trudnego zadania, gdyż materiał źródłowy jest w dużym rozproszeniu; trzeba było więc prześledzić poważną ilość czasopism i materiałów archiwalnych.

Orzechowski nie rości sobie pretensji do pełnego, syntetycznego ujęcia historii Polaków wrocławskich we wspomnianym okresie (syntezę taką musi poprzedzić niezwykle żmudna jeszcze praca poszu-

---

*) Marian Orzechowski: „Szkice z dziejów Polonii wrocławskiej". Towarzystwo Miłośników Wrocławia, Biblioteka Wrocławska t. II, Ossolineum, Wrocław 1960, s. 208.

kiwawcza nad gromadzeniem materiałów źródłowych). Właśnie dlatego książka posiada charakter „szkiców", co znalazło zresztą swój wyraz w tytule. Niemniej owe szkice dają — w oparciu o szczegółowy materiał faktograficzny — ogólny przegląd dziejów Polaków wrocławskich, a częściowo także w ogóle dolnośląskich w latach 1918—1939.

Uwagę czytelnika zwraca obfite cytowanie obszernych często fragmentów źródłowych. Autor czyni to w sposób bardzo zgrabny kompozycyjnie, gdyż owe cytaty nie tylko nie rozbijają spoistości tekstu, lecz przeciwnie — przyczyniają się do bardziej plastycznego przedstawienia opisywanych faktów. Cytowane fragmenty źródłowe posiadają jedną jeszcze zaletę: przemawiają wprost, ich siła dowodowa jest nieodparta. Tekst książki ma charakter sprawozdawczej, relacjonującej narracji. Autor stara się przede wszystkim podać dużo faktów, szczegółowo je opisać, w komentowaniu natomiast jest raczej powściągliwy.

Problematyka książki jest bardzo bogata: warunki materialne Polaków wrocławskich, ich życie organizacyjne, działalność polityczna, rozwój polskich organizacji młodzieżowych, akademickich, politycznych, gwałty dokonywane bezkarnie na ludności polskiej często pod okiem oficjalnych czynników niemieckich...

Po przeczytaniu książki Orzechowskiego nie można oprzeć się przekonaniu, że historia Polonii wrocławskiej w okresie międzywojennym to historia martyrologii. Tak też było w rzeczywistości. Władze niemieckie starały się tłumić najdrobniejsze przejawy życia polskiego w sposób stawiający nieraz Polaków poza nawiasem obowiązującego wówczas w Niemczech prawa. Tym większy podziw budzi w nas ich naprawdę bohaterska postawa.

Poza podstawowym szkicem o Polonii wrocławskiej w latach 1918—1939 książka Mariana Orzechowskiego zawiera jeszcze trzy mniejsze prace. Jedna z nich jest poświęcona dziejom kultu Adama Mickiewicza we Wrocławiu, druga opisuje kontakty Józefa Ignacego Kraszewskiego z Polonią wrocławską, trzecia jest zarysem działalności wrocławskich towarzystw śpiewaczych „Lutnia" i „Harmonia". Te interesujące przyczynki historyczno-kulturalne wzbogacają naszą wiedzę o trwałej obecności elementu polskiego we Wrocławiu.

Wreszcie należy pokwitować z uznaniem wykaz literatury do historii Polaków na Dolnym Śląsku w XIX i XX wieku, zamieszczony na końcu „Szkiców z dziejów Polonii wrocławskiej". To pozycja bardzo pożyteczna.

Mieczysław Pater

ROCZNIK WROCŁAWSKI

Ukazał się trzeci tom „Rocznika Wrocławskiego"; ma on przy tym liczbę podwójną i obejmuje lata 1959—1960 *). Jest to dobra okazja, by przyjrzeć się temu wydawnictwu jako serii edytorskiej, która miała już czas wykształcić i częściowo zrealizować swoje podstawowe założenia.

Deklaracja, która otwiera pierwszy rocznik (1957), posiada, z przyczyn zrozumiałych, charakter jak najbardziej ogólny i nie można jej traktować jako miary przydatnej do rozważań szczegółowych. Określa ona zadania „Rocznika" w sposób przyjęty dla wszystkich tego rodzaju publikacji regionalnych mających na celu „pokazywanie przeszłości, teraźniejszości i perspektyw rozwojowych... miasta...", nie cofając się też przed esejem na tematy kulturalne, ani przed pewnego typu problematyką polityczną (w tym wypadku będą to stosunki polsko-niemieckie). Dodać jeszcze należy, że redaktorzy „Rocznika" wprowadzili do komunikatu wstępnego wyraźne zastrzeżenie, iż nie pragną narzucić wydawnictwu charakteru naukowego, że zależy im raczej na popularyzacji wyników badań dotyczących regionu.

W tomie pierwszym przeważa problematyka historyczna, jedynym akcentem współczesnym jest artykuł o perspektywach urbanistycznych południowych dzielnic miasta. Kronika, poza sprawozdaniami z działalności Towarzystwa Mi-

*) „Rocznik Wrocławski", tom. III—IV, 1959/1960, Towarzystwo Miłośników Wrocławia, Wrocław 1960, s. 456.

łośników Wrocławia (wydawcy „Rocznika") i paroma innymi, zawiera bardzo pożyteczny „Diariusz kultury Wrocławia za rok 1956".

Tom drugi charakteryzuje znaczne wyrównanie proporcji. Problematyka współczesna jest reprezentowana co najmniej równie obszernie jak historyczna. Są więc materiały dotyczące aktualnych problemów gospodarczych Wrocławia i perspektyw jego rozwoju, zagadnień zagospodarowania Odry, planów zabudowy dzielnicy staromiejskiej. Historia zresztą zajmuje miejsce wcale poczesne, by wymienić tylko szkic o bitwie na Psim Polu czy odkryciach archeologicznych we Wrocławiu. W dziale kronik zamieszczono materiały I Zjazdu Pisarzy Ziem Zachodnich w Dusznikach, kronikę wymiany kulturalnej Wrocławia z zagranicą, diariusz kultury za rok 1957.

Trzeci tom (1959—1960) poświęcony jest tematyce współczesnej już w stopniu przeważającym. Na szczególną uwagę zasługuje praca Sz. Bronsztejna i Reginy Daszkiewicz o stabilizacji załóg robotniczych we wrocławskich przedsiębiorstwach przemysłowych oraz Zofii Szapajtis monografia socjologiczna załogi Pafawagu. Interesujące również są wyniki badań ankietowych wśród pracowników handlu m. Wrocławia, opracowane przez Stanisławę Bartosiewicz, Sz. Bronsztejna i Danutę Piegat. Kilka pozycji prezentuje dorobek 15-lecia Dolnego Śląska w gospodarce, nauce i kulturze. Obszerny szkic Ignacego Rutkiewicza przedstawia przebieg działań wojennych na Śląsku i oblężenie Wrocławia zimą i wiosną 1945 roku. „Kronika" przynosi sprawozdania z działalności kilku stowarzyszeń naukowych i kulturalnych, ale brakuje w niej diariusza kultury.

Z tego możliwie najkrótszego i bardzo powierzchownego opisu zawartości trzech tomów „Rocznika" wyciągnąć można dwa wnioski. Pierwszy to oczywiste stwierdzenie, że problematyka współczesna zaczyna przeważać nad tematyką historyczną i jest to niewątpliwie zjawisko pozytywne. Po drugie jednak odnosi się wrażenie, że rozwój ten jest nieco żywiołowy, to znaczy, że wciąż jeszcze nie istnieje jakiś zespół stałych zasad określających koncepcję wydawnictwa.

Chciałbym być dobrze zrozumiany. Publikacja typu „Rocznika" może mieć dwojaki charakter. Albo stanowi coś w rodzaju archiwum, zamieszczającego wszelkie wartościowe materiały dotyczące regionu, albo też staje się serią wy-



Okładkę projektował
Ryszard Gachowski

dawniczą narzucającą sobie znacznie ostrzejsze rygory. Obie te możliwości są pełnoprawne i na swój sposób uzasadnione. Jeśli więc sądzę, że możliwość druga, choć trudniejsza, jest jednocześnie właściwsza, że bardziej odpowiada potrzebom i randze środowiska kulturalnego Wrocławia, nie ma w tym oceny dotychczasowej działalności „Rocznika". Znajdujemy się bowiem w sferze nie sporów, lecz postulatów.

Drobnym, choć jaskrawym przykładem ulegania zespołu redakcyjnego koncepcji archiwalnej, jest dla mnie brak w ostatnim tomie diariusza kultury. Widzę w tym jakieś wyrzeczenie się systematycznej informacji o ruchu kulturalnym miasta, podczas gdy właśnie publikacja o tej częstotliwości, objętości i ciężarze gatunkowym powinna dążyć nie tylko do systematycznej informacji, ale i sumarycznej oceny zjawisk artystycznych i ruchu kulturalnego. Gdzież, jeśli nie w „Roczniku", jest miejsce na stały przegląd działalności teatrów, opery, operetki i filharmonii, na zbiorcze omówienia wystaw plastycznych, książek pisarzy wrocławskich, na odnotowanie ważniejszych wydarzeń kulturalnych, takich na przykład, jak III Zjazd Pisarzy Ziem Zachodnich w maju roku 1960? Te ro-

czne zestawienia i próby oceny powinny, w moim przekonaniu, mieć charakter stały, powinny stanowić trzon każdego tomu. Właśnie „Rocznik”, nie wymagający ocen pośpiesznych i nie uporządkowanych, stać się powinien w przyszłości podstawowym materiałem dla badań nad życiem kulturalnym Wrocławia. Ma z natury rzeczy inne zadanie do spełnienia niż tygodnik czy nawet miesięcznik.

Szczególnie wdzięcznym materiałem dla tego rodzaju rozważań i postulatów jest właśnie tom najnowszy. Poza szkicami historycznymi, popularno-naukowymi i socjologicznymi poświęcony został piętnastoleciu miasta. Prócz wspomnianego szkicu Ignacego Rutkiewicza, materiały związane z tym nurtem tematycznym (Kazimierza Szarskiego „Piętnastolecie Uniwersytetu Wrocławskiego”, Ewy Kofin „Wrocławskie środowisko muzyczne”, Eugeniusza Gepperta „O plastyce wrocławskiej”, w pewnym zaś sensie także Bronisława Ostapczuka „Funkcje Dolnego Śląska w gospodarce narodowej PRL”) mają mniej lub bardziej charakter uroczystej okazjonalności, właściwej życzliwemu i spokojnemu nastrojowi każdego jubileuszu. Wyraźnie brak w najnowszym „Roczniku” prac, które by do tematu piętnastolecia podeszły z cięższym nieco uzbrojeniem, z zamiarem szczegółowej analizy i ostrzejszej, syntetycznej oceny. W końcu ani lista nazwisk podanych na zasadzie wyboru, ani lista faktów sporządzona w myśl tej samej zasady, nie jest niczym innym, jak zgrabnym wykręceniem się sianem. Piętnastolecie zostało w „Roczniku” w miarę obszernie odnotowane, ale bynajmniej nie jest w nim istotnie obecne.

Jak można sądzić, „Rocznik” znajduje się ciągle jeszcze w stadium rozwoju, w stadium wyboru ostatecznej koncepcji. Wynik tego rozwoju, jego punkt dojścia, ma nieobojętne znaczenie dla życia kulturalnego Wrocławia. To przekonanie określa zarazem genezę wszelkich polemik i postulatów, z jakimi nieraz jeszcze spotkają się redaktorzy „Rocznika”.

Stanisław Brzeziński

GRANICE WOJNY

Jest rzeczą charakterystyczną, że obie nagrodzone piewszą nagrodą na konkursie Wydawnictwa MON powieści, „Kwiecień” Hena i „Skąpani w ogniu” Żukrowskiego, wracają do początków naszej najnowszej historii, do okresu tuż przed lub tuż po zakończeniu wojny, mimo że regulamin konkursu uwzględniał także tematykę współczesną w najbardziej wąskim i ścisłym znaczeniu tego słowa. Wydaje się, że nie jest to przypadek, że właśnie teraz zaczyna się okres, w którym suma naszej wiedzy i naszych doświadczeń umożliwia zachowanie dystansu i rzeczowości w selekcji faktów, pozwala odróżnić od siebie zjawiska istotne i nieważne, choć nieraz urzekające swą zewnętrzną efektownością, że — w końcu — właśnie w tamtych latach, jak w latach każdego przełomu, rozpoczął się proces krystalizacji postaw i charakterów, których wartość i obiektywną doniosłość umiemy sprawdzić dopiero dziś.

Są to oczywiście stwierdzenia nieco truistyczne, ale warto było je zanotować, aby stwierdzić, że w ten właśnie sposób można tłumaczyć odmienność powieści Hena „Kwiecień” *) w stosunku do owej niezbyt bogatej w tytuły i nazwiska, ale przecież istniejącej literatury wojennej związanej z walkami obu armii Wojska Polskiego na wschodnim froncie drugiej wojny światowej. Odmienność nie polegającą bynajmniej na odsłonięciu nowych faktów, nowych obszarów tematycznych, lecz sprowadzającą się wyłącznie do punktu widzenia, do nowej perspektywy zdarzeń.

Akcja powieści obejmuje cztery dni kwietnia 1945 roku, podczas forsowania Nysy, jej bohaterami są wyżsi oficerowie 10 dywizji WP, narrator pełni funkcje prokuratora dywizji. Już te informacje ustalają pewne zasadnicze punkty i kierunki akcji. Koniec wojny, klęska hitlerowskich Niemiec jest już tylko kwestią dni czy tygodni. Oficerowie trzeciego rzutu, nie biorący bezpośredniego udziału w walkach, zdają sobie z tego sprawę najwyraźniej. W tej sytuacji rzeczy dotychczas najprostsze i najbardziej oczywiste: cena ludzkiego życia, granice i sens dyscypliny stają się chwiejne i wieloznaczne, korzystają

---

*) Józef Hen, Kwiecień. Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, Warszawa 1960, s. 288.

z różnych układów odniesienia, zyskują nową perspektywę, perspektywę pokoju. Zawieszenie między wojną i pokojem, między dwoma systemami wartości, jest centralnym punktem powieści. To, co w warunkach wojny jest obowiązkiem czy nawet bohaterstwem, w warunkach pokoju staje się bezmyślnością lub zbrodniczą fanfaronadą, odwaga zmienić się może w lekkomyślność, surowość — w okrucieństwo. Na styku tych dwu układów wartości moralnych rodzą się najżywsze konflikty. Hen nie rozgrywa ich na płaszczyźnie sporów i rozważań, na płaszczyźnie intelektualnych dociekań — rozstawia ludzi i racje i wiąże je akcją, która zmusza do decyzji, do określenia stanowisk, i ukazuje równocześnie ich względność.

Racje podzielone są precyzyjnie. Narrator, prokurator dywizji, w cywilu adwokat, wszystkimi nićmi związany jest z machiną wojskowej sprawiedliwości, ale też cały system jego przekonań, ocen i norm moralnych ciąży ku „pokojowemu" układowi wartości. „Jestem człowiekiem starym i wojna to już nie dla mnie" — zaczyna swoje opowiadanie. Druga linia: pułkownik Czapran, ukształtowany przez wojnę i myślący wyłącznie jej kategoriami. I wreszcie trzecia: major Lipiec, realizujący konieczności stanu wyjątkowego nie z pozycji frontowej praktyki, jak Czapran, lecz z pozycji szerszych racji, racji ideowych, niezależnych od wojny czy pokoju w swej istocie, lecz zależnych w metodach działania.

Między tymi trzema punktami rozwijają się podstawowe wątki fabuły: konflikt między pułkownikiem Czapranem a młodym oficerem, którego pułkownik uderzył w twarz — i historia szeregowca, któremu grozi rozstrzelanie za niezbyt jasny wypadek dezercji z pola bitwy. Sprawa pułkownika, w istocie rzeczy błaha, choć charakterystyczna, byłaby jasna w czasie pokoju. Sprawa szeregowca byłaby jasna w czasie wojny. Wojna dogasa. Jaka miara jest właściwa?

Nie istnieje prosta odpowiedź na to pytanie i tu zaczyna się obszar ambicji pisarskiej Hena. Zastosowanie którejkolwiek z miar bywa aktem nieraz tylko formalnym. Żołnierz posądzony o dezercję w innej sytuacji może dać dowód nieprzeciętnej odwagi. Uderzenie w twarz, zniewaga, nie da się oddzielić od całego splotu stosunków łączących ze sobą ludzi. I jeśli „Kwiecień" prześwietlony jest perspektywą pokojowego układu odniesień, wyraża się to nie tylko w ostatecznym, właśnie formalnym rozwiązaniu wątków, lecz przede wszystkim w próbie zarysowania niejednoznaczności ocen i kwalifikacji moralnych, w unikaniu zbyt prostych, a przez to fałszywych sformułowań, w oświetleniu złożoności pobudek i skutków działania, w powrocie do tych humanistycznych kryteriów oceny, które bardziej niż daty i zmiany sytuacji wojennej wskazują na „nachylenie" ludzi i spraw ku pokojowi.

Obraz wojska i wojny, zarysowany przez Hena, jest więc specyficzny nie tylko dlatego, że akcja powieści umieszczona została na tyłach atakujących dywizji. Potoczystość i swoboda narracji nie zmieniają faktu, iż zamysł konstrukcyjny podporządkowuje tu sobie czasem powszechność i typowość sytuacji. Nie chodzi mi nawet o takie szczegóły, jak ten, że desant niemiecki złożony z członków Volkssturmu, a więc półwojskowej zbieraniny, może przedostać się przez rzekę na tyły zwartych formacji polskich, jakby nie wystarczył dla potrzeb Hena oddział zadekowanych maruderów. Po prostu obdzielenie jednakową uwagą uderzenia w twarz i dezercji, obdarzenie zarówno narratora, jak i niektórych jego partnerów cechami, które raczej rzadko były przywilejem ich funkcji, wszystko to wyraźniej służy intencjom pisarza niż soczystości narysowanego przezeń obrazu. Zwartość i dynamika powieści łagodzą ten kontrast, choć go do końca nie znoszą. Chodzi mi tylko o to, że jest on jeszcze widoczny, a nie, że istnieje, bo przecież zmiany w rysunku, jego odmienność od powszechnych doświadczeń, pozwalają nieraz zauważyć zjawiska ważniejsze od powierzchownej dosłowności.

Zbigniew Kubikowski

POEZJA OCZEKIWANIA I REALIZACJI

Antologia poezji łużyckiej przedstawia czytelnikowi polskiemu 18 poetów dolno- i górnołużyckich z ostatnich dwustu lat w przemyślanym wyborze Wilhelma Szewczyka. Znalazło się tu ponadto kilka pieśni ludowych. Wybór objął przede wszystkim utwory programowe, teksty

poetyckie zrodzone z ogólniejszych refleksji, z procesu odnajdywania własnej ojczyzny przez poetów łużyckich. A to właśnie najciekawszy i „źródłowy" nurt owej poezji. Odczuwamy jednak przy lekturze tomu pewien niedosyt: brak tu reprezentatywnego wyboru poezji ludowej. Z obserwacji tej wyciągnijmy wniosek pod adresem Wilhelma Szewczyka, wniosek o drugi tomik poetów łużyckich: twórców pieśni ludowej.

Łużycki tom jest lekturą uczącą i dobrze informującą (małej syntezy literackiej dokonuje wstęp wydawcy), jest ponadto lekturą poetycką. Nie przynosi ona popisów warsztatowych, jest często wtórna w pomyśle artystycznym i „łowca motywów" znajdzie tu pole do działania. A jednak jest lekturą wzruszającą, niekiedy przejmującą.

Motyw przewodni tej poezji da się sformułować w tezie: dramatyczny postulat trwania. I to jest źródłem wzruszeń. Dramatyzm prowadzi bezpośrednio w historię małych narodów słowiańskich tracących swoją odrębność etniczną w rozszerzającym się na wschód państwie niemieckim. By pełniej określić powyższe twierdzenie, przypomnijmy, że inny naród zachodniosłowiański, Połabianie, w XVIII wieku... przestał istnieć, a więc nie przetrwał. W roku 1725 chłop połabski Parum Schulce napisał epitafium dla swego narodu: „Gdy ja i jeszcze ze trzy osoby we wsi naszej pomrzemy, nikt już wiedzieć nie będzie nawet, jak psa nazwać po słowiańsku".

Łużyczanie uniknęli tej tragedii. Pozostawmy na uboczu skomplikowane pytanie: dzięki czemu jej uniknęli? Może na konsolidację narodowościową wpłynęły dawne dzieje, może zalesione bagna łużyckie chroniły swych mieszkańców? W każdym razie świadomość ludu okazała się najsilniejszym spoiwem narodowym. Tej sile społecznej zawdzięcza poezja Łużyczan swoje istnienie, w niej odnajdują poeci źródła artystyczne i kształt swojej ojczyzny.

Postulat trwania to obrona świadomości, języka i kultury, to wspólna idea poezji łużyckiej. „Naród nasz musi wiecznie trwać" — pisze Zejler, „Serb musi trwać" (Ćišinski). Tę samą myśl odnajdujemy w obrazie zwalonych wichrem starych drzew, w których „długo tajemna moc się chowa" (Kósyk) i w metaforze historycznej o Janie Husie Jana Radyserba Wjeli:

Póki się nie jął wargi dym,
Jeszcze mu z ust wylatał hymn,
Aż stos go ogniem okrył swym.

Zapytajmy: po prostu trwać, czy trwać dla określonego celu? Innymi słowy: jaki program wyzwolenia widzą poeci i czy w ogóle go widzą? Pod tym względem odpowiedź poezji jest mniej precyzyjna. Najczęściej jest to (znana i u nas w poezji XIX wieku) metafora „złotego świtu" i „innego dnia". Oczywiście dnia wyzwolenia. W języku poetyckim wystarczyło to jako motywacja postulatu t r w a n i a i o c z e k i w a n i a. Dwie piękne metafory oczekiwania wyszły spod pióra Mato Kósyka: metafora historyczna („Modlitwa Serbów przed bitwą z Geronem"), w której zbrojni Serbowie proszą słowiańskiego boga Swantewita o dzień „szczęścia i chwały" na polu bitwy, i druga metafora, baśniowa wizja („Król serbski na Błotach"):

Król serbski jeszcze dzisiaj
W głębinach góry śpi,
Lecz w wielkim blasku wstanie,
Gdy się dopełnią dni...

Trzecia wizja Mato Kósyka (starego już wówczas poety) była zdaniem tragicznym. W roku 1938 wydawało mu się, że system hitlerowski skorygował wizje poetów. Załamany wiadomościami z Łużyc, pisze wówczas: „Ostaną się pisma łużyckie niby nieme pomniki".

Rok 1945 zmienia nie tylko sytuację historyczną Łużyczan. Radykalna zmiana losu wywołuje silne przekształcenia w poezji — jak zawsze — żywo reagującej na sprawy narodowościowe przede wszystkim. Na czoło wychodzą, żywe już dawniej w tej poezji, problemy społeczne, unowocześnia się kształt poetyki, rozpoczyna rewizja tradycyjnych norm i pojęć (szczególnie w zakresie stosunku do Niemców), wreszcie trwają trudne poszukiwania realnych treści w pojęciu „nowego dnia". Piękny, nieco retoryczny, wiersz Jurija Brezana „Jak odnalazłem ojczyznę" jest znakomitą syntezą tych nowych poszukiwań.

Dodajmy jeszcze słowo o trudnym przedsięwzięciu wydawniczym Wilhelma Szewczyka. Trudnym, ponieważ niełatwo w Polsce zgromadzić literaturę pomocniczą do tego tematu (na Łużycach przetrzebili zbiory hitlerowcy). Już na początku antologii odczuwamy brak tych pomocy. Jest tu wiersz Handrija Ruški „Odjazd z Lipska" tłumaczony w roku 1779 przez S. N. Moszczyńskiego. Ma on swoją wartość historyczną: jest to pierwszy przekład z poezji łużyckiej na język obcy. Niestety, unikatowy druczek zaginął, a znany nam dziś tekst z późniejszego przedruku budzi niekiedy wątpliwości, np. przy lekturze zdania:

„... bądź pasterzem owiec: najęty tylko je goni. Papieżowi przystoi kij ...” pytamy: papieżowi, czy pasterzowi? Tłumaczenia poezji łużyckiej w Polsce (poza wspomnianym przypadkiem z wieku XVIII) rozpoczyna na szerszą skalę przed przeszło stu laty Roman Zmorski (przyjaciel Smoleria i wydawca polskiego „Stadła” w Budziszynie). Wartość jego przekładów jest bardzo różna. Uszła np. uwagi redaktora mała a irytująca nieporadność Zmorskiego:

Serby na Niemców w bój ciągnęli,
C h o ć po niemiecku nie umieli... (s. 82)

To „choć”, jak Piłat w credo. Nie ma go w oryginale:

Serbjo so do Njemcow hotowachu,
Słowćka pak Njemski ńemóžachu...

Czesław Hernas

„Antologia poezji łużyckiej”. Wyboru dokonał, wstępem i przypisami opatrzył Wilhelm Szewczyk. Wydawnictwo „Śląsk”, Katowice 1960, s. 364.

OSOBISTY ROZRACHUNEK Z HISTORIĄ

„Skąpani w ogniu” Wojciecha Żukrowskiego*) to — przede wszystkim — powieść ciekawie skonstruowana. Nie chodzi mi oczywiście o technikę, o umiejętność kompozycji, choć to też ma swoje znaczenie. Ważniejsze jest jednak samo rozstawienie „figur”, zawiązanie intrygi, w którym kryje się w sposób naturalny wielka ilość możliwości, w którym kryje się szansa przełożenia na język akcji konfliktów podstawowych, a więc już opisanych, już — zdawałoby się — wyeksploatowanych nie tylko przez literaturę, ale i publicystykę, i reportaż do samego końca.

„Skąpani w ogniu” należą do bloku powieści o pierwszym roku wolności, który nie przestaje fascynować pisarzy począwszy od roku 1948 („Popiół i diament” Andrzejewskiego), aż po wielki renesans tematu, jaki przeżywamy obecnie w literaturze i filmie. „Skąpani w ogniu” są równocześnie jedną z pierwszych ambitnych powieści o ziemiach zachodnich w okresie, który przeszedł już do legendy, okresie pionierskim. Jest to zatem książka o problematyce obszernej i różnorodnej, pełnej zasadzek i niebezpieczeństw, umiejąca jednak liczne nurty tej problematyki zespolić w akcji jednolitej i wartkiej.

Jak to się dzieje? W jaki sposób w powieści Żukrowskiego współistnieje tyle wątków, luźnych motywów, rozgałęzień głównego nurtu — bo mamy tu przecież także okupację, partyzantkę, walkę konspiracyjną?

Narrator — były oficer AK, następnie dowódca kompanii samochodowej Wojska Polskiego, stacjonującej w Katowicach — podczas jednej z akcji otrzymuje ciężki postrzał. Narrator nie wie, kto go postrzelił — wróg, czy własny żołnierz — musi więc dokonać obrachunku z niedaleką przeszłością, musi poszukać odpowiedzi na to pytanie we wspomnieniach. Jest to pierwsza, najobszerniejsza rama kompozycyjna. Konflikt z własnym żołnierzem wypływa z rywalizacji o względy dziewczyny — autochtonki, mieszkanki opolskiej wsi. Konflikt z wrogiem zmusza do trudnego i nie do końca rozstrzygniętego obrachunku z niedawnymi towarzyszami broni, którzy w wyniku tragicznego układu sytuacji znaleźli się, nieraz niezależnie od własnej woli, po drugiej stronie linii. Każdy z dwu nurtów tego obrachunku wprowadza wątek niemal sensacyjny. Każdy angażuje najściślej narratora, a jednocześnie eksponuje podstawowy konflikt tamtego czasu. Najciekawsze są oczywiście te partie książki, w których obu płaszczyzn — osobistej i historycznej — nie można od siebie oddzielić, kiedy stanowią one organiczną całość.

W ten sposób założenie konstrukcyjne „Skąpanych w ogniu” podporządkowuje na ogół wartką i potoczystą fabułę diagnozom ogólniejszym, nie pozwalając im równocześnie na oderwanie się od żywej tkanki wydarzeń, na zepchnięcie ich do roli schematycznych ilustracji.

To szczęśliwe i umiejętnie rozegrane założenie nie wszędzie jednak, jak mi się wydaje, działa z jednakową siłą. Sprawdza się bez pudła w wątku osnutym dokoła postaci dziewczyny-autochtonki,

---

*) Wojciech Żukrowski: „Skąpani w ogniu”. Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej. Warszawa 1961,

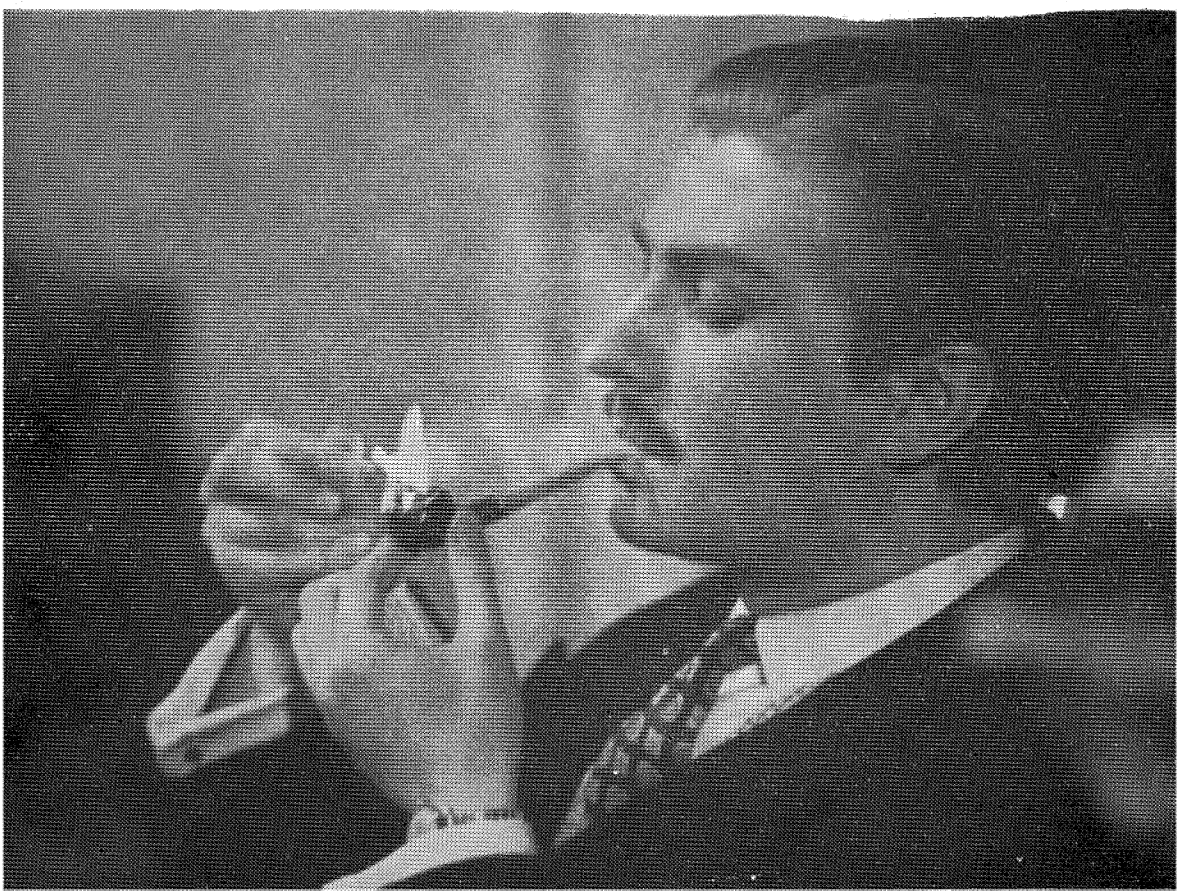
odepchniętej przez swoich, szukającej ucieczki w wyjeździe. Tutaj nie ma miejsca na żadne zbędne dopowiedzenia, bieg zdarzeń jest klarowny, logiczny i przenikliwy, pozbawiony łatwych usprawiedliwień i zbyt prostych uzasadnień. Natomiast do wątku drugiego, do układu stosunków między narratorem a jego towarzyszem z konspiracyjnych walk, Sprężyną — zakradło się sporo retoryki rozsadzającej dialogi, zakradły się zbyt prosto sformułowane uogólnienia, nazywanie rzeczy po imieniu i niepełne rozegranie ich w akcji. Właśnie tutaj nie do końca doprowadzona została zasada, tak skutecznie działająca w innych partiach powieści — a więc możliwie najdalej posunięta powściągliwość, gotowość do rezygnacji z ostatecznych rozwiązań, gdyby to musiało pociągnąć za sobą pośpieszność i ogólnikowość sądu.

Poza zasadniczymi liniami akcji nie mniejsze znaczenie ma w powieści to, co je zawsze obrasta — a więc rysunek środowiska, rekonstrukcja jego atmosfery, szkice postaci. Wojskowa baza transportowa dowodzona przez polskich i radzieckich oficerów, szoferzy i mechanicy, specyficzna społeczność połączona więzami męskiej przyjaźni i solidarności, wreszcie panorama soczystych i barwnych epizodów punktujących tło obyczajowe i ten trudny do określenia smak chwili, w której z plątaniny sprzecznych interesów, rozluźnionych więzi społecznych i norm moralnych wyłaniał się pierwszy kształt normalnego życia, postacie i sytuacje, obramowujące zasadniczy bieg akcji — wszystko to składa się na indywidualny ton prozy Żukrowskiego, wiąże „Skąpanych w ogniu" z blokiem jego książek i opowiadań stanowiących rozrachunek z wojną a zapoczątkowanych świetnym tomem opowiadań „Z kraju milczenia".

Wewnętrzne napięcie powieści, ujawniające się nawet w pęknięciach i skazach, nasycenie jej do ostatnich granic najtrudniejszymi problemami czasu, w którym przełamywały się dwa krańcowo odmienne etapy naszej najnowszej historii — wskazują, że jest to w twórczości Żukrowskiego nurt żywotny, że zaowocuje jeszcze niejedną książką.

Zbigniew Kubikowski

Igor Przegrodzki jako Karol Księżycki we wrocławskim spektaklu „Człowieka z głową" Janusza Warmińskiego reżyserowanym przez Artura Młodnickiego.
(fot. T. Skorulski)



ODZNACZENIA, NAGRODY

Zgodnie z uchwałą Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Zielonej Górze, 22 lipca br. będą przyznane po raz pierwszy Lubuskie Nagrody za Postęp Techniczny. Przewodniczącym jury został mgr Zbigniew Krzyżaniak — przewodniczący Wojewódzkiej Komisji Planowania Gospodarczego. Na nagrody przeznaczono 50 tys. złotych.

★

W marcu br. wielu przedsiębiorstwom przyznano wysokie odznaczenia. I tak Strzelińskie Kamieniołomy Drogowe zdobyły pierwsze miejsce wśród zakładów tego typu oraz sztandar przechodni ministra komunikacji i Zarządu Głównego Związku Zawodowego Transportowców i Drogowców. Sukces ten Strzelińskie Kamieniołomy zawdzięczają doskonałym wynikom w pracy. W roku 1960 wydobyły one ponad plan 27 tys. ton materiałów drogowych wartości ok. 4,5 mln. złotych.

W tym samym czasie załoga Świdnickiej Fabryki Urządzeń Przemysłowych otrzymała wspólną nagrodę ministra handlu zagranicznego i ministra przemysłu ciężkiego za osiągnięcie w roku ubiegłym najlepszych wyników w produkcji eksportowej spośród wszystkich zakładów przemysłu ciężkiego w kraju.

Wreszcie Lubuska Fabryka Zgrzeblarek Bawełnianych uzyskała pierwsze miejsce we współzawodnictwie krajowym zakładów o podobnym charakterze produkcji, a tym samym sztandar przechodni ministra przemysłu ciężkiego i Zarządu Głównego Związku Zawodowego Metalowców.

O TYLE JESTEŚMY BOGATSI

Złożone w PKO oszczędności mieszkańców województwa wrocławskiego przekroczyły kwotę miliarda złotych. Wypłacone w roku ubiegłym odsetki wyniosły ok. 18 milionów złotych. Ilość książeczek oszczędnościowych zwiększyła się w tym samym czasie o 13,5 tys. — obecnie jest ich ponad 304 tys.

Niemało korzyści z wkładów oszczędnościowych PKO mają rady narodowe. Z zysków osiągniętych przez PKO w roku ubiegłym przekazano dla terenowych rad narodowych ponad 9 mln. złotych.

★

W Fabryce Kotłów w Raciborzu już od paru lat działa brygada postępu technicznego, która zajmuje się realizacją pomysłów racjonalizatorskich. W wyniku działalności tej brygady fabryka zaoszczędziła 115 tys. roboczogodzin oraz wiele ton stali.

★

Inżynierowie zdzieszowickiej Koksochemii (woj. opolskie) wspólnie z kolegami z Zakładów Koksochemicznych „Walenty" opracowali dokumentację wibratorów elektromagnetycznych — urządzeń niezbędnych do produkcji koksu. Wibratory te były dotychczas sprowadzane z NRF w niebagatelnej cenie 200 tys. dolarów za komplet.

★

Z roku na rok wzrastają dochody zielonogórskiej spółdzielczości pracy. W latach 1958—1961 wartość jej produkcji wyniosła 440 mln złotych. Spośród wielu spółdzielni na wyróżnienie zasługuje przede wszystkim Spółdzielnia Szczotkarsko-Szczeciniarska. Zakład ten sprzedaje swoje wyroby do wielu krajów Europy i Ameryki Południowej. W roku ubiegłym wartość eksportu wyniosła milion złotych.

★

W ciągu ostatnich trzech lat w powiecie oleskim (woj. opolskie) przeprowadzono meliorację 160 ha gruntów ornych oraz 1.102 ha łąk i pastwisk. Dokonano także regulacji rzek i potoków na trzydziestokilometrowym odcinku. Powiat oleski, jako dawny niemiecki obszar przygraniczny, był pod tym względem szczególnie zaniedbany.

W POSZUKIWANIU 15 MILIARDÓW ZŁOTYCH

Powstała w ubiegłym roku Wrocławska Agencja Przemysłowa przebadała już działalność ekonomiczną 22 zakładów przemysłu metalowego na Dolnym Śląsku. Okazało się, że w objętych badaniami przedsiębiorstwach istnieją poważne rezerwy produkcyjne. Gdyby udało się skoncentrować produkcję identycznych wyrobów w jednym zakładzie i gdyby połączono kilka mniejszych przedsiębiorstw w jedno — uzyskalibyśmy wielomilionowe oszczędności. Tych właśnie problemów dotyczyły wnioski opracowane przez Wrocławską Agencję Przemysłową dla Komisji Planowania przy Radzie Ministrów. Ich realizacja wyeliminuje konieczność budowy wielu nowych zakładów (za kwotę 600 milionów złotych).

ODKRYCIA

Jeszcze przed rokiem zasoby węgla brunatnego w okolicach Lubina Legnickiego na Dolnym Śląsku szacowano na 500 milionów ton. Prowadzone obecnie dalsze wiercenia pozwalają stwierdzić, że zasoby te wynoszą co najmniej miliard ton. Przypuszcza się, iż dalsze badania wykryją jeszcze dodatkowe ilości węgla brunatnego. Łącznie byłoby to więcej niż w Zagłębiu Turoszowskim.

★

W czasie poszukiwań nowych złóż węgla brunatnego w kopalni Kaławsk (województwo opolskie) odkryto złoża węgla bitumicznego. Tego typu węgla nie wydobywaliśmy dotychczas w Polsce. Z węgla bitumicznego otrzymuje się wosk syntetyczny.

WARTO ZANOTOWAĆ, ŻE...

Jeszcze w tym roku mają się ukazać w sprzedaży pierwsze krajowe mikroskopy elektronowe typu ME-50. Prototyp takiego mikroskopu opracowano we Wrocławiu w Katedrze Elektroniki Politechniki Wrocławskiej i Przemysłowym Instytucie Elektroniki.

Powiększony przez ten mikroskop obraz oglądanego obiektu ukazuje się na specjalnym fluoryzującym ekranie, bądź pada bezpośrednio na kliszę fotograficzną, na której zostaje utrwalony dla celów dalszej analizy. Mikroskop elektronowy ME-50 to pierwsze tego rodzaju urządzenie skonstruowane w kraju. Powiększa 8 tys. razy, a więc blisko 10 razy więcej niż zwykłe mikroskopy optyczne.

★

Zakład Antropologii PAN we Wrocławiu pod kierownictwem dr Adama Wankego opracowuje mapę antropologiczną Europy, pomyślaną jako część składową mapy antro-

pologicznej świata. Na ukończeniu są już prace nad mapą antropologiczną Polski i mapą Szwajcarii. Tę ostatnią opracował prof. dr Jan Czekanowski. Wykonano również mapę antropologiczną Grecji. Obecnie na podstawie materiałów naukowych nadesłanych przez uniwersytety tych krajów opracowuje się mapy Finlandii i Irlandii.

★

W Rogach (województwo opolskie) rozpoczęły się prace przygotowawcze do budowy nowej stoczni rzecznej. Stocznia ta będzie budować różnego rodzaju barki (od małych „warmijek” do jednostek 500-tonowych), holowniki oraz statki przeznaczone do celów specjalnych — m. in. do zwalczania pożarów w portach.

★

W Zakładach Azotowych w Kędzierzynie przystąpiono już do produkcji nie wytwarzanego dotąd w kraju nawozu wieloskładnikowego, tj. zawierającego azot, fosfor i potas. Już w bieżącym roku kombinat odda rolnikom 300 ton tego nawozu. Fakt ten ma ogromne znaczenie dla podniesienia wydajności **rolnictwa.**

★

Z okazji wyborów do rad narodowych wiele zakładów przemysłowych podjęło cenne zobowiązania. Ogólna wartość zobowiązań zgłoszonych przez przedsiębiorstwa Ziemi Lubuskiej wynosi ok. 100 milionów złotych. Przedsiębiorstwa województwa wrocławskiego i opolskiego również nie pozostały w tyle. I tak np. załoga wrocławskiego M-5 zobowiązała się przepracować 26 tys. roboczogodzin przy budowie linii autobusowej Grabiszynek—Pafawag we Wrocławiu załoga huty „Małapanew” w Ozimku wytopi dodatkowo 5 tys. ton stali, a pracownicy Zakładów Azotowych w Kędzierzynie wyprodukują ponad plan 3.200 ton saletrzaku...

★

Na Dolnym Śląsku działa już 377 kół Towarzystwa Szkoły Świeckiej, w tym 313 miejskich i 64 wiejskie. Koła te zrzeszają 6.600 członków. Wśród nich najliczniejszą grupę stanowią nauczyciele (1.300 osób), później robotnicy (920), wojsko i MO (483), chłopi (135) oraz inżynierowie (91). Najpomyślniej rozwija się praca TSŚ w powiatach Góra Śląska, Wałbrzych, Oleśnica, Bolesławiec i Ząbkowice.

★

W ciągu ubiegłego roku Towarzystwo Szkoły Świeckiej zorganizowało na Dolnym Śląsku 343 odczyty (z tego 231 w ramach pracy społecznej), których wysłuchało około 18,5 tys. osób.

TO TEŻ CIEKAWE

W Jemiołowie koło Głogowa (województwo zielonogórskie) powstaje przekaźnikowa stacja telewizyjna. W finansowaniu tej inwestycji bierze udział samo społeczeństwo Ziemi Lubuskiej. Społeczny Komitet Budowy Ośrodka zebrał już kilka milionów zł.

★

Zielona Góra należy do miast, w których szybko wzrasta ilość mieszkańców. Proporcjonalnie do tego rozwija się tu budownictwo mieszkaniowe. Obecnie już jedna piąta ludności Zielonej Góry mieszka w nowych blokach.

★

Ministerstwo Handlu Wewnętrznego obliczyło, że w ostatnim kwartale roku 1960 w sklepach uspołecznionych w miastach sprzedano o 7,5 proc. więcej artykułów przemysłowych niż w tym samym okresie roku ubiegłego. Dolny Śląsk znacznie wyprzedza średni wskaźnik krajowy. W czwartym kwartale osiągnięto w województwie wrocławskim 15,5-procentowy wzrost sprzedaży artykułów przemysłowych.

★

Okazuje się, że można handlować nie tylko artykułami pełnowartościowymi. Wojewódzka Zbiornica Przemysłowa Surowców Wtórnych w Zielonej Górze dostarcza zagranicznym odbiorcom poważnych ilości zużytego ogumienia samochodowego (kupuje Szwecja), szmat sukiennych (NRF), makulatury (Austria i Gwinea), odpadków wiskozowych (USA i Włochy).

★

Jak wykazują przeprowadzone ostatnio obliczenia, plony zbóż na Ziemi Lubuskiej wyniosły w ubiegłym roku średnio 17,1 kwintala z 1 ha, buraków 263 kwintale, a ziemniaków 144 kwintale. Jest to znaczny wzrost wydajności w porównaniu z latami ubiegłymi. Dzięki uzyskaniu tych wyników lubuskie rolnictwo zajmuje obecnie piąte miejsce w kraju.

d. sid.

KRONIKA KULTURALNA

MUZYKA I MUSICALIA

ŻYWA ANTOLOGIA DAWNEJ MUZYKI POLSKIEJ

Wrocławskie koncerty dawnej muzyki polskiej, organizowane w ramach obchodów Tysiąclecia przez Wielki Chór Wrocławskiej Rozgłośni Polskiego Radia pod dyrekcją Zbigniewa Krukowskiego, spotkały się z dużym uznaniem u wszystkich krytyków, przybywających regularnie do Wrocławia celem wysłuchania tych jedynych w swoim rodzaju audycji muzycznych odbywających się w uniwersyteckiej Auli Leopoldinie. Recenzent „Ruchu Muzycznego”, Bohdan Pociej, w artykule „Wrocławska żywa antologia historii muzyki polskiej” (nr 15/1960) pisze: „... Z trzech ośrodków uprawiających systematycznie muzykę dawną (Poznań — Warszawa — Wrocław) na czoło wysunął się Wrocław ze swym Chórem Radiowym. Cykl koncertów historycznych jest w dziejach polskiego wykonawstwa imprezą bez precedensu. Cykl wrocławski zaistniał jako wynik doskonałej syntezy praktyki wykonawczej z wiedzą muzykologiczną”.

Kontynuacją cyklu chóralnego są koncerty organizowane w Auli Leopoldinie w ramach „Wtorków Muzycznych PWSM” z udziałem chóru radiowego i chóru PWSM. W ostatnim koncercie z tego cyklu wzięła udział m. in. świetna klawesynistka Danuta Chmielewska. Wykonano dzieła instrumentalne i instrumentalno-wokalne Mielczewskiego, Damiana, Polaka, Jarzębskiego oraz pierwszy raz od czasów wojny słynne oratorium Bartłomieja Pękiela „Audite Mortales”.

„MANRU” PADEREWSKIEGO W OPERZE WROCŁAWSKIEJ

Z okazji zbiegających się rocznic 100-lecia urodzin i 20-lecia śmierci Ignacego Paderewskiego Państwowa Opera we Wrocławiu przygotowała premierę jego dramatu muzycznego pt. „Manru” osnutego na tle powieści Kraszewskiego „Chata za wsią”. Kierownictwo muzyczne objął Kazimierz Wiłkomirski, inscenizacja i reżyseria spoczywa w rękach Lii Rotbaumówny, scenografia — projektu Zbigniewa Kai.

EDWARD STATKIEWICZ NA ZIEMI LUBUSKIEJ

W odbytym w Zielonej Górze koncercie orkiestry symfonicznej, który następnie został powtórzony w kilku miastach powiatowych Ziemi Lubuskiej, wziął udział znany

skrzypek Edward Statkiewicz. Wykonał on koncert skrzypcowy „Militaire” Lipińskiego. Dyrygował Zygmunt Hassa.

MUZYKA WSPÓŁCZESNA W SALONIE MUZYKI MECHANICZNEJ

We wrocławskim Salonie Muzyki Mechanicznej DTM przy Klubie Zw. Zaw. Pracowników Kultury dużym powodzeniem cieszy się cykl koncertów z płyt i taśm, poświęcony historii rozwoju muzyki XX wieku. Koncerty poprzedzane są prelekcjami i łączone z recytacjami współczesnej poezji oraz pokazami reprodukcji malarstwa i architektury.

CHOPIN NA OPOLSZCZYŹNIE

Opolska Orkiestra Symfoniczna pod dyrekcją Stanisława Michalka organizuje w większych miastach Opolszczyzny, w sanatoriach i zakładach pracy cykl koncertów, w których popularyzuje mniej znane utwory Chopina pisane na fortepian z towarzyszeniem orkiestry (np. „Rondo à la Krakowiak”). Solistą koncertów jest wrocławski pianista Piotr Łoboz.

RECITAL TADEUSZA ŻMUDZIŃSKIEGO W ZIELONEJ GÓRZE

13 marca br. Tadeusz Żmudziński dał w sali Teatru Ziemi Lubuskiej recital, na który się złożyły utwory fortepianowe Chopina, Beethovena, Brahmsa i Szymanowskiego.

NA WARSZTACIE KOMPOZYTORSKIM

Popularny kompozytor i pedagog wrocławski Ryszard Bukowski ukończył koncert na hartę z towarzyszeniem orkiestry symfonicznej. Jest to jedna z nielicznych, jeśli nie jedyna, napisana w Polsce po wojnie kompozycja tego typu.

Z TEATRÓW

POPULARYZACJA POLSKIEJ DRAMATURGII

Państwowy Teatr Ziemi Lubuskiej konsekwentnie realizuje zadanie popularyzacji polskiego repertuaru dramatycznego. Po sztukach Iwaszkiewicza, Rittnera i Korzeniowskiego przyszła kolej na Fredrę. „Dożywocie” reżyserował Alojzy Nowak, oprawę plastyczną projektował Jerzy Walter Brzoza. Premiera odbyła się 5 marca br.

★

Sygnalizowany już w naszej kronice spektakl Teatru Dolnośląskiego w Jeleniej Górze — „Balladynę” Juliusza Słowackiego — opracowała reżysersko Irena Ładosiówna, scenograficznie — Jadwiga Przeradzka; muzykę skomponował Marian Stroiński. Mimo trudnych warunków (objazdy) „Balladynę” pokazano w ciekawym kształcie scenicznym.

ARBUZOW, O'NEILL

Po dwóch komediach — „Wesele Figara” Beaumarchais i „Człowiek z głową” Janusza Warmińskiego — wystawionych w sposób lekki i bezpretensjonalny wrocławscy widzowie zobaczyli w marcu dwie sztuki z poważniejszego repertuaru:

Teatr Polski wystąpił tym razem z polską prapremierą sztuki radzieckiego dramaturga Aleksieja Arbuzowa „Irkucka historia”. Reżyserował Andrzej Witkowski, scenografia Marcina Wenzla. Walę gra Halina Dobrucka, Sergieja Sierogina — Zygmunt Hobot.

W „Rozmaitościach” sztukę O'Neilla „Księżyc dla poniżonych” reżyserowała Stanisława Zbyszewska, scenografię projektował Zbigniew Klimczyk, ilustrację muzyczną opracowała Jadwiga Szajna-Lewandowska. Jako Philipe Hogan wystąpił Józef Pieracki, w roli Jima Tyrona — Eliasz Kuziemski, a jako Josie Hogan — Danuta Zaborowska.

TEATRZYKI PRZY STOLIKU

Niewątpliwym uzupełnieniem repertuaru teatralnego tak Wrocławia, jak Opola, Zielonej Góry i Wałbrzycha są czytane czy nawet wystawiane sztuki „przy stoliku”.

Zielonogórski teatr przy stoliku „Fala” zaprezentował „Judytę” Peyret - Chapuis w reżyserii M. Straszewskiej.

Wałbrzyszanie oglądali Sartre'a „Przy drzwiach zamkniętych” w wykonaniu artystów teatru jeleniogórskiego.

W Jeleniej Górze Teatrzyk Propozycji wystawił sztukę Saroyana „Jest tam kto?”.

Wrocławski teatr eksperymentalny „Przy stoliku” przedstawił 27 marca br. „Fabiana” J. M. Coldefy'ego i „Kawiarnianą miłość” Janusza Wasylkowskiego.

„13 RZĘDÓW” WE WROCŁAWIU

W zamian za wizytę wrocławskiego teatrzyku „Kalambur” w Opolu wrocławianie mogli obejrzeć dwa spektakle opolskiego teatru kierowanego przez Jerzego Grotowskiego i Ludwika Flaszena. Poemat dramatyczny „Siakuntala” i „Misterium Buffo” można było zobaczyć w Pałacyku i Klubie Dziennikarzy.

ŻYCIE LITERACKIE

Po nowościach wydawniczych z końca ubiegłego roku, jakie opublikowało „Ossolineum”, a także inne wydawnictwa, w postaci tomików prozy i poezji pisarzy wrocławskich — uwaga piszących i czytających skierowana była na konkurs literacki i publicystyczny o ziemiach zachodnich (wyniki podajemy osobno). Między tymi wydarzeniami toczyło się normalne życie literackie, przejawiając się na zewnątrz głównie w postaci „czwartków”. Odbywają się one we Wrocławiu w Klubie Muzyki i Literatury przy placu Kościuszki i cieszą się ostatnio tak dużą frekwencją, że organizatorzy będą musieli pomyśleć o przestronniejszej sali. W ciągu marca swoje „czwartki literackie” przy ogromnej frekwencji mieli tu: Artur Sandauer, Julian Przyboś, Stanisław Jerzy Lec oraz — spośród pisarzy wrocławskich — Teofil Kowalczyk i Tadeusz Mikołajek.

★

W Zielonej Górze odbywają się regularnie „lubuskie czwartki literackie”. 2 marca Roman Karst wygłosił odczyt o „Przemianach nowoczesnej powieści europejskiej”. 9 marca Julian Przyboś miał swój wieczór autorski.

Z ciekawszych odczytów w Zielonej Górze warto odnotować dwa zorganizowane przez Stowarzyszenie Ateistów i Wolnomyślicieli: mgr St. Kani — „Matka Joanna na tle epoki” i Jana Pawlicy — „Etyka a cybernetyka”.

MISCELANEA

24 KSIĄŻKA LTK

Lubuskie Towarzystwo Kultury wydało swoją 24 książkę. Są to „Nadodrzańskie szkice historyczne”. Działalność jednego z najbardziej prężnych towarzystw regionalnych zasługuje już na monografię.

LEKARZE O ETYCE

Warto upamiętnić i w ten sposób niejako wprowadzić w kronikarską tradycję posiedzenia Wrocławskiego Oddziału Polskiego Towarzystwa Lekarskiego. W marcu odbyło się posiedzenie poświęcone etyce i odpowiedzialności zawodowej lekarzy. Referat wygłosił profesor Bogusz z Krakowa.

OSSOLINEUM SIĘ NIE MIEŚCI

Jak wszystkie wielkie biblioteki świata, biblioteka Ossolineum nie może pomieścić swoich zbiorów. Sprawa dojrzała w skali ogólnopolskiej do „rewolucyjnych” (tzn. mikrofilmowych) rozstrzygnięć.

W chwili obecnej Ossolineum nie jest w stanie przyjmować tzw. egzemplarza obowiązkowego.

PLASTYKA I FOTOGRAFIKA

W Opolu odbywała się w marcu wystawa malarstwa Eugeniusza Gepperta, znanego plastyka i profesora wrocławskiej PWSSP. Na ekspozycję złożyły się akwarele i gwasze.

★

W Jeleniej Górze graficy wrocławskiego okręgu ZPAP wystawili swoje prace w Spółdzielczym Domu Kultury.

★

Muzeum w Wałbrzychu urządziło wystawę wycinanki artystycznej Stanisława Grabczyka.

★

Wystawy fotografiki cieszą się zawsze dużą frekwencją. Można to było także zauważyć na VIIII Okręgowej Wystawie Fotografiki we wrocławskim salonie CBWA przy ul. Świdnickiej.

★

6 fotogramów wrocławskich fotografików: Stanisława Wasilewicza, Władysława Strojnego i Stefana Arczyńskiego znalazło się na II Międzynarodowej Wystawie Fotografiki Artystycznej.

ALF KOWALSKI

W salonie ZPAP w Zielonej Górze można było oglądać w marcu wystawę retrospektywną jednego z najdawniej osiadłych w tym mieście plastyków, Alfa Kowalskiego. Wśród prac zgromadzonych na jego trzeciej indywidualnej wystawie wyróżniały się pejzaże z cyklu „Ziemia Międzyrzecka".

WROCŁAWIANIE W „ROCZNIKU"

Jak wiele innych roczników w Polsce, tak i „Rocznik CBWA" za rok 1957 ukazał się z kilkuletnim opóźnieniem. Przynosi on skrupulatny wykaz wystaw wszystkich okręgów CBWA i wystaw zagranicznych. Jak widać z „Rocznika", wrocławianie w roku 1957 wystawiali sporo. Tom zawiera także bardzo udane reprodukcje prac, m. in. Eugeniusza Gepperta, Bogdana Hoffmana, Borysa Michałowskiego, Haliny Pawlikowskiej i Jana Chwałczyka.

RAFAŁ POMORSKI

We wrocławskim salonie CBWA otwarta była wystawa katowickiego malarza, profesora rysunku, malarstwa i grafiki ASP w Krakowie (oddział w Katowicach) Rafała Pomorskiego. Na wystawie zgromadzono 35 obrazów olejnych, głównie pejzaży, martwych natur i wnętrz. Wyrazista tematyka prac znalazła formę klarowną, oznaczającą się rytmem i dobrą konstrukcją.

MAŁE BIENNALE

Muzeum Śląskie gościło Ogólnopolską Wystawę Grafiki (część eksponatów), zorganizowaną przez ośrodek krakowski. Wystawa pozwalała zorientować się w ogólnych tendencjach rozwojowych współczesnej grafiki polskiej, była przeglądem osiągnięć w tej dziedzinie. W sumie świadczyła o żywotności środowisk twórczych, wśród nich i dolnośląskiego. W wystawie bowiem brali m. in. udział: Maria Dawska (linoryty), Józef Gielniak (linoryty), Halina Pawlikowska (drzeworyty), Alina Rogalska (linoryty i drzeworyt), Zygmunt Waśniewski (linoryty), Andrzej Will (linoryty). Warto wymienić także prace Mariana Nyczki ze Szczecina.

AKTY OBREMBY

W małym pawilonie ZPAP przy ulicy Świdnickiej we Wrocławiu, po ciekawej wystawie młodego plastyka wrocławskiego Jerzego Rosołowicza, można było obejrzeć monotematyczne (postać kobiety siedzącej), obrazy Gabrieli Obremby. Dyskusyjne — ale niewątpliwie indywidualne.

pik.

WYNIK KONKURSU LITERACKIEGO

Jury konkursu literackiego i publicystycznego na utwór o ziemiach zachodnich, ogłoszonego przez Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, oddział Związku Literatów Polskich we Wrocławiu oraz Wydziały Kultury Wojewódzkiej Rady Narodowej i Rady Narodowej miasta Wrocławia w składzie: Jerzy Broszkiewicz, Zdzisław Hierowski, Tymoteusz Karpowicz, Kazimierz Koźniewski, Wilhelm Mach i Jan Trzynadlowski (przewodniczący), spośród nadesłanych na konkurs literacki 47 utworów postanowiło na posiedzeniu w dniu 29 marca br. nagrodzić 5, wyróżnić 3.

W dziale tym nie przyznano I nagrody, natomiast przyznano dwie równorzędne II nagrody (po 20.000 zł) autorom powieści: godło Dziesięć — „Kto rozpala sobótki", godło Sagitta — „Powroty" oraz trzy równorzędne III nagrody (po 15.000 zł) autorom powieści: godło Daszek — „Oni przyszli po miasto", godło Harmant — „Odra płynie powoli", godło Mały — „Żarówka".

Trzy wyróżnienia (po 6.000 zł) przyznano autorom powieści: godło Kora — „Ludzie na ziemi", godło Maria — „Oczekiwania", godło Więcierz — „Rozdział pierwszy".

W dziale publicystycznym spośród nadesłanych 5 prac postanowiono przyznać III nagrodę (15.000 zł) autorowi zbioru reportaży: godło Czaplinek — „Ludzie z Wału".

Po otwarciu przez jury kopert okazało się, że autorami są: godło Dziesięć — Maciej Patkowski, Wrocław; godło Sagitta — Leszek Prorok, Poznań; godło Daszek — Jerzy Piński, Poznań; godło Harmant — Albin Siekierski, Katowice; godło Mały — Tadeusz Mikołajek, Wrocław; godło Kora — Krystyna Urbanowicz, Wrocław; godło Maria — Elżbieta Drzewińska, Wrocław; godło Więcierz — Romuald Cabaj, Wrocław; godło Czaplinek — Alojzy Sroga, Warszawa.

★

Obszerne omówienie plonu konkursu przez członka jury Zdzisława Hierowskiego oraz fragmenty utworów nagrodzonych i wyróżnionych ukażą się w najbliższych numerach „Odry".



Z DZIAŁALNOŚCI TRZZ

ZIELONA GÓRA

Na Ziemi Lubuskiej obserwujemy ciekawe zjawisko kształtowania się nowej, oryginalnej kultury ludowej, którą cechuje swoisty eklektyzm tradycji artystycznych, przywiezionych tutaj przez ludność napływową z różnych regionów kraju. Charakterystycznym przykładem może być Gubin.

Znany w tym powiecie działacz TRZZ i jednocześnie kierownik sekcji plastycznej miejscowego Domu Kultury, Stanisław Świtalski, podczas swoich wędrówek po mieście i okolicznych wsiach zauważył, iż w wielu domach znajduje się oryginalna ceramika ludowa, tkaniny wyrabiane sposobem chałupniczym, koronki itp., wyróżniające się niezwykłymi wzorami nie odnotowanymi dotąd w żadnym atlasie etnograficznym. Okazało się, iż są to wyroby miejscowych artystów ludowych, którzy — przyswoiwszy sobie w sposób twórczy elementy ornamentyki, kształtów, zestawów kolorystycznych od obecnych sąsiadów przybyłych z Wileńszczyzny czy Huculszczyzny — stali się autorami nowej, regionalnej sztuki ludowej, która być może kiedyś będzie określana jako gubińska.

Zarząd Powiatowy TRZZ w Gubinie, jak i Wojewódzki w Zielonej Górze, zainteresował się owymi wyrobami. Z inicjatywy TRZZ powstał w Gubinie przy tamtejszym Zarządzie Powiatowym Zespół Artystów Ludowych z takimi sekcjami, jak tkacka, ceramiczna, meblarska i koronkarska. Wspólnym wysiłkiem odremontowano parter nie zamieszkałego dotąd budynku, w którym urządzono pracownie, piece do wypalania ceramiki, warsztaty tkackie itp.

★

Powiat Strzelce Krajeńskie nie posiada prawie żadnych surowców, nawet ziemia nie jest tu zbyt urodzajna — prawdziwym bogactwem są natomiast duże, śliczne jeziora (Wielkie i Chomętowo) i lasy, zaś w samej stolicy powiatu znajduje się wiele ciekawych zabytków z okresu średniowiecza. Zdając sobie sprawę z tych walorów, Zarząd Powiatowy TRZZ w Strzelcach Krajeńskich opracował pod kierunkiem Emila Bordela plan utworzenia w okolicach miasta dużego ośrodka turystyczno-wypoczynkowego. W tym celu nawiązano współpracę z dużymi zakładami przemysłowymi województwa łódzkiego, katowickiego i poznańskiego. Wiele kopalń Zagłębia Śląskiego i fabryk włókienniczych Łodzi postanowiło założyć w powiecie strzeleckim własne osiedla kampingowe i domy wczasowe. Natomiast same już Strzelce Krajeńskie wybudują nad jeziorem duży hotel, pawilony handlowe, restauracje itp. Prace rozpoczęto od naprawia-

KOMISJA ZAGOSPODAROWANIA ODRY

Ktoś powiedział niedawno, że Wrocław jest stolicą Odry. Jeśli nawet brzmi to niezbyt zgrabnie, wyraża się w tym pewna prawda istotna. Tu mianowicie, we Wrocławiu, sprawy Odry są rozumiane i odczuwane najżywiej. Nic też dziwnego, że Wrocław obrano za siedzibę Komisji Zagospodarowania Odry, która jako jedyna spośród kilku Komisji Rady Naczelnej TRZZ rezyduje poza Warszawą.

Zresztą autorstwo pomysłu utworzenia tej Komisji należy do samych wrocławian. Komisja Zagospodarowania Odry powstała przy Radzie Okręgowej TRZZ we Wrocławiu, z początkiem 1958 roku. Za jej przykładem tworzyły się w innych miastach wojewódzkich Nadodrza podobne zespoły problemowe. Pod koniec tegoż roku Komisję spotkał awans do rangi organu Rady Naczelnej TRZZ, w tym charakterze pierwsze jej plenarne posiedzenie odbyło się w lutym 1959 roku. W składzie Komisji znaleźli się wybitni znawcy spraw Odry — przedstawiciele świata nauki i techniki, działacze gospodarczy i społeczni. Przewodnictwo powierzono inż. Zbigniewowi Kuszewskiemu z Wrocławia, znanemu m.in. jako inicjator Sejmiku Odrzańskiego w grudniu 1957 roku, od którego datuje się wielostrona aktywizacja Odry.

Zadania Komisji Zagospodarowania Odry określa dokładnie jej nazwa. Mówiąc najogólniej chodzi tu o wsparcie społeczną inicjatywą i społecznym działaniem pracy zainteresowanych władz resortowych i terenowych. To problemy rozwoju żeglugi uwarunkowanego produkcją nowego taboru, budową nowych zbiorników wodnych i kanałów żeglugowych. To zagadnienia gospodarki wodnej, walka z zanieczyszczeniami wód. To rozległe studia naukowe służące za podstawę wieloletnich planów zagospodarowania Odry.

Rzeczowy wkład Komisji w aktywizację Odry jest bardzo znaczny. Komisja współpracowała blisko z dwoma kolejno działającymi — w latach 1958 — 59 i 1959—60 — międzyresortowymi komisjami do spraw Odry, ustalającymi doraźny program zagospodarowania rzeki. Szczególnie ściśle współdziałała Komisja z Sejmową Komisją Ziem Zachodnich, przede wszystkim w okresie przygotowywania materiałów do planu 5-letniego na lata 1961—1965. Warte przypomnienia są dwa rajdy wzdłuż Odry — w czerwcu 1959 roku wespół z Sejmową Komisją ZZ i w maju 1960 roku z udziałem Rady Naukowej TRZZ i Komisji Sejmowej ZZ. Obecnie Komisja inicjuje systematyczną współpracę rad wojewódzkich Nadodrza w dziedzinie kompleksowej gospodarki wodnej na Odrze. Studia nad problemami Odry, przygotowane na zlecenie Komisji, będą się ukazywały sukcesywnie począwszy od br. w specjalnym wydaniu broszurowym.

7 maja br. obchodzony jest w ramach Tygodnia Ziem Zachodnich jako Dzień Odry. To dobra okazja do zaprezentowania działalności Komisji Zagospodarowania Odry TRZZ, inicjatywy w szczególnym stopniu związanej z Wrocławiem.

nia dróg. Może więc niedługo Strzelce dościgną znane w całym kraju miejscowości wczasowe Ziemi Lubuskiej — Sławę Śląską i Łagów.

★

Bardzo aktywny gorzowski zarząd TRZZ, kierowany przez Józefa Kaziora, założył w ostatnim czasie własne gospodarstwo rybne, składające się z dwóch stawów przystosowanych do hodowli karpi. Do niedawna stawy te nie miały właściwie żadnego gospodarza. Urządzenia niszczały, a ilość ryb była coraz mniejsza. Pierwszy „plon" tego gospodarstwa zostanie zebrany jeszcze jesienią tego roku.

★

Przy Zarządzie Wojewódzkim TRZZ w Zielonej Górze powstała Komisja Współpracy z Polonią Zagraniczną. Przewodniczącym tej Komisji został inż. arch. Ryszard Czarliński. Najbliższe kontakty łączą zielonogórskie TRZZ z Polonią afrykańską, która finansuje budowę Szkoły Tysiąclecia w Łagowie. W lipcu br. do Zielonej Góry przybędzie przedstawiciel afrykańskiej Polonii, kpt. Bolesław Janik, celem omówienia form ściślejszego kontaktu województwa zielonogórskiego z poszczególnymi ośrodkami polonijnymi Czarnego Lądu.

★

TRZZ w Międzyrzeczu posiada tradycje sięgające jeszcze roku 1945. W pierwszych latach powojennych istniał tam Oddział Powiatowy Polskiego Związku Zachodniego, a prezesem jego był obecny przewodniczący ZP TRZZ, Józef Furmanek, cieszący się dużym autorytetem wśród ludności rodzimej, która zna go jeszcze z czasów przedwojennych jako aktywnego działacza Związku Polaków w Niemczech.

Polski Związek Zachodni w latach czterdziestych spełniał w życiu tego regionu poważne zadania; m. in. brał udział w pracach przy ustalaniu i przyznawaniu obywatelstwa polskiego miejscowej ludności i organizował akcję osiedleńczą w powiecie.

Nawiązując do tych tradycji TRZZ w Międzyrzeczu inicjuje spotkania ludności rodzimej z przebywającymi w tamtych okolicach wczasowiczami i turystami z innych okolic Polski, wspólne imprezy rozrywkowe, wieczornice, odczyty popularyzujące miejscowy folklor itp. Przy współudziale wczasowiczów, turystów i harcerzy nagrano już na taśmę magnetofonową dąbrowieckie „śpiwki", muzykę koziarzy, bajki i legendy ludowe. Wykonano także około 1.000 zdjęć zabytkowych budowli wiejskich, strojów ludowych itp. Po opracowaniu materiały te zostaną przekazane Radzie Naczelnej TRZZ.

★

Popularność muzycznego Zespołu Koziarzy z Dąbrówki, o którym pisaliśmy już uprzednio, rośnie coraz bardziej. Posiada on już nawet swoich naśladowców. Ostatnio w Zbąszynku powstał kilkuosobowy, nowy zespół koziarzy. Wszyscy członkowie są pracownikami tamtejszego węzła kolejowego.

WROCŁAW

W marcu odbyła się we Wrocławiu sesja Komisji Społeczno-Kulturalnej Rady Naczelnej TRZZ z udziałem delegatów towarzystw regionalnych z całej Polski. Na program obrad złożyły się: referat Czesława Kałużnego o stanie i kierunkach rozwoju społecznego ruchu kulturalnego na ziemiach zachodnich i północnych oraz charakterystyka doświadczeń z tego zakresu Zielonej Góry (referował Wiesław Sauter) i Wrocławia (omawiał Cezary Murawski). W dyskusji, jaka się wywiązała po tych prelekcjach, zwracano uwagę na konieczność ściślejszej współpracy TRZZ z towarzystwami regionalnymi, przy jednoczesnym zachowaniu niezależności tych ostatnich. Poza wnioskami wypływającymi z zasadniczej dyskusji, uczestnicy obrad wysunęli szereg postulatów pod adresem Rady Naczelnej (udzielanie pomocy pismom i zamierzeniom wydawniczym na ziemiach zachodnich i północnych, podjęcie starań o szersze niż dotychczas uwzględnianie w programach szkolnych wiedzy o regionie, ufundowanie dorocznej nagrody za twórczość związaną tematycznie z ziemiami zachodnimi i północnymi). Uczestnicy sesji odwiedzili także kilka miast

---

TMW MA 5 LAT

„Z prawdziwą przyjemnością dowiaduję się, że powstanie we Wrocławiu Towarzystwo Miłośników naszego miasta..." — tak przed 5 laty pisał w liście do „Słowa Polskiego" prof. Tadeusz Mikulski. W maju br. upływa 5 lat od chwili utworzenia Towarzystwa zwanego w skrócie TMW.

Zaczęło się od artykułu Mieczysława Markowskiego w „Słowie Polskim" z 16 maja 1956 roku. Wyrażona tam została myśl założenia Towarzystwa mającego na celu krzewienie w społeczeństwie wrocławskim przywiązania do miasta, miłości do jego tradycji, troski o piękny wygląd obecny i przyszły. Projekt spotkał się z przyjęciem niezwykle serdecznym. 27 maja odbyło się spotkanie kilkuset zwolenników idei TMW, a wybrany tam komitet założycielski doprowadził do formalnego zatwierdzenia Towarzystwa 11 września 1956 roku.

Najbardziej znaną formą działalności TMW są jego liczne wydawnictwa. Co roku ukazuje się popularny „Kalendarz Wrocławski", co roku także „Rocznik Wrocławski", organ Towarzystwa. Prawdziwym wydarzeniem było wydanie w r. ub. książki „Trudne dni", zbioru wspomnień pionierów wrocławskich z roku 1945. Przypomnijmy inne jeszcze tytuły — „Ludzie dawnego Wrocławia", „Szkice z dziejów Polonii wrocławskiej", „Przewodnik po Wrocławiu", „Chopin na Dolnym Śląsku", „Wrocławskie dni Juliusza Słowackiego". Dodać trzeba, że akcja wydawnictwa TMW, najściślej związana tematycznie z Wrocławiem, rozwija się z każdym rokiem, stanowiąc w istocie osobne wydawnictwo regionalne.

Wielką zasługą działaczy TMW było roztoczenie opieki nad grupą działaczy b. Związku Polaków w Niemczech, zamieszkujących przed wojną we Wrocławiu. Za sprawą TMW otrzymali oni renty i wysokie odznaczenia państwowe.

Do najcenniejszych inicjatyw TMW należy także powołanie Wrocławskiego Ośrodka Badawczego, regionalnego instytutu naukowo-badawczego zajmującego się sprawami Wrocławia. Ostatnio WOB przekształcony został w Instytut Dolnośląski, obejmujący swym zasięgiem już cały Dolny Śląsk.

Rokrocznie TMW bierze czynny udział w organizowaniu Dni Wrocławia, z jego to inicjatywy odbyły się m.in. obchody 850-lecia bitwy na Psim Polu i obrony Głogowa.

Spośród innych inicjatyw TWM na uwagę zasługuje zwłaszcza oznaczanie tablicami pamiątkowymi miejsc związanych z polskimi tradycjami miasta, praca nad uporządkowaniem historycznych nazw ulic.

Swoje 5-lecie TWM wita z bilansem dorobku wcale obfitym. Z pewnością następne zamknie się bilansem nie uboższym.

Dolnego Śląska wyróżniających się szczególną aktywnością miejscowych kół TRZZ.

★

Na zaproszenie Zarządu Wojewódzkiego TRZZ bawił na Dolnym Śląsku sekretarz Stowarzyszenia Kultury Niemieckiej w Berlinie, Gerhard Henninger, który wygłosił w wielu miejscowościach naszego województwa odczyty o pracy kulturalnej w mieście i na wsi.

★

Koło Miłośników Kłodzka, działające pod przewodnictwem dr Eugeniusza Kaczmarka, przygotowuje się do uroczystego obchodu Dni Kłodzka, które zostaną zainaugurowane w maju br. Z tej okazji odbędzie się wiele ciekawych imprez i spotkań. Należy tu wymienić m. in. „Wiosnę poetycką" (zjazd młodych poetów z całego kraju pod patronatem Władysława Broniewskiego i Mieczysława Jastruna), wydanie jednodniówki, sesję naukową poświęconą Ziemi Kłodzkiej z udziałem Instytutu Śląskiego w Opolu, Instytutu Zachodniego w Poznaniu oraz przedstawicieli wrocławskiego środowiska naukowego. Ustalono także coroczne nagrody miasta Kłodzka oraz specjalną nagrodę za najlepszą publikację prasową o Kłodzku. Nazwiska pierwszych laureatów za rok 1960 zostaną ogłoszone w maju podczas uroczystej sesji MRN.

★

Wkrótce zostanie wreszcie sfinalizowana ciągnąca się od wielu lat sprawa otwarcia muzeum regionalnego w Kłodzku. Z inicjatywy Koła Miłośników Kłodzka, przy współudziale „Gazety Robotniczej", został utworzony społeczny fundusz muzeum. Jak wiadomo, w Kłodzku znajdują się bogate zbiory etnograficzne i historyczne, które dotychczas spoczywają zamknięte w magazynie. Brak odpowiednich funduszów uniemożliwiał zorganizowanie stałej wystawy tych zbiorów.

★

Harcerska akcja letnia na Dolnym Śląsku odbędzie się w w tym roku pod hasłem „Pracujemy i wędrujemy". W dwóch wybranych przez WRN powiatach — kamiennogórskim i lwóweckim, młodzież weźmie udział w naprawie dróg, rozbiórce zabudowań wiejskich nie nadających się do odbudowy, pracach melioracyjnych itp. Przewiduje się, iż czas poświęcony przez harcerzy na pracę społeczną wyniesie około 60 tysięcy godzin. ZHP zaprosił do współpracy ZMS i ZMW. Całej tej akcji patronuje wrocławski Zarząd Wojewódzki TRZZ, który ufundował dla przodujących drużyn wiele cennych nagród.

★

TRZZ w Rzeszowie zwróciło się do zarządu wojewódzkiego TRZZ we Wrocławiu z propozycją współpracy mającej polegać na wymianie gospodarczej i kulturalnej.

Słabiej uprzemysłowione województwo rzeszowskie liczy nie tylko na współpracę, ale i na pomoc Dolnego Śląska w rozwoju swojego regionu.

OPOLE

W ostatnim czasie Zarząd Wojewódzki TRZZ w Opolu jest pochłonięty pracą związaną z przygotowaniami do obchodu Tygodnia Ziem Zachodnich, który będzie tutaj miał charakter szczególnie uroczysty. Z wielu planowanych imprez należy wymienić takie, jak Zlot Powstańców Śląskich i Bojowników Antyfaszystowskich na Górze św. Anny, rajd turystyczny „Szlakiem Powstań Śląskich", konferencja nauczycieli z całego województwa, której tematem będą problemy związane z włączeniem do programu szkolnego wiedzy o regionie, eliminacje zespołów teatralnych, chórów ludowych itp. W obchodach Tygodnia Ziem Zachodnich w Opolu weźmie udział organizacja wrocławska i katowicka.

Z tej samej okazji zostaną wydane antyrewizjonistyczne broszury pt. „Szarlatani z Lotharstrasse" i „Uwaga, szantaż" oraz szopka satyryczna Stefana Chmielnickiego i Leonarda Drzewieckiego pt. „Duch z duszkiem", którą następnie wystawi Teatr Lalek w Opolu.

★

W ubiegłym miesiącu pisaliśmy obszerniej o TRZZ w Namysłowie. Drugim wyróżniającym się pod względem aktywności powiatem na Opolszczyźnie jest Olesno. Niemała w tym zasługa członków Zarządu Powiatowego TRZZ — Teodora Wrobla i Antoniego Dedyka. Podobnie jak w Namysłowie, tak i tutaj, dzięki wysiłkom Towarzystwa i pomocy Powiatowej Rady Narodowej, powstało muzeum regionalne. Prawdziwą atrakcją tej placówki są piękne zbiory ludowych strojów oleskich, wyróżniających się barwnością i bogactwem wzorów. Muzeum Ziemi Oleskiej prowadzi także ciekawą pracę oświatowo-propagandową.

Ostatnio, z okazji wyborów do sejmu i rad narodowych, czynna była wystawa pt. „Osiągnięcia władzy ludowej na terenie powiatu oleskiego". Eksponatów dostarczyły miejscowe zakłady przemysłowe, instytucje o charakterze usługowym, szkoły itp.

★

W ramach omawianej już tu kooperacji powiatu oleskiego z wieluńskim (woj. łódzkie) uregulowano dzielącą te powiaty rzekę Prosnę na długości 13 km. Obecnie prace regulacyjne prowadzone są na 7-kilometrowym odcinku między Uszycami a Zdziechowicami.

★

W katowickim wydawnictwie „Śląsk" została już oddana do druku „Monografia Ziemi Oleskiej" w opracowaniu Józefa Lesika, Franciszka Hawranka i Franciszka Ligęzy.

★

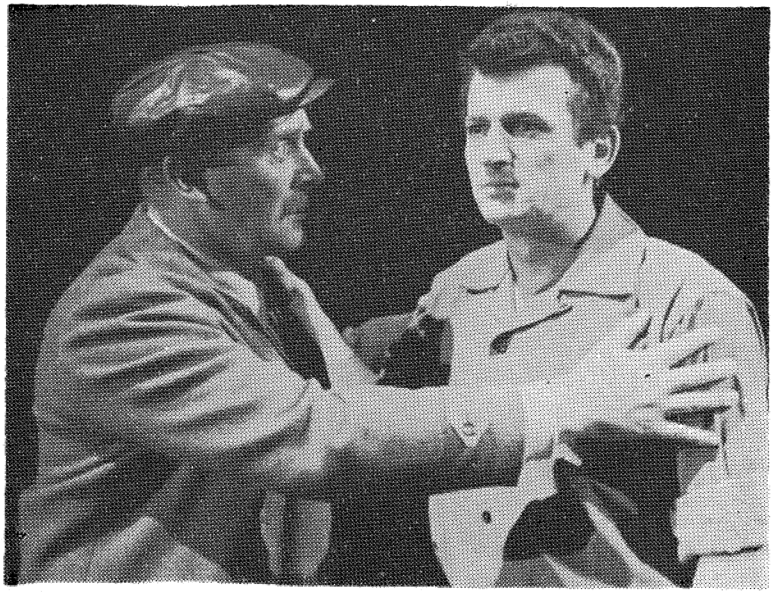
TRZZ staje się w powiecie oleskim organizacją coraz bardziej popularną. Świadczyć o tym może chociażby fakt, iż w jednym tylko miesiącu marcu ilość członków Towarzystwa powiększyła się o 120 osób. Łącznie TRZZ w Oleśnie zrzesza już około 600 członków.

★

W Gorzowie Śląskim otwarto drugi z kolei w woj. opolskim Klub TRZZ przy Terenowych Zakładach Odzieżowych. Pracami związanymi z uruchomieniem tej placówki kierował prezes tamtejszego koła TRZZ a jednocześnie dyrektor Zakładów Odzieżowych, Władysław Sadura. Zasługi w powstaniu klubu posiada zresztą cała załoga, która przeznaczyła na ten cel część funduszu zakładowego.

Gorzowskie koło TRZZ opiekuje się także 20-osobowym Zespołem Pieśni i Tańca popularyzującym folklor Opolszczyzny. Zespół ten bawił ostatnio z występami w Łodzi i Katowicach.

d. sid.



Władysław Dewoyno w roli Stiepana Serdiuka i Marian Wiśniowski jako Wiktor Bojcow we wrocławskim spektaklu „Irkuckiej historii” Arbuzowa reżyserowanym przez Andrzeja Witkowskiego.

(fot. T. Skorulski)

Eliasz Kuziemski (Jim Tyrone), Danuta Zaborowska (Josie Hogan) i Józef Pieracki (Philipe Hogan) we wrocławskim spektaklu „Księżyca dla poniżonych” O'Neilla reżyserowanym przez Stanisławę Zbyszewską.

(fot. Z. Mozer)



Książki nadesłane

OSSOLINEUM

Burzyński Roman — **Polska ma więcej niż 1000 lat.** Przedmowę napisał Józef Kostrzewski. Wrocław 1961, s. 201 + 1 mapka.

Kotula Tadeusz — **U źródeł afrykańskiego separatyzmu w III w.n.e.** Prace Wrocławskiego Towarzystwa Naukowego, Seria A pod red. Józefa Gierowskiego, Jerzego Krókowskiego i Franciszka Longchamps, nr 74. Wrocław 1961, s. 133.

Mikulski Tadeusz — **Temat Wrocław.** Szkice śląskie. Wybrał i wstępem opatrzył Bogdan Zakrzewski. Wrocław 1961, s. 468 + 33 tabl.

Słowacki Juliusz — **Dzieła wszystkie.** Pod redakcją Juliusza Kleinera przy współudziale Władysława Floryana. Tom XII, część druga. Wrocław 1961, s. 639.

Stary i nowy Wrocław. (Album). Koncepcja i zdjęcia Janiny Mierzeckiej. Układ zdjęć i podpisy Olgierda Czernera. Wstęp Antoniego Knota. Wrocław 1961, s. 70.

Żmichowska Narcyza, Baranowska Julia — **Ścieżki przez życie.** Wspomnienia. Opracowała Mieczysława Romankówna, wstęp napisała Zofia Kossak. Wrocław 1961, s. 335 + 8 tabl.

WYDAWNICTWO „ŚLĄSK"

Bodnicki Władysław — **Ostatni z rodu.** Powieść historyczna z XV w. Posłowie autora. Katowice 1961, s. 182.

Popiołek Oswald Stefan — **Stan i potrzeby badań nad dziejami ruchu polskiego na terenie byłej rejencji opolskiej w okresie 1922—1945.** Instytut Śląski w Opolu, Katowice 1961, s. 68.

Szklarski Alfred — **Tomek na tropach yeti.** Katowice 1961, s. 322.

Wyszomirski Bogumił — **Poezje.** Wstęp Stefana Chmielnickiego. Opolska Biblioteka Literacka, tom V, Katowice 1961, s. 50 + 1 tabl.

PAŃSTWOWY INSTYTUT WYDAWNICZY

Bratny Roman — **Kolumbowie rocznik 20.** Warszawa 1961, s. 766.

Brontë Emily — **Wichrowe Wzgórza.** Przełożyła z angielskiego Janina Sujkowska. Biblioteka Arcydzieł, Warszawa 1961, s. 405.

Galdos Benito Perez — **Złota fontanna.** Przełożyła Zofia Szleyen. Warszawa 1961, s. 493.

Hermann Paul — **Pokażcie mi testament Adama.** Na szlakach nowożytnych odkryć geograficznych. Przełożył Kazimierz Rapaczyński. Posłowie Jana Halperna. Warszawa 1961, s. 690 + 17 tabl.

Kłyczkow Siergiej — **Bajarz z Czertuchina.** (Opowiadania). Przełożyła Irena Piotrowska. Słowem wstępnym opatrzył Seweryn Pollak. Zdobiła według starych drzeworytów rosyjskich Danuta Staszewska. Warszawa 1961, s. 325.

Łojek Jerzy — **Strusie króla Stasia.** Szkice o ludziach i sprawach dawnej Warszawy. Biblioteka Syrenki, Warszawa 1961, s. 155.

Mann Tomasz — **Wyznania hochsztaplera Feliksa Krulla.** Tłumaczył Andrzej Rybicki. Wiersze przełożyła Jadwiga Dackiewicz. Wydanie II. Warszawa 1961, s. 490.

Maurois André — **Olimpio czyli życie Wiktora Hugo.** Przełożyła Krystyna Dolatowska. Wiersze przełożył Zbigniew Bieńkowski. Wydanie II. Warszawa 1961, s. 759 + 1 tabl.

Rolland Romain — **Piotr i Łucja.** Przełożyli: Maria Zabojecka i Henryk Bezmaski. Wydanie II. Warszawa 1961, s. 110.

Rudnicki Adolf — **Niekochana.** Biblioteka Jednorożca, Warszawa 1961, s. 95.

Szyszkow Wiaczesław — **Tajga.** Powieść. Przełożył Jerzy Brzęczkowski. Warszawa 1961, s. 213.

Wolfe Thomas — **Włóczęgy o zachodzie słońca i inne opowiadania.** Przełożyła Zofia Kierszys. Warszawa 1961, s. 304.

Woolf Virginia — **Pani Dalloway.** Przełożyła Krystyna Tarnowska. Powieści XX wieku, Warszawa 1961, s. 234.

Wygodzki Stanisław — **Koncert życzeń.** (Opowiadania). Warszawa 1961, s. 253.

Zola Emil — **Pieniądz.** Z cyklu: **Rougon-Macquartowie.** Przełożyła Halina Suwała. Warszawa 1961, s. 400.

„KSIĄŻKA I WIEDZA"

Jakóbczyk Witold — **Bismarck.** Biblioteka popularno-naukowa Światowid, Warszawa 1961, s. 247.

Kossak Jerzy — **Bunt na kolanach.** (Eseje). Warszawa 1960, s. 95.

Pomorze na progu dziejów najnowszych. Pod red. prof. Tadeusza Cieślaka przy współudziale prof. Gerarda Labudy i prof. Stanisława Hoszowskiego. Szkice z dziejów Pomorza pod red. prof. Gerarda Labudy, część III. Warszawa 1961, s. 594 + 3 mapki.

Tarle Eugeniusz — **Dzieje Europy 1871—1919.** Tłumaczyli: Zofia Korczak-Zawadzka i Wacław Zawadzki. Wstęp W. M. Chwostowa. Warszawa 1960, s. 663 + 8 map.

WYDAWNICTWO ŁÓDZKIE

Czernik Stanisław — **Trzy podróże.** Albania — Bułgaria — Chiny. Łódź 1961, s. 204.

Kunawicz Emilia — **Dzieciństwo.** (Powieść). Łódź 1960, s. 119.

Minkowski Aleksander — **Wielki poker.** (Powieść). Łódź 1961, s. 203.

Papier Tadeusz — **Zielony szlak.** (Reportaże). Łódź 1960, s. 163.

Utracki Lech — **W krainie Tau-Dżin--Padyszacha.** (Opowiadania). Łódź 1960, s. 180 + 40 tabl. i 1 mapka.

Warneńska Monika — **Chłopcy z miasta Łodzi.** (Powieść). Łódź 1960, s. 280.

LUDOWA SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA

Arct Bohdan — **Bimber.** Powieść. Warszawa 1960, s. 287.

Brodowski F., Dalecka W., Daniłowski G., Gomulicki W., Junosza K., Konopnicka M., Orzeszkowa E., Świętochowski A., Szymański A., Zdziechowski K., — **Z jednego strumienia.** Nowele. Pod redakcją i z przedmową Elizy Orzeszkowej. Słowo wstępne i przypisy Gabrieli Pauszer-Klonowskiej. Warszawa 1960, s. 388.

Domańska Antonina — **Trzaska i Zbroja. Danusia Wierzynkówna.** Dwie opowieści z czasów Kazimierza Wielkiego. Powieści o dziejach ojczystych tom 13. Warszawa 1961, s. 201.

Dygasiński Adolf — **Pan Jędrzej Piszczalski.** Powieść. Posłowie Danuty Brzozowskiej. Biblioteka Powieści i Romansów. Warszawa 1961, s. 380.

Gałaj Julian — **Antypka.** Powieść. Warszawa 1960, s. 306.

Jeż Teodor Tomasz (Zygmunt Miłkowski) — **Za króla Olbrachta.** Powieść historyczna. Posłowie Tomasza Jodełki. Biblioteka Powieści i Romansów. Warszawa 1961, s. 435.

Korabiewicz Wacław — **Żaglem do Jogów.** Warszawa 1960, s. 388 + 1 mapa.

Kowalewski Stanisław — **Zamknięte granice.** Sztuka współczesna w 7 odsłonach. Biblioteka Teatrów Ludowych, Warszawa 1961, s. 103.

Kraszewski Józef Ignacy — **Masław.** Powieść z XI wieku. Przedmowa Stefana Żółkiewskiego. Cykl powieści historycznych obejmujących dzieje Polski pod red. Juliana Krzyżanowskiego i Wincentego Danka. IV. Warszawa 1961, s. 300.

Olcha Antoni — **Wiosenna ziemia.** Wybór wierszy. Warszawa 1960, s. 86.

Ozga Michalski Józef — **Druga strona księżyca.** Poezje. Warszawa 1961, s. 73.

Szczawiej Jan — **Łuny kamienne.** Wiersze 1930—1959. Przedmowa Jana Nepomucena Millera. Warszawa 1960, s. 155.

Tor Zdzisław — **Poszukiwacze szczęścia.** Powieść. Warszawa 1960, s. 493.

Witek Barbara — **Do niedzieli niedaleko.** Komedia w 3 aktach. Biblioteka Teatrów Ludowych. Warszawa 1961, s. 128.

ADRES REDAKCJI: Wrocław, Podwale 63. Telefony: redaktor naczelny i sekretariat 355-16, sekretarz redakcji 357-89, centrala 340-31. Rękopisów nie zamowionych redakcja nie zwraca.

WYDAWCA: Wrocławskie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa".

PRENUMERATĘ przyjmują wszystkie urzędy pocztowe, listonosze i placówki „Ruchu" do dnia 15 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty. Należność można również wysyłać na konto: PKO Wrocław I — OM nr 8-6-13768. Prenumerata miesięczna wynosi zł 6, kwartalna — zł 18, półroczna — zł 36, roczna — zł 72. Cena jednego egzemplarza — zł 6.

DRUK: Zakłady Graficzne RSW „Prasa", Wrocław, ul. Piotra Skargi 3/5. T-4

W najbliższych numerach:

Elżbieta Drzewińska
WŚRÓD PLASTYKÓW ZIELONEJ GÓRY

Zdzisław Hierowski
PLON WROCŁAWSKIEGO KONKURSU

Roman Karpiński
WYWIAD Z MIASTEM

Wolfgang Koeppen
OBŁĘD

Jan Koprowski
PRZYPOMNIENIE ANGERMAYERA

Zbigniew Kubikowski
SPÓR DŻENTELMENÓW

Aleksander Kubisiak
SIEDEMDZIESIĘCIU OŚMIU Z GROSS ROSEN

Edward Marczewski
MŁODA MATEMATYKA NAD ODRĄ

Jacek Maziarski
O TRZECIM POWSTANIU ŚLĄSKIM

Edmund Męclewski
„INNE NIEMCY“ i NACJONALIZM

Maciej Patkowski
KOZA Z OCZAMI

Leszek Prorok
TEATR WIELKICH PROPOZYCJI

Wilhelm Szewczyk
WSPOMNIENIA PIERWSZEGO REDAKTORA „ODRY“

Roman Szydłowski
BRECHT I FELSENSTEIN
czyli o prawdziwym nowatorstwie

Tadeusz Zimecki
TRZY BITWY O GŁOGÓW

Cena 6 zł